ORTHODOXIA

ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416

- KALENDARZ 2021
- Czarnogóra. Odszedł metropolita
- Białoruś. Odtworzono Krzyż Turowski
- Cypr. Niebezpieczeństwo rozłamu

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski Nr 12 (426) grudzień 2020 cena 9 zł (w tym 8% VAT)



Fot. Marta Łuksza

8 listopada wyświęcono wojskową cerkiew św. Dymitra Białymstoku. Więcej na stronach 10-11

W numerze

Metropolita trudnego czasu

W wieku 82 lat, na skutek zapalenia płuc wywołanego koronawirusem, odszedł do Pana metropolita Czarnogóry i Przymorza Amfilochiusz. Cerkiew straciła wielkiego człowieka, biskupa, nauczyciela i wyznawcę.





Metropolita urodził się w 1938 roku w Dolniej Moraczi w Czarnogórze jako **Risto Radović**. Był potomkiem słynnych czarnogórskich wojewodów, a jego rodzina pielęgnowała najlepsze tradycje narodowe oraz przywiązanie do wiary prawosławnej. Był wszechstronnie wykształcony.

Po szkole podstawowej wstąpił do belgradzkiego seminarium św. Sawy. Studia teologiczne ukończył w Belgradzie, studiując jednocześnie filologię klasyczną na tamtejszym uniwersytecie.

Duchowym ojcem i przewodnikiem Amfilochiusza w tamtym czasie był św. **Justyn** (**Popović**).

Kolejne lata władyka spędził na studiach w Bernie i Rzymie.

W 1965 roku wyjechał do Grecji, gdzie obronił doktorat oraz przyjął mnisze postrzyżyny, święcenia diakońskie i kapłańskie. Po studiach odszedł na Świętą Górę Atos i został duchowym uczniem świętego starca **Paisjusza**.

Z jego błogosławieństwa w 1975 roku przyjął zaproszenie Instytutu św. Sergiusza w Paryżu, gdzie został wykładowcą. Po dwóch latach wrócił do Belgradu i rozpoczął pracę na Wydziale Teologii Prawosławnej (późniejszym wydziale Uniwersytetu Belgradzkiego), z którym związał się na kolejnych prawie czterdzieści lat. Przez dwie kadencje był dziekanem tej najważniejszej uczelni teologicznej na Bałkanach.

W 1985 roku został wybrany na biskupa Banatu (północna Serbia), a pięć lat później powrócił do rodzinnej Czarnogóry jako metropolita Czarno-

góry i Przymorza, wstępując na tron słynnych metropolitów Cetinja i całej Czarnogóry.

Jednak to, co nowy metropolita zastał w Czarnogórze, ówczesnej republice w składzie komunistycznej Jugosławii, dalekie było od świetności tych ziem w czasach jego wielkich poprzedników – świętego metropolity **Petra** czy **Niegosza**.

Niegdyś słynąca z pobożności, niezliczonych monasterów i świątyń Czarnogóra została przez komunistów ogłoszona republiką ateistyczną, a wszelkie oznaki chrześcijaństwa były od wielu lat rugowane.



Większość świątyń została zniszczona, cerkiewne dobra odebrane, zamknięto wszystkie szkoły cerkiewne i instytucje.

Metropolita Amfilochiusz służbę rozpoczął, mając do dyspozycji niespełna trzydzieści czynnych świątyń i jeden monaster, w których służbę niosło piętnastu duchownych, kilku mnichów i jedna mniszka.

Dziś, odchodząc z ziemskiej służby, metropolita pozostawił metropolię w rozkwicie. Przez trzydzieści lat udało się odbudować i zbudować prawie sześćset świątyń. Działa ponad pięćdziesiąt monasterów, w których żyje i służy 320 mnichów i mniszek. Metropolia, podzielona na dwie diecezje, ma dwóch aktywnych biskupów, a w parafiach posługę niesie około trzystu duchownych. Cerkiew prowadzi seminarium i ponad czterdzieści szkół katechetycznych dla dzieci i młodzieży. Prężnie działają instytucje charytatywne. Metropolia prowadzi największe w serbskiej Cerkwi wydawnictwo z czasopismami, radiem i telewizją.

Jednak miarą siły i wielkości metropolity nie są budynki i liczby, a jego miłość, niewzruszona wiara, bezkompromisowość oraz wytrwałość godna apostołów. Był jak wielka góra, widziany zewsząd, niemożliwy do przesunięcia i trudny do obejścia. Swoim życiem i przykładem stawiał innym wyzwania. Zawsze z ludźmi i dla ludzi. Nie znał strachu. Gdy doszło do strasznych wojen i rozpadu Jugosławii, był wszędzie tam, gdzie naród cierpiał i gdzie strach zamykał drogi innym. Tak było w Bośni, potem w Kosowie, które metropolita kochał ponad wszystko. W najtrudniejszym czasie był ze swoją Cerkwią i swoim narodem, dostojnie wstępując z nimi na Kosowską Golgotę.

Nie stronił od polityki, co często mu zarzucano. Uważał, że ma obowiązek reprezentować swój naród i w jego imieniu głośno upominać się o jego prawa. Kiedy zarzucano mu, że krytykuje władzę państwową, odpowiedział: – Szanuję i poważam władze państwowe, ale jako ten, który zasiada na tronie czarnogórskich metropolitów, codziennie rano biorę błogosławieństwo od mego wielkiego poprzednika, świętego **Petra Cetyńskiego**, całując jego relikwie. I każdego wieczoru składam mu rachunek z moich poczynań. Taka jest moja rola jako waszego metropolity.

Ostatni rok w życiu metropolity był trudny. Nowa i bezbożna władza w Czarnogórze próbowała wprowadzić przepisy, które *de facto* likwidowały metropolię. Władyka Amfilochiusz na znak protestu wyprowadził ludzi na ulice. Ale nie były to znane współczesnemu światu strajki, manifestacje, zamieszki. Metropolita stanął na czele pokojowych modlitewnych *litii*. Marszy, w których setki tysięcy ludzi, modląc się, szło całymi miesiącami przez Czarnogórę, doprowadzając do pokojowej zmiany władzy w demokratycznych wyborach. Czegoś takiego Europa i świat dawno nie widziały. Kilka tygodni temu, gdy po jednym z pochodów policja aresztowała biskupa **Joanicjusza** i kilku duchownych jako organizatorów, stary już metropolita udał się sam pod budynek policji, gdzie byli przetrzymywani. Zanim jednak tam doszedł, dołączył do niego kilkusetosobowy tłum przechodniów, mieszkańców Podgoricy. Gdy byli już na miejscu, metropolita zaczął prosić, aby zamiast duchownych aresztowali jego, bo jak mówił „nie oni są winni ale ja, to wszystko przeze mnie". Nie skończył swojej mowy. Tłum zaczął głośno skandować: „Nie on, ale my wszyscy!". Kilka dni po tych wydarzeniach znalazł się w szpitalu.

Zasnął w Panu 30 października, dokładnie w tym samym dniu, w którym 190 lat wcześniej umarł święty Petr Cetyński, wielki metropolita Czarnogóry, któremu Amfilochiusz przez 30 lat swojej służby co wieczór składał raport.

Нека је вјечан спомен нашем незаборавном Владици и Архипастиру!

o. Michał Czykwin
fot. **archiwum autora**
http://spc.rs/sr

Władyka Amfilochiusz w Kosowie

Jak mnogostradalny Hiob

Metropolita czarnogórski i primorski Amfilochiusz udzielił niedługo przed śmiercią stronie pravosłavie.ru wywiadu. Oto jego najważniejsze myśli.

Hierarcha mówi, że zachodnia europejsko-amerykańska cywilizacja jest nosicielem nowego widzenia świata, nowego światowego porządku, nie tylko państwowego i społecznego. Rzecz idzie teraz o nową etykę, nowy światopogląd, nowy obraz życia. Jest to całkowicie zsekularyzowana antychrześcijańska idea. „Powiedziałbym, że zza tego antychrześcijaństwa wysuwa się nos szatana – satanizmu, który przejawia się coraz wyraźniej i wyraźniej, wykorzystując wszystkie współczesne środki, narzucane całemu światu".

Co przeszkadza temu nowemu światowemu porządkowi, nowemu światopoglądowi? Hierarcha wskazuje na Cerkiew Chrystusową, będącą duchowym spoiwem chrześcijańskich narodów. I według architektów nowego światowego porządku ją należy zniszczyć w pierwszym rzędzie, albowiem dopóki istnieje, „nowa ideologia nie może ogłosić triumfu nad całym światem".

Dlatego nie jest przypadkiem – stwierdza władyka – że zaraz po upadku Związku Radzieckiego pierwszym działaniem wynikającym z imperialnej idei europejsko-amerykańskiej było zbombardowanie prawosławnej Serbii, co, jak uważa, stanowiło tylko przygotowanie do ataku na Rosję, najpierw poprzez niszczenie Ukrainy i wprowadzanie tam chaosu. Jedyną zaś siłą, która jednoczy Bałkany i kraje byłego



ZSRR, jest prawosławna Cerkiew. I dlatego, by podporządkować sobie te niemałe obszary, władać nimi, trzeba im najpierw zabrać duszę.

Obecną Cerkiew porównuje do *mnogostradalnego* Hioba. Stracił on swoją zwierzynę, bogactwo, dzieci, w końcu żona się go wyrzekła, a na niego samego szatan napadł. Ale wtedy Bóg powiedział szatanowi: „Duszy jego nie dotykaj!".

Duszą współczesnego świata jest Cerkiew Chrystusowa! – podkreśla władyka, przywołując tu prorocze słowa Dostojewskiego, że jedynym zbawieniem dla współczesnego świata jest zdrowa Cerkiew.

Wraca na Bałkany. Mówi, że Jugosławia była silnym państwem, zamieszkałym przez dwadzieścia milionów ludzi. Podzielono je według zasady „divide et impera". Stworzono małe państewka – Słowenię i Chorwację, Bośnię i Hercegowinę, która nigdy nie funkcjonowała jako państwo, rozdzielono Serbię i Czarnogórę – jeden naród o wielowiekowej państwowości. Utworzono autonomiczne Kosowo, które przekształciło się w islamskie państwo. Malutką Macedonię już faktycznie rozdzielono na część słowiańską i islamską.

Między podzieloną Serbię i Czarnogórę wrzuca się ogień konfliktu, tak samo jak między Ukrainę oddzieloną od Rosji. W ten sposób burzy się słowiańską jedność.

W wywiadzie hierarcha zwraca uwagę i na sytuację na Bliskim Wschodzie, gdzie po destabilizacji wskutek zewnętrznej interwencji, fanatyczni islamiści niszczą Cerkiew Chrystusową.

A walka idzie – ocenia – o ropę naftową i inne bogactwa naturalne Ukrainy i Rosji oraz Bliskiego Wschodu. Wszystko wraca do podstawowego hasła pogańskiego Rzymu: „Chleba i igrzysk".

Prawosławie dzisiaj to współczesny Hiob – jeszcze raz na zakończenie podkreśla metropolita Amfilochiusz. Wszystko można mu zabrać, ale duszy nie dotykaj! Bóg chroni duszę.

Anna Radziukiewicz

Dziękuję Bogu, że mogłam go poznać

Metropolitę **Amfilochiusza** poznałam w 2003 roku podczas rocznego pobytu w Czarnogórze. Przyjęłam wtedy prawosławie w serbskiej Cerkwi. Uczestniczyłam w Liturgiach, sprawowanych przez metropolitę, po których byłam zapraszana na spotkania, gdzie poruszano duchowe tematy. Można było wtedy zamienić kilka słów z metropolitą, który mówił także po niemiecku. Zawsze panowała tam ciepła atmosfera. Metropolita lubił tradycyjne serbsko-czarnogórskie pieśni, miał też poczucie humoru, ale w niektórych przypadkach bywał dość surowy. Jednak zawsze w jego zachowaniu dominowała ogromna życzliwość.

Kiedy w 2004 roku przyjechałam do Polski, przez następne pięć lat każdy urlop spędzałam w Czarnogórze. Jesienią 2006 roku po raz kolejny przez kilka dni byłam w Czarnogórze i odwiedziłam metropolitę, który 21



listopada w Cetynii świętował swoją *Slavę* Archanioła Michała.

Czekaliśmy w metropolii z mnichami, mniszkami i innymi gośćmi na metropolitę, który przywitał mnie słowami: „Teraz przyjechałaś z Polski na moją *Slavę*. Masz już swoją *Slavę*?". Powiedziałam, że nie, ponieważ nie mam prawosławnej rodziny.

Wówczas metropolita udzielił mi błogosławieństwa i dał mi swoją *Slavę*,



Archanioła Michała, najważniejszego archanioła, arcystratega. Wszyscy dookoła pogratulowali mi radośnie i zrozumiałam, że moim zadaniem tego wieczoru powinno być obsłużenie gości, co było dość wymagającym zadaniem. Każdy, kto kiedykolwiek był świadkiem serbskiej *Slavy*, wie co to oznacza.

Dziś, po odejściu do wieczności drogiego metropolity, jeszcze bardziej zdaję sobie sprawę, jak wielki dar od niego otrzymałam. Nie mogę tego daru *Slavy* przekazać, gdyż przechodzi ono przez dziedziczenie.

Pomimo że w 2009 roku zostałam przeniesiona do Argentyny (na placówkę dyplomatyczną jako austracki konsul – przy. red.), niejako „na drugi koniec świata", nigdy nie utraciłam kontaktu z metropolitą, który był bardzo aktywny w Argentynie i przyczynił się do odrodzenia tam struktur Serbskiej Cerkwi Prawosławnej.

Kiedy dotarłam do Buenos Aires, wszystkie serbskie cerkwie były nieczynne, jednak wkrótce przybył serbski prawosławny duchowny, który zebrał rozproszonych imigrantów, Serbów i Czarnogórców. Po pewnym czasie pojawił się biskup i kilku duchownych, co było zasługą metropolity Amfilochiusza.

Kiedy wróciłam do Austrii, znalazłam się bliżej Czarnogóry, która mimo problemów politycznych i organizacyjnych pozostaje dla mnie najpiękniejszym krajem na świecie.

Metropolita Amfilochiusz był zawsze dobrym doradcą. 1 stycznia 2013 roku przyjął mnie w metropolii, gdyż dręczył mnie poważny problem. Doświadczyłam wielkiej mocy modlitwy metropolity. Potwierdzali to moi przyjaciele.

W 2014 roku uczestniczyłam pośrednio w podróży metropolity Amfilochiusza do Polski na zaproszenie metropolity Sawy.

Metropolita Amfilochiusz odwiedził Warszawę i wschodnią Polskę i mogłam uczestniczyć w Liturgiach, sprawowanych przez obydwu hierarchów.

Dla mnie osobiście były to wydarzenia duchowo-historyczne, gdyż jestem z tymi dwoma krajami i najwyższymi cerkiewnymi dostojnikami szczególnie związana. Po wyjeździe metropolity Amfilochiusza z Polski okazało się, że zapomniano zabrać jego *obłaczenije* i *panagię*. Metropolita bez zbędnych ceregieli zdecydował, że „Anastazja następnym razem przywiezie *obłaczenije* do Czarnogóry…".

Pamiętam, kiedy zebrano pierwsze podpisy, próbując zapobiec prawu dotyczącemu konfiskaty cerkiewnego majątku przez państwo czarnogórskie. Kiedy ustawa została ostatecznie uchwalona, rozpoczęły się znane na całym świecie pokojowe marsze, *litije*, które następnie zaowocowały wynikami wyborów parlamentarnych jesienią tego roku.

Ponieważ nie mogłam już pojechać do Czarnogóry z powodu przepisów związanych z pandemią koronawirusa, śledziłam wszystkie wydarzenia przez Internet. Za pośrednictwem sieci można było poczuć siłę i emocje duchowieństwa i ludzi, a przede wszystkim mądrą, duchową i polityczną siłę metropolity, który ostatecznie ocalił Cerkiew i jej lud.

W tym czasie mogłam jedynie przekazywać pozdrowienia i najlepsze życzenia znajomym, szczególnie wtedy, gdy na początku października dowiedziałam się o chorobie metropolity.

Byłam pewna, że hierarcha pokona chorobę, nie tylko dlatego, że powszechnie wiadomo, jak silni i zdrowi są ludzie w Czarnogórze. Jednak sprawy potoczyły się inaczej. Na stronie internetowej metropolii można było znaleźć niezliczoną ilość pięknych, głęboko poruszających tekstów, m.in. „metropolita wygrał główną bitwę, a potem Bóg go powołał…".

Chwała Bogu, że mogłam poznać tego niezwykłego, godnego, wysoce uduchowionego człowieka, dzięki któremu każde spotkanie, także krótkie, oznaczało serdeczną radość. *Wiecznaja pamiat'* i jeszcze raz dziękuję za *Slavę* Archanioła Michała!

Andrea-Anastasija Sandhacker
tłum. z niemieckiego
Andrzej Charyło, fot. **archiwum o. Michała Czykwina**

Dobry użytek z niegodziwej mamony

W przeddzień święta Wprowadzenia Najświętszej Bogarodzicy do Świątyni odczytuje się intrygujący fragment Ewangelii według św. Łukasza „o nieuczciwym zarządcy". Pewien zarządca został oskarżony o trwonienie majątku swego pana i lada chwila miał stracić intratną posadę. „Co ja pocznę, skoro mój pan pozbawia mię szafarstwa? Kopać nie mogę, żebrać się wstydzę" – głowił się, zatroskany o swój los. Zdawał sobie sprawę, że do pracy fizycznej nie nawykł lub jest za stary, a prosić o jałmużnę nie pozwala mu duma. I nagle przychodzi mu do głowy chytra myśl. Dopóki jeszcze ma pewną władzę, wzywa dłużników swego pana i na papierach dłużnych samowolnie zmniejsza ich zobowiązanie wobec wierzyciela: zamiast stu baryłek oleju każe napisać pięćdziesiąt, zamiast stu korców pszenicy – osiemdziesiąt. Szczodry kosztem swego pana zarządca uczynił to w nadziei, że ci odwdzięczą się mu, gdy zostanie pozbawiony urzędu, „przyjmą go do swych domów", gdy będzie bezdomny i bez grosza. I, o dziwo, w Ewangelii słyszymy, że „Pan pochwalił nieuczciwego rządcę, że roztropnie postąpił. Bo synowie tego świata roztropniejsi są w stosunkach z ludźmi podobnymi sobie niż synowie światłości". Przypowieść kończy się intrygującymi, zdumiewającymi słowami Zbawiciela: „Ja też wam powiadam: «Pozyskujcie sobie przyjaciół niegodziwą mamoną, aby gdy [wszystko] się skończy, przyjęto was do wiecznych przybytków»".

Jest to jedno z tzw. trudnych miejsc w Biblii. Koniecznie wymaga wyjaśnienia, ponieważ na pierwszy rzut oka Chrystus zachęca nas do przekrętów i cwaniactwa, traktując to jako chwalebną „roztropność" i godną uznania „pomysłowość". Kim są ci „synowie tego świata" i „synowie światłości"? Przypowieść była adresowana do dwóch przeciwstawnych grup ludzi – celników i faryzeuszy, ale można ją odnieść do ludzi z jednej strony niewierzących i pochłoniętych dobrami doczesnymi, z drugiej wierzących, szukających drogi do zbawienia (por. J 12,35; 1 Tes 5,5; Ef 5,8). Co to znaczy, że „synowie tego świata są przebieglejsi w swoim rodzaju od synów światłości"? Ci pierwsi są przebiegli, sprytni i zaradni, gdy idzie o osiągnięcie swoich celów, głównie pomnażanie majątku. Tymczasem „synowie światłości" nie uciekają się do żadnych chytrości. Są szczerzy, prostoduszni, prostolinijni, wręcz naiwni, również w osiąganiu swych duchowych celów. Jednak w pewnych sytuacjach tym szlachetnym ludziom też nie szkodziłoby – i nawet byłoby wskazane – być *roztropnymi jak węże i niewinnymi jak gołębice* (Mt 10,16). Gdyby każdy chrześcijanin przejawił tyle gorliwości i pomysłowości w dążeniu do świętości, ile przejawiają bogacze w dążeniu do dobrobytu i komfortu, byliby o wiele lepszymi chrześcijanami. Człowiek traci wielokrotnie więcej sił, czasu, starań i pieniędzy na teraźniejszość, na obecne wygody, rozrywki i zamiłowania, niż na przewidywanie przyszłości i potrzeby duszy.

Ewangeliczną „mamonę" słusznie kojarzymy z pieniędzmi, z tym co materialne. Ale aramejskie słowo, zapożyczone z Babilonu, ma szersze znaczenie. Znaczy tyle co „majątek, stan posiadania", czyli wszystko to czym dysponujemy i co stanowi zabezpieczenie naszego bytu w codzienności. Każdy z nas dysponuje jakąś „mamoną", nie tylko materialną. Mamona jest niegodziwa – w oryginale „mamona niesprawiedliwości" – nie dlatego, że została uzyskana bezprawnie. Gdyby tak było, zgodnie z Prawem powinna być zwrócona jako rzecz ukradziona (patrz: Kpł 6,4; Pwt 22,1). Tu chodziło o to, że „mamona" jako każde doczesne dobro jest rzeczą marną, zawodną i przemijającą. Często czyni z człowieka samolubnego skąpca i jest przeszkodą w osiągnięciu Królestwa Niebieskiego (Mk 10,25). W czasach Chrystusa rabini chętnie powtarzali powiedzenie: „Bogaci pomagają biednym na tym świecie, natomiast biedni bogatym na tamtym świecie". Wyczulony na nierówności społeczne św. Ambroży z Mediolanu rzucił w twarz bogaczowi, który zbudował ogromne spichlerze: „Potrzeby biednych, domy wdów, gardła dzieci – oto spichlerze bogaczy".

Żydzi w czasach Jezusa Chrystusa wierzyli, że dobroczynność i miłosierdzie wobec biednych będą im zaliczone w przyszłym świecie. Wychodzi na to, że prawdziwe bogactwo polega nie na tym, co człowiek utrzymał w swoich rękach, ale co rozdał. Człowiek może roztrwonić swój majątek w sposób egoistyczny, dążąc do zaspokojenia swych zachcianek, ale może też dopomóc biednym i potrzebującym.

John Rockefeller nie był aniołem dla tysięcy swych robotników, wręcz eksploatował ich, ale część swoich grzechów okupił, ofiarowując dziesią-

tą część swoich zysków na cele dobroczynne i zakładając słynny uniwersytet w Chicago. John Harvard, Elihu Yale, Leland Stanford zapisali się w historii nie jako bogacze, ale założyciele najsławniejszych uczelni w świecie. Ileż ludzi zawdzięcza im stypendia i wykształcenie, a świat znakomitych uczonych i wynalazców. Oto należyte spożytkowanie mamony, częstokroć „niesprawiedliwej”. W wielu krajach zamożni ludzie są fundatorami całych świątyń lub hojnymi darczyńcami na potrzeby Cerkwi. Kiedy pochodzenie pieniędzy jest moralnie naganne, niektórzy duchowni ze wzgardą odrzucają je jako „brudne” . Natomiast inni przeciwnie. Przyjmują i uważają, że służąc dobremu celowi pieniądze te „oczyściły się”. To jest rzecz złożona i niech ten dylemat moralny każdy rozsądzi w zgodzie z własnym sumieniem.

Przypowieść o nieuczciwym zarządcy nie jest pochwałą sprytu i cwaniactwa, lecz rozumnej dalekowzroczności. Jest to historia człowieka, który w porę zorientował się, że majątek, którym dysponuje, nie jest mu dany na zawsze, więc roztropnie wykorzystał czas, jaki mu pozostał. Bóg powierzył nam wszystkim, jak zarządcom, jakiś kapitał – życia, łaski, zdrowia, sił i wiele innych dobrodziejstw. W zamian oczekuje od nas, że sensownie go wykorzystamy w czasie, który również został nam dany. W czasie tego życia, które kiedyś przecież się skończy. Samo posiadanie dóbr mamy potraktować jak zadanie. Bóg nie będzie nas sądził na podstawie tego, ile sił, zdrowia, zdolności zaoszczędziliśmy, ale jak je zainwestowaliśmy w zgodzie z wolą Bożą i w perspektywie wieczności.

Apostoł Paweł radził: *Wyzyskujcie chwilę sposobną, bo dni są złe. Nie bądźcie przeto nierozsądni, lecz usiłujcie zrozumieć, co jest wolą Pana* (Ef 5,16-17). Całe bogactwo dobrodziejstw Bożych najmądrzej spożytkujemy, pozyskując przyjaciół, zgodnie ze znanym rosyjskim powiedzeniem: *Nie imiej sto rublej, no sto druziej*.

Amiń.

o. Konstanty Bondaruk

19 grudnia, w okresie postu i w atmosferze oczekiwania na Boże Narodzenie, Cerkiew czci świętego kojarzonego z prezentami, Mikołaja Cudotwórcę. Rok temu pisałem, że jego niezwykła popularność jest wynikiem „odwiecznego pragnienia dobra”, „potrzebą posiadania takiego świętego, który byłby prawdziwym przyjacielem, dobrym pasterzem i dobrym człowiekiem”. Jednak odczytywany przed Ewangelią (Łk 6,17-23) *Apostoł* zwraca uwagę na to, że szacunkiem i wdzięcznością za ich posługę powinniśmy darzyć wszystkich duszpasterzy.

Szanujmy kapłanów

W zakończeniu Listu do Hebrajczyków św. apostoł Paweł pisze: *Bądźcie posłuszni waszym przełożonym i bądźcie im ulegli, ponieważ oni czuwają nad duszami waszymi i muszą zdać sprawę z tego. Niech to czynią z radością, a nie ze smutkiem, bo to nie byłoby dla was korzystne. Módlcie się za nas, jesteśmy bowiem przekonani, że mamy czyste sumienie, starając się we wszystkim dobrze postępować* (Hbr 13, 17-18). Głównym tematem Listu jest arcykapłańska godność Jezusa Chrystusa, jednak autor apeluje o szacunek wobec wszystkich głosicieli Dobrej Nowiny. Podobnie jak on są szykanowani, więzieni, prześladowani. P*amiętajcie o swych przełożonych, którzy głosili wam Słowo Boże, rozpamiętując koniec ich życia, naśladujcie ich wiarę!... Nie dajcie się uwieść różnym i obcym naukom, dobrze bowiem jest wzmacniać serce łaską* (Hbr 13, 7-9) – upominał apostoł. Uważna lektura tego trudnego Listu uświadamia nam, jak bardzo wszyscy potrzebujemy przewodnika i pośrednika między nami i Bogiem. Również w 1 Liście do Tesaloniczan św. Paweł, który nigdy nie domagał się dla siebie ani zaszczytów, ani jakichkolwiek szczególnych wzglę-

Św. Mikołaj wybawia od śmierci, obraz Ilji Riepina



dów, apelował: *Prosimy was, bracia, abyście uznawali tych, którzy wśród was pracują, którzy przewodzą wam i w Panu was napominają. Ze względu na ich pracę otaczajcie ich szczególną miłością!* (1 Tes 5, 12-13).

„Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was"

Kiedy apostoł pisał o szczególnej miłości do głosicieli Słowa Bożego, trójpodział hierarchiczny – diakon, prezbiter, biskup – jeszcze nie był tak wyraźny, jak w czasach św. Mikołaja. Jednak istniało pojęcie „starszych", „przełożonych", którzy byli kontynuatorami apostołów, natomiast ci zostali powołani przez Chrystusa, który oznajmił: *Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili, i by owoc wasz trwał* (J 15, 16). Chrystus całkowicie suwerennie wybrał dwunastu, później jeszcze siedemdziesięciu nie dlatego, że oni sami się wprosili, albo zdecydowali się stać apostołami. Byli chętni do „pójścia za Nauczycielem", których Jezus nie przyjął i nie powołał. Chrystus także dodał, że swych uczniów i następców wyraźnie oddzielił od pozostałej społeczności. W rezultacie nie należą już do świata i ten ich nienawidzi, bo nie uważa ich za swoich (J 15,19). Pomimo jednoznaczności tych słów, ludziom wciąż trzeba przypominać prostą i jasną prawdę, że Cerkiew (*Ecclesia*) istnieje nie z ludzkiego, lecz z Bożego ustanowienia. Nigdy nie była i nie jest zwyczajną strukturą i organizacją na wzór znanych nam świeckich instytucji.

Cerkiew od początku była instytucją hierarchiczną i monarchiczną. To prawda, że w warunkach niewielkich gmin wierni mieli większy niż obecnie wpływ na powoływanie diakonów i prezbiterów. Zwykle obierali ze swego grona ludzi najbardziej pobożnych, uduchowionych, utwierdzonych w wierze. Wówczas obecna do dziś aklamacja „Aksios" (*godzien jest*) miała większy sens niż obecnie, bo ludzie naprawdę znali człowieka, wiedzieli, czy jest albo nie jest godzien tej zaszczytnej funkcji. Obecnie wierni co



najwyżej wiedzą, że ktoś z ich parafii wstąpił do seminarium duchownego, natomiast na jego wyświęcenie, nominację i dalsze losy zupełnie nie mają wpływu. Zdecydował o tym biskup wedle swojego uznania i rozeznania. Zresztą sam biskup najpierw został kapłanem – hieromnichem, a potem został wyświęcony na biskupa przez kilku innych biskupów. Wszyscy wiedzą, że władza w Cerkwi pochodzi od samego Chrystusa, ale nawet wśród głęboko wierzących praktycznie nie ma ludzi bezkrytycznie przyjmujących każdą decyzję, każdy wymóg nawet ze strony hierarchów, nie mówiąc o szeregowych kapłanach. Nasze świeckie postrzeganie Cerkwi powoduje, że wierni żyją nie w atmosferze teokracji, lecz demokracji. Uważają, że tak jak mają prawo kontrolować wybranych przez siebie świeckich liderów, tak samo duchownych wszystkich stopni.

Niuanse władzy w Cerkwi

Cerkiew została ustanowiona odgórnie i jest Chrystusowym dziełem. To nie ludzie utworzyli ją dla swych potrzeb, według swego wyobrażenia i upodobania. Gdyby tak było z Cerkwią, ta w ogóle nie byłaby potrzebna – wystarczyłaby jakaś wychowawczo-dobroczynna organizacja. Również władza w Cerkwi nie wypływa z ludzkiego mandatu i legitymacji, ale została dana „z góry". Oto dlaczego, nawet przy najbardziej demokratycznej formie, jakiej można by tylko Cerkwi życzyć, zawsze u jej podstaw leżą władza i służba w apostolskim rozumieniu. To nie musi być zwierzchnictwo i dominacja, raczej bezinteresowna służba, poświęcenie wobec swej owczarni, jak Chrystus powiedział o „dobrym pasterzu".

Wielu ludzi zniechęcają do instytucjonalnej Cerkwi jej słabe strony, niespójność nauczania i życia, minione i obecne przywary duchownych, ciemne plamy w historii, polowania na czarownice i wolnomyślicieli – heretyków – wojny religijne, złe zarządzanie, zachłanność, rozmaite skandale obyczajowe. Wszystko co mówią o Cerkwi ludzie jej nieżyczliwi nie jest całkowicie wymyślone, ale dotyczy tylko jej małej, gorszej części. Kapłani uświadadamiają sobie i głęboko przeżywają liczne grzechy i słabości swoich upadłych braci. Jednak długi spis przywar, jakkolwiek prawdziwy, nie jest całą i jedyną prawdą. Trzeba sobie uzmysłowić pewien fundamentalny fakt. Duchowni są powoływani spośród zwykłych ludzi, z tego samego środowiska, i są wystawieni na te same pokusy i słabości, co ludzie świeccy. Chrystus mógł, ale nie zbudował nowej wspólnoty z aniołów lub z nieskazitelnych ludzi. Raczej z ludzi normalnych, szeregowych, prostych i szorstkich, jak ich spracowane ręce. Syn Boży przyszedł na ten świat w uniżonej postaci i jak dobry cieśla, którym stał się dzięki przybranemu ojcu Józefowi, pozbierał kawałki najbardziej topornych i pokrzywionych stołów i krzeseł i z nich zbudował łódź-Cerkiew, która utrzymuje się na powierzchni wzburzonego morza dziejów już trzecie tysiąclecie.

Paradoksalnie, jest nawet pewien plus w tym, że duchowni są niejako z tej samej „gliny" co ich podopieczni. Dzięki temu łatwiej jest im wczuć się w sytuację zwykłych ludzi, zrozumieć

motywy ich zachowania i postaw, raczej współczuć im aniżeli dziwić się i oburzać z powodu każdego grzechu i słabości, być miłosiernym w stosunku do błądzących, co prawdopodobnie jest najpiękniejszą cechą kapłana. Być może z tego powodu Chrystus nie przekreślił Piotra, który trzykrotnie wyparł się go i któremu oznajmił, że przebaczać należy nie siedem razy, ale 77, czyli w praktyce zawsze.

Niewdzięczna służba

Byłoby czymś skrajnie krzywdzącym i niesprawiedliwym, gdyby u kapłana widzieć tylko jego słabości i grzechy, natomiast zapominać, że w istocie całe jego życie jest poświęcone innym. Owszem, w przeszłości kapłaństwo częstokroć gwarantowało prestiż społeczny i stosunkowo wysoki status materialny. Wszak nie wzięło się znikąd powiedzenie: „Kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie". Obecnie, zwłaszcza w przypadku prawosławnych kapłanów, jest wręcz przeciwnie. Już na starcie, rozpoczynając studia w seminarium, nawet jeżeli wykładowcy im tego nie powiedzą, to dadzą do zrozumienia i alumni mogą sobie od razu powiesić nad łóżkiem w charakterze groźnego memento napis: „Wybrałem ciernisty szlak. O tak zwanej karierze mogę zapomnieć". Zanim ukończą studia, już się dowiadują, że obowiązków będzie więcej niż przywilejów. Niezależnie od tego, czy kapłan jest żonaty czy pozostaje w celibacie lub w stanie zakonnym, wymaga się od niego o wiele więcej niż od ludzi świeckich w sensie moralności, charakteru i osobistych kwalifikacji. Ilość najprzeróżniejszych ograniczeń – czego kapłanowi nie wolno albo nie wypada – jest tak wielka, że naprawdę nie żyje dla siebie. Jest pod bezustanną kontrolą – co mówi, gdzie bywa, jak ubiera się, jakim samochodem jeździ. Pod taką presją, bez żadnych premii i gratyfikacji za trudne warunki, nawet w warunkach epidemii, ma trwać na stanowisku, pełnić całodobową służbę od dnia święceń nie do emerytury, ale aż do śmierci! Żadnych przywilejów, żadnego luksusu, żadnych słabostek. Św. apostoł Paweł pisał, że kapłan (diakon czy biskup) powinien starać się być „wzorem dla wiernych", ale wierni uważają, że „musi być"! Od przedstawiciela żadnego innego zawodu, prócz zwykłej odpowiedzialności wobec prawa, tego się nie wymaga. Gdyby więc postrzegać kapłana tylko z punktu widzenia jego niedociągnięć, to tak, jakby dziecko koncentrowało się na przywarach mamy i taty i nie widziało okazanej mu bezgranicznej miłości, ofiarności, poświęcenia i nieprzespanych nocy.

Kapłan nie jest taki, jakim go postrzega liberalne, świeckie środowisko i media, które normalności w ogóle nie uznają za wart uwagi temat, lecz jak hieny żerują na szokującej sensacji, epatują grozą, odwołują się do najniższych instynktów. Kapłaństwo jest tajemnicą, którą można co najwyżej starać się zrozumieć w świetle wiary. Tu można powołać się na epokowe dzieło „O kapłaństwie" św. Jana Złotoustego (pamięć 26 listopada). Przyznaję, że to dzieło z IV wieku tak wysoko podnosi poprzeczkę, że jego lektura może załamać każdego kandydata do kapłaństwa. Bliższy czasowo, XIX-wieczny, francuski teolog (J. B. Lacordaire) nikogo nie peszył nieosiągalną wysokością godności kapłańskiej, ale napisał prawdziwy hymn ku czci tych, którzy mimo swych ograniczeń podjęli się tego zadania. „Żyć wśród tego świata – pisał – niczego nie pragnąc dla siebie z jego powabów, być członkiem każdej rodziny, w istocie nie należąc do żadnej z nich, dzielić z nimi wszystkie ich rozterki i problemy, być wtajemniczonym w każdy ludzki sekret, jednak zachowując dyskrecję, leczyć każdą ranę, codziennie nawiedzać ludzi, by zanosić Bogu ich cześć i błagania, potem wracać od Boga do tych samych ludzi, niosąc im Boże przebaczenie i Bożą nadzieję; taki człowiek musi mieć serce ze stali, gdy idzie o czystość, i serce z ciała, gdy chodzi o miłosierdzie. Ten człowiek musi nauczać i przebaczać, pocieszać i błogosławić, i być bez reszty i do końca oddany swemu posługiwaniu. Co to jest za życie? To jest życie kapłana Chrystusowego".

Ci najchętniej oceniają, którzy nie znają

Kapłani chcieliby być takimi, jak św. Mikołaj, „przykładami wiary i wzorem skromności, nauczycielami wstrzemięźliwości", chcieliby prawdziwie „urzeczywistnić Ewangelię", „pokorą osiągnąć wyżyny, zaś ubóstwem bogactwo", „życie swe poświęcić ludziom" (z troparionu i kondakionu), ale nie są takimi i muszą żyć z tą frustrującą świadomością. Są przytłoczeni wyidealizowanym brzemieniem oczekiwań względem nich. Pocieszające jest jednak to, że bezustanne oskarżenia pod adresem Cerkwi (i wszystkich Kościołów) o niespójność nauczania i życia, o rozmaite grzechy duchownych, mimo iż w większości prawdziwe, są w istocie uogólnione i spłycone. Wyłącznie źle i tylko w negatywnym świetle, na podstawie pojedynczych „czarnych owiec", mogą mówić i pisać o Cerkwi ludzie nieżyczliwi i uprzedzeni do niej, ludzie spoza Cerkwi. Nie rozumieją jej, bo nie należą do niej i nie znają jej od środka. Patrzą i oceniają z daleka. Kiedy jednak ktoś wejdzie do świątyni, usłyszy wzruszający śpiew, poczuje woń kadzidła, skupi wzrok na ikonach i uduchowionych obliczach świętych, przyjrzy się poobijanym przez życie twarzom wiernych, które właśnie tu promienieją jakimś niepojętym blaskiem nadziei, wówczas zrozumie, że za takich jak oni, grzesznych, słabych i upadłych ludzi Chrystus oddał życie. Tylko żyjąc wewnątrz Cerkwi, oczyma wiary, można dostrzec w niej nie zatajane, przemilczane zło, ale tajemnicę wewnętrznej przemiany człowieka i zbawienia. W odpowiedzi na zarzut ze strony wielkiego zwolennika reform, pewien światły duchowny i teolog odpowiedział: „Znoszę Kościół w nadziei, że stanie się lepszy, odkąd on jest zmuszony tolerować mnie w nadziei, że ja stanę się lepszy".

Nie kalać swego gniazda

Gdy faszystowskie Niemcy okupowały część Francji, świadoma kolaboracja wielu Francuzów z wrogiem była powodem wstydu i oburzenia

ze strony patriotów takich, jak pisarz Antoine-Saint Exupery, który pisał z frontu: „Ponieważ jestem jednym z nich, nie wyrzeknę się rodaków, choćby nie wiem czego się dopuścili. Nie będę nigdy mówić źle o moich rodakach wobec obcych. Kiedy będzie to możliwe, będę zawsze stawać w ich obronie. Kiedy okryją mnie wstydem, zachowam tę hańbę w sercu i będę milczeć. Cokolwiek bym wtedy o rodakach nie pomyślał, nie będę świadczyć przeciwko nim. Mąż nie chodzi od drzwi do drzwi, by osobiście rozpowiadać sąsiadom, że jego żona okazała się ladacznicą. W ten sposób nie uratuje swego honoru. Ponieważ i taka żona jest członkiem rodziny, nie będę cieszyć się z niczyjego upadku. Raczej, kiedy szczęśliwie powrócę do domu, wówczas tam wypowiem cały mój gniew".

Jako ochrzczeni członkowie Cerkwi, z takim nastawieniem i uczuciami powinniśmy się odnosić do niej. Nie spieszyć z osądem, jak w znanym porzekadle „nie pluć do swojej studni" i nie rozpowiadać na lewo i prawo o prawdziwych lub urojonych grzechach Cerkwi i jej sług. Za błądzących kapłanów wszystkich szczebli trzeba się modlić! Nie rozpowiadać, powielać, szerzyć znaną lub tylko zasłyszaną wiedzę o upadku któregokolwiek z nich, ale modlić się i wspierać. W przypadku „gdy brat twój zgrzeszy", Ewangelia nie każe go natychmiast zlinczować, ale najpierw upomnieć w cztery oczy, potem w obecności kilku osób i na końcu wobec całej wspólnoty. Trzeba pamiętać: Szatan kusił Chrystusa i tym bardziej nie oszczędza jego wybrańców. Bóg powołuje do swej służby ludzi wedle swego upodobania i posługuje się częstokroć takimi narzędziami, które my byśmy odrzucili. Jednak sami nie jesteśmy doskonali, a mimo to Cerkiew nie odtrąca nas. Tak postępuje prawdziwa matka wobec swych dzieci. Cerkiew jest naszą Matką. O Matce nie wolno mówić źle, bo według św. Cypriana z Kartaginy: „Dla kogo Cerkiew nie jest Matką, temu Bóg nie jest Ojcem".

o. Konstanty Bondaruk

Wojskowa cerkiew w Białymstoku wyświęcona

Patronem wojskowej cerkwi w Białymstoku przy ulicy Warszawskiej 16 obrano św. Dymitra Sołuńskiego, żołnierza Chrystusowego, którego pamięć czcimy 8 listopada – w tym roku święto wypadło w niedzielę. 6 listopada, w piątek po południu, inwestor otrzymał z wojewódzkiego inspektoratu nadzoru budowlanego zezwolenie na użytkowanie obiektu, w którym mieści się cerkiew.

– To cud – jednoznacznie mówią prawosławny ordynariusz Wojska Polskiego i arcybiskup wrocławski i szczeciński **Jerzy** oraz jego zastępca o. płk **Aleksy Andrejuk**. – Po ponad dziesięciu latach przebudowywania, pod nadzorem konserwatora, starej przychodni wojskowej na cerkiew! I dlatego w dniu patrona mogli dokonać małego poświęcenia cerkwi arcybiskupi Jerzy oraz białostocki i gdański **Jakub**.

– To ważne, że w uroczystościach mógł wziąć udział miejscowy hierarcha, z którym tak harmonijnie układa się nam współpraca – komentuje władyka Jerzy. – Do końca października korzystaliśmy w Białymstoku jako ordynariat wojskowy z małej cerkiewki św. Marii Magdaleny. Teraz mamy swoją wojskową. Przybyła nam kolejna świątynia, po cerkwiach w Warszawie, Ciechocinku, Białej Podlaskiej i Przemyślu. Białostocka okazała się najtrudniejszą inwestycją. Tu nas spotykały wszelkie możliwe przeciwności, trwające od czasu, kiedy zostałem biskupem. Na ostatnim, długim i złożonym etapie prowadzenie budowy zleciłem o. Aleksemu Andrejukowi i to głównie dzięki jego zaangażowaniu możemy od 8 listopada służyć w nowej cerkwi.

Z inicjatywą przekształcenia przychodni w cerkiew wyszedł o. ppłk **Igor Siegień**. To on stawiał pierwsze kroki przy Warszawskiej 16. Niestety, o. Igora zabrała przedwczesna śmierć. Zmieniały się firmy, przystosowujące stary budynek o wielu mankamentach, często ukrytych, jak brak ław czy dobudowywane z byle jakich materiałów ściany. To oznaczało, że trzeba było nanosić poprawki w kosztorysie, a to proces wydłużało i komplikowało.

Projekt budynku wykonał **Andrzej Markowski**, dokładniej prowadzone przez niego biuro projektowe. Przypomnijmy, jego autorstwa jest cerkiew Hagia Sophia w Warszawie i wojskowa w Białej Podlaskiej. Ale to biuro przeszło w ręce innego właściciela, który odmówił dalszego udziału w skomplikowanym, bo rozciągniętym w czasie, narażonym na wiele technicznych niespodzianek, procesie projektowym. Wówczas znów wrócił do projektowania Andrzej Markowski.

– Doskonale z nim się współpracowało – mówi o. Aleksy Andrejuk. – Reagował na każdą naszą prośbę i sugestię, poczynając od spraw estetycznych, kończąc na konstrukcyjnych – wszak w pewnym momencie postanowiliśmy zrezygnować z czterech potężnych kolumn, które wraz ze ścianami dźwigały konstrukcję, ale „rozbijałyby" przestrzeń cerkwi. Andrzej Markowski dokonał śmiałych zmian w projekcie, wymagających wielu uzgodnień. Ostatnie nasze spotkanie, podczas którego architekt zanotował wiele naszych próśb, mieliśmy na kilka dni przed jego śmiercią – zmarł przed Paschą w 2019 roku. To był zdolny, pracowity i pełen pokory architekt.

Cerkiew ma duże okna, a nie ma kopuły, tylko trzy łuki sygnalizujące





z zewnątrz, że to cerkiew. Jest więc nietypowa. Ale przy jej projektowaniu należało spełniać wszystkie zalecenia konserwatora zabytków, który dba nie tylko o poszczególne budynki, ale i charakter całej zabudowy przy ulicy Warszawskiej, jednej z najstarszych i najpiękniejszych w mieście.

– Najważniejsze jest jednak to, jak świątynia wygląda wewnątrz – mówi o. Aleksy.

A wewnątrz ma misternie rzeźbiony w drewnie piękny ikonostas, wykonany przez greckich mistrzów. Roli pośrednika w zamówieniu i sprowadzeniu ikonostasu w trudnym czasie pandemii podjęli się mnisi monasteru św. Dymitra w Sakach. To była trudna operacja. Pomagali przy urządzaniu cerkwi i mnisi z monasteru w Jabłecznej.

Ikony do ikonostasu napisały mniszki z monasteru w Zwierkach. Malowidła na ścianach wykonała **Natalia Oniśko**.

Z Ukrainy sprowadzono mozaikę, przedstawiającą św. Dymitra, którą umieszczono na zewnątrz w łuku cerkwi. Jej wykonawca, **Wiktor Pawłow**, miał ciężki wypadek. Syn i zaprzyjaźniony z parafią **Aleksander Sasko** zajęli się więc dostarczeniem pracy.

Ostatecznym wykonawcą obiektu, w którym znalazła się cerkiew, stała się spółka agencji mienia wojskowego SINEVIA, a inwestorem rejonowy zarząd infrastruktury w Olsztynie. To na ręce **Dariusza Bartosińskiego**, przedstawiciela SINEVI, bezpośredniego koordynatora prac przy Warszawskiej 16, składał podziękowanie władyka Jerzy podczas pierwszej Liturgii w cerkwi. Powitał także komendanta 25 wojskowego oddziału gospodarczego, podpułkownika **Krzysztofa Lenkiewicza**. Gdy SINEVIA rozpoczęła prace i na plac budowy przyszedł o. Aleksy, stały przy Warszawskiej tylko ściany bez dachu. I choć SINEVIA budowała i remontowała przedtem dla wojska różne obiekty oprócz sakralnych, z tym poradziła bardzo dobrze.

Do cerkwi można wejść schodami albo wjechać windą. Jest tu też *ryznica* i parafialna kancelaria. Na dole duża sala z zapleczem.

– Dotychczas szkolenia, konferencje, *gowienija* były skupione w Warszawie i Ciechocinku, teraz będziemy zapraszać wojskowych, ale także pracowników wszystkich innych służ mundurowych – straży pożarnej, policji, służby celnej, nad którymi pieczę duchową sprawuje prawosławny ordynariat – do nowej cerkwi i całej siedziby w Białymstoku – mówi władyka Jerzy.

Cerkiew, jak i cały obiekt, jest ogrzewana i klimatyzowana. I co bardzo ważne dla mieszkańców Białegostoku – otwarta podczas Liturgii dla wszystkich, nie tylko „mundurowych". Od wyświęcenia służby są sprawowane regularnie – Liturgia w niedziele i święta o 9.00, *wsienoszcznoje bdienije* o 17.00. A służą w cerkwi ojcowie płk **Andrzej Jakimiuk** i por. **Rafał Pagór**.

Historia zatoczyła krąg. To w tym rejonie Białegostoku od 1880 roku poszukiwano, z trudem, bo nie sprzyjali zamysłowi ojcowie miasta, placu pod budowę nowej cerkwi Zmartwychwstania Pańskiego. Szukano i kilkaset metrów od Warszawskiej 16, na wyniesieniu, gdzie dziś piętrzy się siedziba urzędu miejskiego. Ostatecznie przydzielono prawosławnym w 1899 roku plac przy ulicy Sienkiewicza. Cerkiew zaczęto budować w 1912 i nigdy nie ukończono, tylko na polecenie władz, przy pomocy wojska, w sierpniu w 1938 roku kończono jej rozbiórkę. A dziś w tym śródmiejskim rejonie powstała nowa, wojskowa.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**
Marta Łuksza

Święty Grzegorzu módl się za nas

6 grudnia będziemy modlitewnie wspominać świętego męczennika archimandrytę Grzegorza Peradze. To patron najmłodszej, powstałej w 2009 roku, białostockiej parafii, na Dojlidach Górnych, filii parafii św. Eliasza na Dojlidach. Ale historia jej powstania sięga kilku lat wcześniej.

Inicjatorem budowy cerkwi i powołania parafii był arcybiskup **Jakub**. Hierarcha jest ordynariuszem diecezji białostocko-gdańskiej od 1999 roku, wie, że znalezienie odpowiedniej działki w zwartej już zabudowie miejskiej jest trudne. Jest duszpasterzem bacznie obserwującym wyludniające się, znajdujące się przy granicy z Białorusią, parafie wiejskie i wciąż rozwijający się Białystok, laicyzujące się społeczeństwo, oddalanie się od Boga.

Znalezienie działki powierza dojlidzkiemu wikaremu o. **Anatolowi Fiedorukowi**. Wkrótce wsie z terenu gminy Zabłudów – Dojlidy Górne, Zagórki, Kolonia Halickie i Dojlidy-Kolonia – zostają włączone do Białegostoku, tworząc nową dzielnicę, Dojlidy Górne. W 2009 roku z władzami gminy Zabłudów podpisano umowę o użyczeniu gruntu pod budowę nowej cerkwi. Na pełne unormowanie sytuacji, kiedy to ziemia stała się własnością parafii, przyszło poczekać do lipca 2017.

Działka o powierzchni około pięciu tysięcy metrów znajduje się u zbiegu ulic Milowej i Wigierskiej. Kiedyś było na niej wysypisko, ale teren wokół, podobnie jak cała dzielnica, zaczął zmieniać charakter. Pola ustąpiły miejsca domom jednorodzinnym. Mieszkańcy dawnej wsi Dojlidy Górne o tej części osiedla mówią „Nowe". Działka jest oddalona od cerkwi macierzystej o trzy i pół kilometra w linii prostej, znajduje się w samym centrum Dojlid Górnych, jednej z najrozleglejszych terytorialnie dzielnic Białegostoku.

I tak 6 grudnia 2009 roku, wieczorem o 16.45, poświęcono krzyż na przyszłym cerkiewnym placu. Właśnie o tej porze męczeńską śmierć poniósł mnich, który urodził się w Gruzji, ale poprzez swą działalność naukową i miejsce śmierci związał się z Polską.

6 grudnia 2010 roku, w cerkwi św. proroka Eliasza, po raz pierwszy liturgicznie wspominano archimandrytę Grzegorza. Jednocześnie trwały już prace nad projektem przyszłej świątyni. Autor projektu, **Michał Bałasz**, nestor architektów sakralnych, autor projektów kilkunastu cerkwi i kościołów, rozważał, czy projektując iść w stronę cerkiewnej architektury gruzińskiej. – Ale jest ona niezwykle oszczędna w środkach, wręcz surowa. Cerkwie gruzińskie mają grube mury, z uwagi na klimat, małe okna, proste dwuspadowe dachy.

Cerkiew św. Grzegorza Peradze została zaprojektowana więc w stylu klasycystycznym, z elementami architektury rosyjskiej. Zbudowana na planie krzyża greckiego, będzie miała 27 metrów długości, 25 szerokości i 35 (wraz z krzyżem) wysokości, pomieści około tysiąca trzystu osób.

Rok 2011 przyniósł już pierwsze regularne modlitwy, oczywiście na miarę możliwości, czyli latem, bo musiały się one odbywać na świeżym powietrzu. Przed krzyżem, na drewnianych podestach, przed każdym

Grzegorz Peradze urodził się w 1899 roku, w Bakurciche, w Kachetii. Jego ojciec, który był duchownym, wcześnie zmarł. Wychowaniem Grzegorza i jego rodzeństwa zajęła się matka, którą wspierał brat ojca, również duchowny. Grzegorz wstąpił do szkoły duchownej w Tbilisi, potem do seminarium, które ukończył jako prymus. Miał prawo wstępu do wszystkich akademii teologicznych, jednak wybuchła rewolucja. Zamiast studiów teologicznych rozpoczął filologiczne. Ukończył je znowu z bardzo dobrym wynikiem. Jego wykładowca postarał się o pozwolenie na studia za granicą. Wyjechał do Niemiec na studia teologiczne i orientalistyczne w Berlinie, potem w Bonn, gdzie zdobył tytuł doktora. Znów pokazał, że jest człowiekiem nietuzinkowym, o wielu talentach. Uczył się hebrajskiego, syryjskiego, arabskiego, koptyjskiego, ormiańskiego i greckiego. Ba! Poznał łacinę, niemiecki, angielski, francuski i duński. Wcześniej znał gruziński, cerkiewnosłowiański i rosyjski, a jak pokazała przyszłość, szybko nauczył się też polskiego. Umiał też nawiązywać przyjaźnie, które później trwały wiele lat. Pieczołowicie badał źródła, pisał, wykładał, studiował w Belgii, a efekty jego prac coraz częściej pojawiały się w światowych periodykach naukowych.

W 1931 roku, Grzegorz Peradze złożył w greckiej katedrze w Paryżu śluby zakonne i przyjął święcenia kapłańskie. Wcześniej pokonał ciężką chorobę, której towarzyszyły zmagania duchowe. Wkrótce zamieszkał w Paryżu na stałe. Został proboszczem parafii gruzińskiej, którą współorganizował.

W 1933 roku przyjął zaproszenie do Polski. Wystosował je metropolita Dionizy, który zaproponował mu stanowisko w Studium Teologii Prawosławnej Uniwersytetu Warszawskiego. Jego wykłady – patrologa, orientalistyka – cieszyły się popularnością wśród studentów. Przyszły kolejne sukcesy naukowe,





Ikona św. Grzegorza w dojlidzkiej cerkwi
Niżej święto 6 grudnia 2019, od lewej o.o. Anatol Fiedoruk, Borys Nicziperowicz z Gruzji, Jan Kiryluk i Aleksy Petrovski

nabożeństwem ustawiano anałoj i świeczniki. Tak w niedzielne popołudnia służono akatysty z molebnem w intencji ofiarodawców, budowniczych i mieszkańców osiedla. Na wspólną modlitwę coraz śmielej zaczęli przychodzić wierni mieszkający na osiedlu.

Na wiosnę 2012 roku od wspólnej modlitwy rozpoczęły się właściwe prace budowlane. Wykonano wykopy pod budynek, położono zbrojenie i zalano ławy. Fundament powstał z bloczków, ale wcześniej trzeba było rozwiązać problem gliniastego podłoża. Pod fundamenty położno gres i zalano mlekiem cementowym. 16 września tego samego roku arcybiskup białostocki i gdański Jakub, w asyście biskupa supraskiego **Grzegorza** i wielu duchownych, poświęcił i wmurował kamień węgielny pod świątynię. – Podziękujmy Bogu za ten dzień – mówił arcybiskup Jakub. – Podziękujmy za to, że w czasach, gdy w wielu miejscach na świecie chrześcijanie są prześladowani albo odchodzą od Boga, my możemy rozpocząć budowę nowej cerkwi. Dzisiejsze poświęcenie kamienia węgielnego jest rozpoczęciem budowy. Ale trzeba pamiętać, że oprócz budowy świątyni widzialnej, dokonuje się budowa świątyń niewidzialnych, to jest naszych dusz. A każda budowa świątyni jednoczy wiernych, stają się jedną rodziną. Wtedy też po raz pierw-

zauważane i przez prawosławnych, i przez naukowców-orientalistów, ale władze blokowały przyznanie mu tytułu profesora nadzwyczajnego. Otrzymał godność archimandryty. Troszczył się o gruzińskie środowisko w Warszawie. Zajmował skromne mieszkanie i równie skromnie żył, ale wciąż zauważał człowieka, troszczył się o jego godność. Chcąc na przykład wspomóc materialne jednego ze studentów, odkupił od niego podręczniki, których nie potrzebował.

Odbywał podróże naukowe. Rumunia, Grecja, Bułgaria, Ziemia Święta, Syria, Włochy. Był członkiem organizacji naukowych w rożnych krajach. Jego dorobek naukowy jest imponujący. Artykuły naukowe, trud przy wydawaniu materiałów źródłowych, tworzenie katalogów, jest tego dużo.

Po wybuchu wojny światowej nie wyjechał z Polski, choć miał taką możliwość. Utrzymywał się z pracy tłumacza. W miarę możliwości podtrzymywał kontakt z internowanym metropolitą Dionizym. Wiosną 1942 roku został aresztowany, prawdopodobnie na podstawie donosu jakoby był angielskim szpiegiem. Prawosławni starali się o jego uwolnienie z Pawiaka. Nadaremnie. Jesienią został zesłany do obozu Auschwitz-Birkenau.

Istnieją dwie wersje jego śmierci. W każdej jest mowa o dobrowolnym pójściu na śmierć, by ocalić inne życie. Według pierwszej wystąpił z szeregu, przyznając się jakoby to on ukradł chleb, chcąc tym samym ukrócić cierpienia innych więźniów wygnanych na mróz. Hitlerowcy poszczuli go psami, polali benzyną i podpalili. Według innej archimandryta miał dobrowolnie zgłosić się na śmierć zamiast współwięźnia, o którym wiedział, że jest ojcem rodziny. Administracja obozu przysłała do metropolii zawiadomienie o śmierci i podała jej datę i godzinę, 6 grudnia 1942 roku, 16.45.

W 1995 roku gruzińska Cerkiew kanonizowała męczennika archimandrytę Grzegorza.

Cerkiew wyrasta pośrodku osiedla
Niżej wizualizacja przyszłej świątyni i domu parafialnego



szy na Dojlidach Górnych zabrzmiały słowa modlitwy po gruzińsku. Wierni wzruszyli się bardzo. Do Polski przybył schiihumen **Serafin** z Gruzji, który potrzebował dzwonów do swojego monasteru, a brał udział w święcie.

Podczas jednego z kolejnych świąt parafialnych ówczesny biskup supraski Grzegorz w kronice parafialnej napisał: „W świetle miłości Chrystusowej jasno widzimy drugiego człowieka, jego oblicze, i kiedy jest ono zmartwione, zatroskane, staramy się współczuć i udzielić konkretnej pomocy. Kiedy zaś potrzebuje od nas świadectwa, przekazania na stole ofiarnym, tego co najcenniejsze, naszego życia, bez wahania będziemy w stanie oddać ten dar, bowiem posiadamy niezachwianą świadomość, iż śmierć w Chrystusie owocuje zmartwychwstaniem w Chrystusie. Do takiego dawania świadectwa wszyscy jesteśmy powołani, zarówno duchowieństwo jak i osoby świeckie". Władyka dodał też, że w uroczystościach brali udział dyrektorzy wszystkich szkół znajdujących się na terenie dojlidzkiej parafii. To dobrze, bo św. Grzegorz jako przedstawiciel świata nauki jest dobrym patronem wszystkich, którzy zajmują się edukacją.

Kiedy tylko stało się to możliwe, w murach świątyni zaczęła rozbrzmiewać modlitwa, czyli od wiosny 2014 cotygodniowe niedzielne akatysty są służone w cerkwi. Budowa wciąż posuwała się do przodu. Środki zdobywano na różne sposoby. Kolędnicy odwiedzali domy parafian, zorganizowano parafialny bal charytatywny. Duchowni wciąż starają się przybliżyć wiernym postać patrona. Organizowano zatem kursy ikonograficzne dla dzieci, konkursy plastyczny i wiedzy o św. Grzegorzu, wystawy. Co roku teren przy cerkwi jest miejscem festynów parafialnych. Trwa też budowa plebanii. Miejsce odwiedzają zacni goście, zagraniczni hierarchowie. I regularnie na Dojlidy zaczynają przyjeżdżać Gruzini.

O. **Luka Karelidze** do Białegostoku trafił z Gruzji przez Ełk. Gori, gdzie służy, jest miastem partnerskim Ełku. Kiedy Gruzini przybyli do Polski, ku ogromnemu zaskoczeniu i radości dowiedzieli się, że w innym mieście północno-wschodniej Polski, Białymstoku, jest parafia św. Grzegorza Peradze. Ówczesny proboszcz ełcki, o. **Łukasz Ławreszuk**, skontaktował ich z proboszczem dojlidzkim i tak nawiązała się więź



wspierana wspólną modlitwą podczas kolejnych świąt parafialnych i pielgrzymkami do Gruzji.

Na osiedlu przybywa domów, utwardzane są ważniejsze ulice, wytyczane nowe. Jedna z nich, położona na wschód od cerkiewnego placu, jako patrona otrzymuje właśnie świętego męczennika Grzegorza Peradze.

20 sierpnia 2017 władyka Jakub poświęcił krzyż na główną kopułę. Jednym z gości był **Ilia Darachiashvaili**, ambasador Gruzji w Polsce. Spotkanie zaowocowało zupełnie nową inicjatywą. Dziesiąty rok funkcjonowania parafii przyniósł pierwsze w Białymstoku Dni Kultury Gruzińskiej. Można było usłyszeć gruzińskie śpiewy, poznać tradycyjne instrumenty, a także tradycje i zwyczaje ludowe.

Cerkiew na Dojlidach Górnych jest pierwszą wolnostojącą świątynią ku czci świętego w Polsce i Europie. W Warszawie, przy ul. Lelechowskiej 5, w zaadaptowanym budynku, jest kaplica św. Grzegorza, która podlega parafii katedralnej św. Marii Magdaleny. W Gruzji jest jedna cerkiew pod wezwaniem św. Grzegorza w Kodżorach, oraz dwie kaplice w stolicy Tbilisi: przy cerkwi św. Jerzego, znajdującej się przy ul. Świętego Archimandryty Grzegorza Peradze, oraz w jednym ze szpitali.

Natalia Klimuk
fot. **Piotr Łozowik**
o. Jan Kiryluk

Świętość odtworzona

Wiadomość o rekonstrukcji Krzyża Turowskiego odbiła się szerokim echem nie tylko w cerkiewnych, ale i państwowych mediach Białorusi, pisaliśmy o niej także w Przeglądzie. Przypomnijmy, że na przełomie XII i XIII wieku świętość ta znajdowała się w katedralnym soborze Turowa, który został zniszczony podczas trzęsienia ziemi w 1230 roku. Był ponoć podobny do Krzyża św. Eufrozyny, nie zachowały się jednak żadne przekazy o jego wyglądzie. Trzy lata temu, na szczeblu państwowym i cerkiewnym, zapadła decyzja o jego rekonstrukcji.





Nie byłaby ona możliwa, gdyby nie prace białoruskiego naukowca **Piotra Łysienko**, który ponad pół wieku temu odkrył ruiny turowskiego soboru, centrum jednej z najstarszych diecezji.

Już w 1962 roku odnalazł w nich cztery medaliony. Leżały na tej samej głębokości (około 1,8 metra), w tej samej warstwie ziemi, w sąsiednich kwadratach, w niedużej od siebie odległości. Piotr Łysienko wyraził przypuszczenie, że ikonki mogą mieć związek z krzyżem. Tej hipotezy do tej pory nikt nie podważył. Uważa się, że fundatorem diecezjalnego krzyża był jeden z kniaziów – Gleb, który na chrzcie otrzymał imię Michaił.

Rekonstrukcja krzyża trwała trzy lata, dwa lata badań i rok pracy.

Krzyż upiększają wizerunki św. Cyryla Turowskiego, *błagowiernego* kniazia Andreja Bogolubskiego i męczennicy Barbary. Święci ci byli związani z ziemią białoruską, z turowskim księstwem. Kniaź Andrej Bogolubski rządził w Turowie na początku dwunastego wieku, a wzniesiony na Pińszczyźnie żeński monaster św. Barbary jest otwarty i dzisiaj. Zrekonstruowany krzyż jest także małym relikwiarzem.

Tam gdzie umieszczono wizerunek św. św. Konstantego i Heleny, zostanie włożona, przekazana przez metropolitę Filareta, cząsteczka Krzyża Pańskiego. Oprócz niej, także cząsteczka relikwii św. Apostoła Andrzeja, dar patriarchy Kiryła, cząsteczka *moszczi* św. Mikołaja, podarowana przez metropolitę Beniamina i św. Barbary, ofiarowana przez metropolitę Onufrego.

Krzyż ma 50,5 cm długości i 21 cm szerokości.

Jego wymiary obliczono na podstawie wielkości odnalezionych ołowianych matryc. Krzyż nie jest ciężki, waży zaledwie 1,2 kg. Został wykonany z cyprysu (na Białoruś przewieziono go z pracowni stolarskiej monasteru św. Pantelejmona na Atosie), tu na miejscu obłożono złotem, wkomponowując ikonki i drogie kamienie.

Prezentacja zrekonstruowanego Krzyża odbyła się 26 września w cerkwi św. Cyryla Turowskiego przy

Mińskiej Duchownej Akademii, a podwyższenie – podczas *wsienoszczni* przed *Wozdwiżenijem* w mińskim soborze Świętego Ducha.

Relikwie zostaną umieszczone przed majem przyszłego roku, na święto św. Kiryła Turowskiego, wtedy też Krzyż zostanie przewieziony do Turowa.

Zrekonstruowano go w dwóch egzemplarzach, drugi, bez *moszczi*, zostanie w Białoruskiej Akademii Nauk.

Pracami nad rekonstrukcją Krzyża kierowała **Maria Niecwietajewa**, przewodnicząca synodalnego oddziału białoruskiej Cerkwi do spraw sztuki cerkiewnej, architektury i restauracji, autorką zwycięskiego projektu jest **Jelena Andruszczenko**, a krzyż wykonał jubiler **Oleg Jarmołowicz**.

Wywiad z nim zamieszczamy poniżej.

Na podstawie
http://www.church.by
https://www.tvr.by
opr. **Ałła Matreńczyk**

Krzyż jak kazanie

Anastasija Marczuk: – Jak przebiegała praca nad Krzyżem Turowskim?

Oleg Jarmołowicz: – Nie była prosta. Już na starcie pytań padło wiele, a informacji brakowało. Dlatego pojawił się pomysł zorganizowania konkursu na szkice.

– Za podstawę brane były znane już wzorce z tego okresu? Od razu przychodzi na myśl krzyż Eufrozyny Połockiej…

– Tak, jeśli chodzi o wymiary i materiały za podstawę brano podobne egzemplarze, w szczególności Krzyż św. Eufrozyny Połockiej z cyprysową podstawą. Ale moja pierwotna wizja różniła się od tego, co powstało. W trakcie prac analizowaliśmy dostępne informacje. Pomogła też znajomość technologii tej epoki – odlewy z brązu, wykorzystanie odlewniczych form ze steatytów, łupków, których złoża znajdowały się w pobliżu, w Owruczu. Wszystko to doprowadziło do podjęcia ostatecznych decyzji.

– Jakie to miało znaczenie dla Pana jako chrześcijanina?

– Na konferencji prasowej mówiono o cudach, które mogą towarzyszyć pracy nad krzyżem. W istocie, w trakcie prac małych cudów było wystarczająco dużo – i to na każdym etapie. Kiedy rozpoczęły się rozmowy o odwrotnej stronie Krzyża, ze zdziwieniem odnalazłem obraz krzyża, który teraz nazwaliśmy turowskim. To czteroramienny krzyż na freskach, na mozaikach Kijowskiej Sofii, pochodzących z XII-XIII wieku. Znaleźliśmy około dziesięciu wizerunków w różnych miejscach.

Zewnętrzna warstwa upiększona jest kamieniami szlachetnymi i półszlachetnymi. Podczas pracy z połockim krzyżem w pewnym stopniu zrozumieliśmy, do czego służyły kamienie – gdzie były umieszczane, jak i dlaczego. Z poszanowaniem tych tradycji umieściliśmy kamienie także na Krzyżu Turowskim. Lazuryty naturalne w dolnej części drzewka, zielone chromodiopsydy, czerwone granaty są dość duże. U góry Krzyża został umieszczony duży zielony szmaragd (wyhodowany w laboratorium Akademii Nauk), a w środku rubin. To był zaskakujący moment. Podczas pracy nad szkicem autor zaplanował umieścić kamienie w innym porządku. W trakcie wykonania okazało się, że zarówno jeśli chodzi o kolor, jak i kamienie – wszystko znajduje się na swoim miejscu.

– Co dokładnie ma Pan na myśli?

– W Kazaniu na Górze Jezusa Chrystusa padają słowa, o kamieniu użytym do budowy domu. *Każdego, kto tych słów moich słucha i wypełnia je, można porównać z człowiekiem roztropnym, który dom swój zbudował na skale* (Mt 7,24). I taki dom wytrzyma burze i klęski, jakie by mu zagrażały. A jeśli zbudować na piasku, to spadnie deszcz, powieją wiatry – i dom runie… Tak więc kamień jest podstawą – kamień o określonych właściwościach. To twardość, ale nie tylko.

– Czy można powiedzieć, że udało się odtworzyć nie tylko symbolikę, ale i stare technologie?

– Tak, Krzyż został wykonany przy użyciu średniowiecznych technologii. Oczywiście, niektórych współczesnych metod nie mogliśmy pominąć i stopy metali odpowiadają współczesnym standardom. Ale standardy te są bliskie proporcjom, stosowanym w XII-XIII wieku. W przypadku Krzyża, który często był trzymany w rękach, wykorzystywano nieco niższą próbę, ze względu na wymaganą wytrzymałość. Ale np. same ikonki zostały wykonane ze złota próby 958 – praktycznie najwyższej, metal miękki i plastyczny wygląda jak czyste złoto.

– Ważne tu są i technologie i – można by rzec – duchowa zawartość.

– Duchowa zawartość, część tematyczna, była najprawdopodobniej prerogatywą mnichów, osób duchownych. Na Krzyżu Eufrozyny Połockiej jest napis: *Jefrosinija że, raba Bożyja, stiażaw krest siej, da priimiet wiecznyju żyźn, co wsiemi swiatymi*. Niestety, w czasach radzieckich słowo *stiażaw* było tłumaczone jako „zamówiwszy", „która zamówiła", ale to błędne tłumaczenie. Czasownika *stiażat'* używał Serafin Sarowski. Mówił, że celem życia chrześcijanina jest *stiażanije* (zdobywanie) Ducha Świętego. To owoc całego życia. I cały obraz połockiego Krzyża – to swoisty owoc życia Eufrozyny Połockiej.

Co się tyczy Krzyża Turowskiego – staraliśmy się, żeby było wykorzystane i to doświadczenie, i pewne tradycje. Przed wykonaniem tej pracy przeczytałem niemało pozycji na temat turowskiego księstwa XII-XIII wieku – to smutne czasy, pozostawało dosłownie parę dziesięcioleci do najazdu Mongołów. I było to swego rodzaju kazanie w kształcie obrazu Krzyża – symbolu jedności, zjednoczenia. Mamy nadzieję, że i w Krzyżu Turowskim ten obraz zostanie wcielony w życie!

Za Oficjalnym Portalem
Białoruskiej Cerkwi Prawosławnej
tłum. **Ałła Matreńczyk**

Przybywa fresków

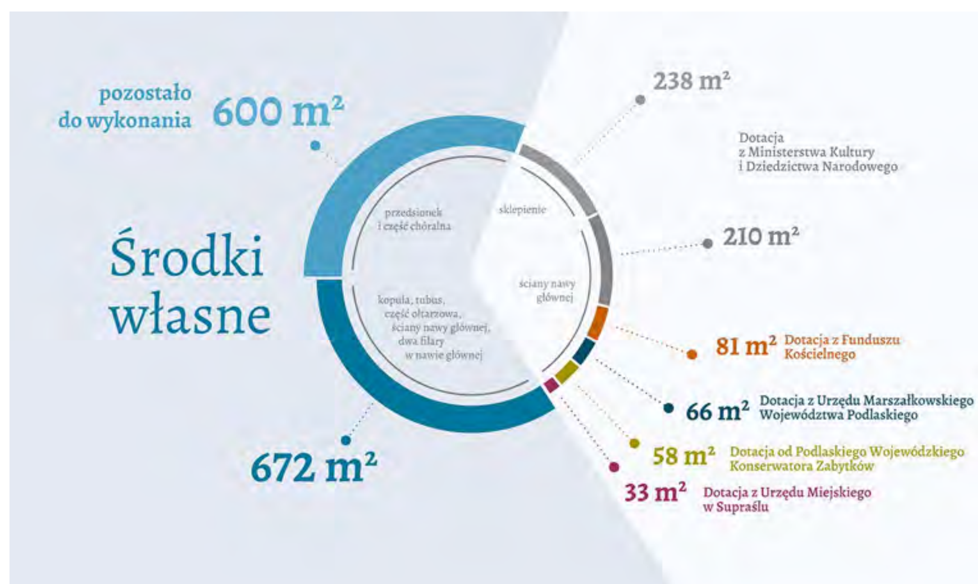


Na naszych oczach powstaje dzieło, o którym będzie się pamiętało wiekami – to odtwarzanie fresków w zrekonstruowanej cerkwi Zwiastowania Bogarodzicy w supraskim monasterze. Tak samo jak pamiętamy o freskach w tej świątyni istniejących przed jej wyburzeniem przez hitlerowców w 1944 roku, a stworzonych w połowie XVI wieku przez Serba Nektarija i jego pomocników.

Odtwarzanie fresków trwa od 2016 roku. Podjęto się niezwykle śmiałego artystycznie i technicznie zadania, którego teraz, w świecie kultury zachodniej praktycznie nikt się nie podejmuje, na Wschodzie zaś rzadko, ze względu na kosztowność przedsięwzięcia.

– Kaplica Sykstyńska w Rzymie, z malowidłami pędzla Michała Anioła, należy do najbardziej znanych obiektów w Europie zachodniej, pokrytych freskami – mówi **Krzystof Stawecki**, konserwator zabytków, który nadzoruje proces odtwarzania fresków w Supraślu. – Kiedyś po tę technikę sięgano często, dziś bardzo rzadko.

Co mamy po czterech latach prac? Dziś, gdy wchodzimy do cerkwi i mijamy narteks, jeszcze surowy, o powierzchni ścian do malowania gdzieś trzystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych, przechodzimy między kolumnami o łukowym sklepieniu i wchodzimy do nawy głównej. A tu możemy poczuć przedsmak Królestwa Niebiańskiego.



Z kopuły, umieszczonej na 36 metrach wysokości, patrzy na nas Pantokrator. Przedstawienia Bogarodzicy i świętych widzimy w części ołtarzowej, na gwiaździstym sklepieniu, na wszystkich dziś już ścianach i nawet na dwóch potężnych filarach, dźwigających sklepienie.

O poprzednich etapach rekonstrukcji fresków pisaliśmy. Teraz z radością donosimy, że we wrześniu odtworzono freski na północnej ścianie nawy głównej. I tak w pierwszym rzędzie, najwyższym, pojawiły się sceny chrystologiczne, takie jak Zmartwychwstanie Pańskie, w drugim – sceny z akatystu ku czci Bogarodzicy. W trzecim widzimy medaliony, w które wpisano oblicza młodych męczenników, między innymi Platona i Irynarcha. W czwartym, najniższym, mamy przedstawienie pełnych postaci świętych ascetów, między innymi Antoniego Wielkiego, Makarego Wielkiego, Pawła z Teb, Juliana Egipskiego. Każdy z tych rzędów na ścianie północnej kontynuuje treści z rzędów ścian zachodniej i południowej, konsekwentnie „opasując" cerkiew opowieścią o zbliżonej treści.

Hierarchia, porządek i piękno – te słowa najbardziej chyba oddają to, co widzimy w nawie głównej.

A jeszcze filary! Są tak potężne, że zmieściły przedstawienia pełnopostaciowe 48 świętych wojowników, którzy swe życie oddali za Chrystusa! Wśród nich między innymi święci Jerzy Zwycięzca, Dymitr z Salonik, Leoncjusz, Sergiusz, Bachus, Walenty, Wiktor, Eugeniusz, Maurycy, Nestor. Filary rozpisywano w październiku.

Na około tysiącu metrach kwadratowych, wliczając tubus i kopułę, mamy już freski. To ogromne osiągnięcie.

Ikonopiscy przeszli już, czyli jeszcze w tym roku, do rozpisywania narteksu oraz kończenia malowideł na chórze.



W monasterze wykorzystano różne drogi zdobywania pieniędzy – z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, funduszu kościelnego, urzędu marszałkowskiego województwa podlaskiego, podlaskiego wojewódzkiego konserwatora zabytków, gminy Supraśl. Te pieniądze pozwoliły na opłacenie kosztów pokrycia freskami 630 metrów kwadratowych powierzchni ścian. Ale najwięcej wydano przy tworzeniu malowideł własnych pieniędzy, pochodzących głównie z ofiar wiernych. Pozwoliły one na pokrycie kopuły, części tubusu, części ołtarzowej i filarów. Pieniądze te pokryją też koszty fresków, które powstaną w narteksie i w części dla chóru, czyli na 700 metrach kwadratowych.

Trudno sobie wyobrazić, jak wierni prawosławni, bez wsparcia z zewnątrz, poradziliby sobie z tym zadaniem.

Ale ich ofiary są nadal bardzo potrzebne, po to by dzieło kontynuowano w narteksie. Można je przekazywać na numer konta:

Bank Spółdzielczy w Białymstoku, oddział w Supraślu
83 8060 0004 0680 0286 2000 0010
Klasztor Męski
Zwiastowania Bogarodzicy
ul. Klasztorna 1
16-030 Supraśl.

Anna Radziukiewicz
fot. **Sławomir Kiryluk**

W stulecie ponownych urodzin

Łódzka parafia św. Aleksandra Newskiego została założona w 1884 roku. 1920 rok można uznać za jej drugie urodziny, bo właśnie wtedy władze II RP potwierdziły istnienie parafii. Od tamtej chwili prawosławna wspólnota Łodzi otworzyła nowy rozdział w swojej prawie 140-letniej historii.

W odróżnieniu od współwyznawców z innych miast i miasteczek dawnego Królestwa Polskiego łodzianie mieli sporo szczęścia, bo w trakcie pierwszej wojny sobór św. Aleksandra Newskiego nie został zamknięty. Proboszcz, o. **Antoni Rudlewski**, zorganizował pomoc dla potrzebujących – serwowano np. posiłki dzieciom, których ojcowie znaleźli się na froncie. Co więcej, w czasie wojny nawet przeprowadzono remont cerkwi garnizonowej św. Aleksego!

W II RP łodzianie musieli zawalczyć o swoje cztery świątynie – sobór św. Aleksandra Newskiego, cerkiew św. Olgi, cerkiew św. Aleksego i cerkiew Zaśnięcia Bogarodzicy na cmentarzu na Dołach.

Najtrudniejsza okazała się sytuacja prawna cerkwi garnizonowej św. Aleksego, wybudowanej w 1896 roku ze środków łódzkich fabrykantów pochodzenia niemieckiego i żydowskiego. Niestety, osoby odpowiedzialne za stan prawny tej inwestycji nie wywiązały się z zadania.

W 1894 roku Komitet Budowy Cerkwi zakupił trzy działki, ale tylko dla jednej z nich założono księgę hipoteczną. Łódzki fabrykant **Juliusz Kunitzer**, członek tego gremium, miał załatwić formalności związane z pozostałymi działkami. W 1905 roku przedsiębiorca zmarł, nie zrobiwszy nic. Następną osobą wyznaczoną do wykonania tego zadania został zastępca prezydenta Łodzi **Josif Andriejew**, który też nie wypełnił obowiązku. Po zakończeniu pierwszej wojny nieuregulowana sytuacja prawna tego gruntu spowodowała, że magistrat miasta Łodzi wysnuł taki oto wniosek: „Plac zakupiono i cerkiew pobudowano wyłącznie ze składek tutejszych mieszkańców. Od skarbu państwa ani od Ministerstwa Wojny nic na ten cel nie otrzymano. Wszystkie zaś następne reparacje i odświeżenia uskuteczniane były na koszt Kasy Miejskiej".

W ten sposób wojsko polskie przejęło świątynię św. Aleksego i otaczający go plac. Już na początku 1919 roku w cerkwi zaczęto odprawiać katolickie nabożeństwa. Świątynię, której patronem został św. Jerzy, wyświęcił proboszcz parafii św. Stanisława Kostki i późniejszy biskup diecezji łódzkiej ks. biskup **Wincenty Tymieniecki**.

Kościół katolicki usiłował odebrać parafii św. Aleksandra nekropolię prawosławną na Dołach. We wrześniu 1920 roku ordynariusz archidiecezji łódzkiej, biskup Tymieniecki, zwrócił się w tej sprawie do wojewody łódzkiego, utrzymując że działkę tę bezprawnie zawłaszczyły władze rosyjskie. Dlatego należało ją zwrócić. Duchowny alarmował, że na cmentarzach katolickich zaczęło brakować miejsc grzebalnych i podkreślał, że skoro prawosławni mają cmentarz przy ul. Ogrodowej, nekropolia na Dolach jest im zbędna. Władze Łodzi przeprowadziły dochodzenie w sprawie własności działki. Jak wynikało z odnalezionych dokumentów i zeznania **Walentego Kamińskiego**, członka dozoru kościelnego parafii Najświętszej Marii Panny, od której odkupiono działkę pod nekropolię, cmentarz był własnością parafii prawosławnej. Ówczesne władze miejskie zezwoliły na założenie cmentarza na Dołach pod warunkiem, że katolicy odstąpią część terenu prawosławnym, za co otrzymali

Cerkiew św. Aleksandra Newskiego na niemieckiej pocztówce z lat pierwszej wojny światowej
Niżej cerkiew św. Aleksego, teraz – bez kopuł – kościół św. Jerzego

zapłatę ze środków łódzkiego magistratu. Biskup Tymieniecki jednak nie zgadzał się z takim traktowaniem sprawy, gdyż jego zdaniem dozór kościelny parafii Najświętszej Marii Panny działał pod przymusem, co pozwalało uznać transakcję za niebyłą. Te argumenty nie zostały uwzględnione przez miejski magistrat i sprawa wkrótce została zamknięta.

W wielu byłych miastach gubernialnych i powiatowych, np. Radomiu, Warszawie, Wieluniu i Sieradzu, prawosławne świątynie rozebrano lub przekształcono na katolickie. W Łodzi nie istniało niebezpieczeństwo zniszczenia soboru św. Aleksandra Newskiego. Dlaczego? Jednym z powodów zapewne był wielowyznaniowy i wielonarodowy charakter miasta,





gdzie w latach 70. i 80. XIX wieku katolicy stanowili mniej niż 50 procent mieszkańców. Tym niemniej magistrat miał wątpliwości, kto był właścicielem placu, na którym wzniesiono świątynię, bo działka nie otrzymała numeru hipotecznego. Jak wynika z korespondencji pomiędzy archiwum miasta Łodzi a wydziałem budownictwa łódzkiego magistratu, wiadomo było jedynie, że „cerkiew została zbudowana kosztem obywateli m. Łodzi na placu miejskim i że sprawą budowy zajmował się oddzielny Komitet, bez współudziału Magistratu". W archiwum państwowym nie zachował się żaden dokument, potwierdzający oddanie działki na własność parafii prawosławnej. Sprawa znalazła pomyślne rozwiązanie dopiero w 1936 roku, gdy łódzki adwokat **Mieczysław Jastrzębski** wystąpił w imieniu metropolity Cerkwi w Polsce o nadanie temu placowi numeru hipotecznego i wpisanie go do ksiąg wieczystych. Grunt otrzymał numer 2871, na mocy zasiedlenia miał on też stanowić własność parafii prawosławnej św. Aleksandra Newskiego.

Żadnych zastrzeżeń nie budziła kwestia własności cerkwi św. Olgi, domu parafialnego i działki, gdyż owe nieruchomości przy ul. Olgińskiej (obecnie Piramowicza) zostały wniesione do księgi hipotecznej pod nr. rep. 1813 i stanowiły własność parafii prawosławnej.

27 października 1936 roku sąd w Łodzi postanowił, że owe działki, czyli ta pod cerkwią i ta gdzie znajduje się ochronka, „stanowią własność Cerkwi Parafialnej pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego". Duchowni mieszkali w domu parafialnym przy ul. Narutowicza 46, tutaj znajdowały się też mieszkania kościelnego, dozorców i grabarzy oraz lokale pod wynajem. Na pierwszym piętrze budynku przytułku przy Piramowicza 12 mieściła się czteroklasowa elementarna szkoła rosyjska o numerze 89. W roku szkolnym 1919/1920 uczęszczało do niej ponad dwustu uczniów.

Odradzało się życie parafialne. Do dawnej świetności powrócił chór prowadzony przez **Sergiusza Kocyka**, w przeszłości dyrygenta chóru w Rzymie. Kontynuowano działalność charytatywną i oświatową, prężnie pracowała rada parafialna, która 23 września 1920 roku przyjęła „Ustawę Kuratorium Cerkiewno-Parafialnego przy Łódzkim Prawosławnym Aleksandro-Newskim Soborze". Członkami tego gremium były osoby poważane w środowisku miejscowych prawosławnych – m.in. prezesem Kuratorium był sędzia **Włodzimierz Mujew**, **Wasilij Jegorow**, były sekretarz łódzkiego magistratu, został starostą cerkiewnym, jego następcą wybrano **Josifa Andriejewa**, byłego zastępcę prezydenta **Władysława Pieńkowskiego**. W Kuratorium znalazł się też **Jan Fiediaj**, kontroler Międzynarodowego Towarzystwa Wagonów Sypialnych, przed pierwszą wojną (w latach 1908-1914) oficer w elitarnym Lejbgwardii Keksholmskim Pułku Piechoty w Warszawie i absolwent warszawskiego korpusu kadetów. Członkami były osoby

O. Awajew przed wojnowską cerkwią, obok po uroczystości wyświęcenia cerkwi w 1927 roku metropolita Eulogiusz z gośćmi, niżej jedna z niemieckich pocztówek reklamujących ruską wieś w Prusach

z doświadczeniem w zarządzaniu finansami, co nie powinno dziwić, gdyż parafia była pewnego rodzaju przedsiębiorstwem. Poza tym w okresie międzywojennym, a zwłaszcza w pierwszych latach niepodległości, kiedy sytuacja prawna Cerkwi wciąż jeszcze nie była uregulowana, przeżywała ona niełatwy okres. Straciła swoją uprzywilejowaną pozycję i – co za tym idzie – dotacje państwowe, stąd u steru miały stanąć osoby doświadczone w sprawach finansowych. Takim człowiek był **Teodor** (**Fiodor**) **Kirpacz**, dyrektor w Banku Polskich Kupców i Przemysłowców Chrześcijan, będący zarówno członkiem rady parafialnej, jak i kuratorem ochronki św. Olgi. Inny bankowiec, **Aleksander Łangowy**, mąż **Zofii Jegorow** (córki **Wasilja Jegorowa**) dołączył do rady jako skarbnik. Członkiem komisji finansowej został kupiec **Sergiusz Joffe**, właściciel cukierni przy ul. Głównej (Piłsudskiego) 56, który również mieszkał w Łodzi przed wojną, ponieważ jego ojciec prowadził tutaj firmę, skarbnikiem **Aleksandr Dorofiejew**, były pracownik Ministerstwa Skarbu Państwa.

W Kuratorium istniała sekcja prawna, składająca się z zawodowych prawników, i kulturalna. Do Kuratorium zwracali się obywatele w potrzebie, np. poszukujący pracy. Kuratorium dokładało wysiłków, by pomóc w znalezieniu zatrudnienia, a w międzyczasie bezrobotni mogli stołować się ochronce. Pewien porucznik, rosyjski emigrant nazwiskiem **Zaikin**, znalazł pracę na wschodzie kraju, ale nie miał środków na zakup biletu, więc Kuratorium postanowiło sfinansować podróż mężczyzny, jego żony i dziecka. Kuratorium udzielało pożyczek członkom parafii, które ci spłacali w ratach. Z okazji Świąt Wielkiej Nocy najbiedniejsze rodziny otrzymywały wsparcie finansowe.

Jednym z podstawowych zadań Kuratorium było „utrzymanie w pełnym porządku cerkwi i cmentarzy", a także opieka nad istniejącym od 1898 roku sierocińcem św. Olgi. Nad działalnością ochronki czuwała rada opiekuńcza, szefem której najpierw był proboszcz parafii św. Aleksandra Newskiego, o. **Teodor Walikowski**, a potem jego następcy. „Wysokim Opiekunem" sierocińca był „Jego Eminencja Metropolita Warszawski Zwierzchnik Kościoła Prawosławnego w Polsce".

W ochronce św. Olgi mieszkały dzieci w wieku od 6 do 15 lat, „pozbawione należytej opieki i wychowania". Wśród podopiecznych były sieroty i półsieroty, które znajdowały się na pełnym utrzymaniu parafii. Fama o łódzkim sierocińcu sięgała też Kalisza, bo z prośbą o zaopiekowanie się jej dziećmi – 10-letnią Ksenią i 8-letnią Tatianą – do parafii zwróciła się mieszkanka tego miasta, **Nina Dionisjew**. Jej rodzina znajdowała się w trudnej sytuacji – chory na gruźlicę mąż nie był w stanie pracować, a ośmioosobowa rodzina (oprócz dziewczynek małżonkowie mieli jeszcze czwórkę dzieci) mieszkała w ciasnym pokoiku. Zrozpaczona pani Dionisjew „błagała o litość", więc na jej podaniu znajduje się adnotacja „przyjąć".

Ochronka św. Olgi pomagała też rodzicom wyznania katolickiego, np. owdowiałemu **Adamowi Kucharskiemu** ze Strykowa, ojcu pięciorga prawosławnych dzieci, gdyż ich zmarła matka była tego wyznania. Jak wynika z podania mężczyzny, zależało mu na tym, by jego osierocone przez żonę dzieci mogły wychowywać się w religii ich matki. Kucharski szczególnie troszczył się o to, by najmłodsza, ośmioletnia córka Anastazja mogła poznać prawosławie.

W wieku piętnastu lat wychowankowie opuszczali ochronkę. Ci mający chociaż jednego rodzica, wracali do domu, o sieroty dbała rada opiekuńcza ochronki, umieszczając je „na odpowiednich posadach" lub kierując „na praktykę rzemieślniczą zależnie od zdolności". Przy zwolnieniu z sierocińca piętnastolatkowie otrzymywali zapas bielizny, ubranie, palto, parę obuwia, a rada opiekuńcza „czuwała nad ich życiową karierą do chwili zupełnej życiowej dojrzałości".

Wioletta Wiernicka
fot. **archiwum Aleksandra Sosny**

Oficer i mnich

8 marca (według starego stylu) 1882 roku urodził się o. Aleksander Michajłowicz Awajew, budowniczy i wieloletni proboszcz prawosławnej cerkwi w położonej w Prusach Wschodnich wsi Wojnowie (od 1935 do 1945 roku Eckertsdorfie).



Metropolita **Eulogiusz** (**Gieorgijewski**), który w 1921 roku na prawach biskupa diecezjalnego stanął na czele prawosławnych parafii w Europie Zachodniej, wspomina w książce „Droga mojego życia" okoliczności powstania prawosławnej parafii w Wojnowie. Założyli ją staroobrzędowcy, którzy w pierwszej połowie XIX wieku przesiedlili się do Prus, uciekając z państwa rosyjskiego przed poborem do wojska. Część z nich kilkadziesiąt lat później stała się tzw. jednowiercami, powróciła do Cerkwi, zachowując tradycję sprzed





czasów prześladowań. Metropolita podkreśla, że przed pierwszą wojną światową duchową opiekę nad pruskimi jednowiercami sprawował, z rzadka ich odwiedzając, o. **Aleksy Malcew**, proboszcz cerkwi przy rosyjskiej ambasadzie w Berlinie. We wsi Osiniak (Fieodorwald) jednowiercy zbudowali niedużą cerkiew.

Na początku pierwszej wojny o. Aleksy Malcew został wysłany z Niemiec i duchowa opieka nad jednowiercami w Prusach Wschodnich została przerwana. Sytuacja była żałosna. „W czasie wojny jednowiercy znaleźli się w dramatycznej sytuacji. W duszy byli Rosjanami, a przyszło im służyć w niemieckim wojsku. Niemcy liczyli się z tym, postępowali rozsądnie – wysłali ich na włoski front albo powierzali nieliniowe obowiązki”.

W końcu wojna dobiegła końca. Metropolita (wtedy jeszcze arcybiskup) Eulogiusz, który w 1921 roku osiadł w Berlinie, skierował do Wojnowa do rozmów z jednowiercami w celu zorganizowania parafii i budowy cerkwi o. **Diodora Kołpińskiego**. Ten jednak nie podołał postawionemu przed nim zadaniu i wtedy na jego miejsce został wyznaczony o. **Aleksander Awajew**, który przybył do Prus Wschodnich we wrześniu 1922 roku i osiadł najpierw we wsi Kadzidłowo nieopodal Wojnowa.

O. Aleksander Michajłowicz Awajew pochodził z rodziny szlacheckiej. Był oficerem pułku grenadierów w Moskwie. Uczestniczył w rosyjsko -japońskiej wojnie 1904-1905. Na początku 1911 roku w stopniu kapitana porzucił służbę wojskową. Wstąpił do Optyńskiej Pustelni, gdzie został *riasofornym* mnichem w skicie św. Jana Chrzciciela. Początkowo był *posłusznikiem* starca **Warsonofiusza**. Do 1914 roku z błogosławieństwa starca prowadził kronikę pustelni. Potem *nastawnikiem* mnicha Aleksandra był starzec **Nektariusz**. Rozpoczęła się pierwsza wojna światowa. Przed rewolucją do rosyjskiej armii nie powoływano jedynie *mantijnych* mnichów, a *riasofornych* powoływano. O. Aleksandra powołano i 27 lipca 1914 roku wyruszył na wojskową służbę. Starzec Nektariusz powiedział mu: „O nic sam nie proś, a idź, dokąd cię pośle Pan poprzez ludzi i okoliczności”.

I tak Awajew znalazł się na froncie, uczestniczył w natarciu rosyjskiej armii w Prusach Wschodnich. W lutym 1915 roku, podczas zimowej bitwy na Mazurach, trafił do niewoli. Wojnę spędził w obozie jenieckim, a po rewolucji pozostał w Niemczech. Udział w wojnie nie zgasił w Awajewie monastycznego ducha i w 1921 roku władyka Eulogiusz wyświęcił Aleksandra na duchownego. A duchowny z niego był wspaniały – skromny, bezgranicznie oddany swemu stadu.

O. Aleksander zaczął służyć zgodnie ze staroobrzędowym *ustawem*, porozumiał się z parafią i stał się ulubionym batiuszką. Jeden z chłopów, **Ioann Macedoński**, ofiarował kawałek ziemi. O. Aleksander zebrał pieniądze i w latach 1922-1923 zbudował przepiękną drewnianą cerkiew Zaśnięcia Bogarodzicy i pod jednym dachem pomieszczenie dla szkoły, proboszcza i stróża. Władykę Eulogiusza poproszono o wyświęcenie cerkwi, czego dokonał w maju 1927 roku. W swoich wspomnieniach pisze:

„Niezapomniana podróż! Radosne wspomnienia… Z rozkoszą spędziłem tam około tygodnia. Na stacji

z radością przywitali mnie chłopi i powieźli do cerkwi. Po drodze spotykaliśmy „bezpopowców” – staruszki, baby… Na mój widok odwracały się, pluły, ale mimo wszystko ukradkiem chciały popatrzeć, co za biskup przyjechał. Wieczorem w cerkwi była *wsienoszcznia*. Trwała od szóstej po południu do pierwszej w nocy. Służba u starowierców jest odprawiana bez najmniejszych opuszczeń. *Piewczyje* znają słowa na pamięć i śpiewa prawie cała cerkiew. Stoję na prawym klirosie, na widoku – nie ma jak odejść, a oni wciąż czytają i czytają – bez najmniejszych oznak zmęczenia! Sześciopsalmie przeczytała dziesięcio-dwunastolatka z artyzmem. Ani jeden *psałomszczyk* tak nie przeczyta. Modlą się starowiercy gorliwie, stoją pobożnie. Mężczyźni w marszczonych w pasie kapotach po jednej stronie, kobiety w chustkach po drugiej. Ani jednego kapelusza. Ani jednej ogolonej twarzy. Dyscyplina wśród modlących się żelazna. – Nie waż się usiąść, nie waż się odejść. A jeśli jakaś dziewczyna odważy się pomyśleć o wyjściu – wszystkie staruszki zasyczą… Po nabożeństwie podzieliłem się swoimi wrażeniami z batiuszką. „To nic – powiedział – a kanon Andrzeja z Krtety to naprawdę może wydać się ponad siły. Po każdej *stichirze* trzy pokłony do ziemi. Ponad tysiąc pokłonów do ziemi! Ale oni się do nich przyzwyczaili, biją je, opuszczając się na ręce tak lekko i zręcznie, jakby piłki od ziemi się odbijały”.

Następnego dnia było wyświęcenie świątyni, a po uroczystości obwieziono mnie po chutorach i wszędzie gościnnie ugoszczano. Żyją starowiercy bogato, czerpiąc dochód głównie z sadów owocowych, własnych albo arendowanych u właścicieli ziemskich, i wiodą dawne stare ruskie życie, pobożnie strzegąc starych cerkiewnych tradycji. Ileż lat przeżyli w niemieckiej kulturze – i nie poddali się, choć z niektórych jej owoców skorzystali. I tak na przykład mają przepiękną niemiecką szkołę, a obok niej swoją, cerkiewnosłowiańską, w której uczą się z *Czasosłowa* i psałterza. Godni szacunku, pracowici, silni ludzie.

Na wyświęcenie przyszli popatrzeć niektórzy „bezpopowcy”. Dowiedziałem się o tym i podczas obiadu pytam obecnych przy stole, czy nie powinienem zajechać z wizytą do „bezpopowców”. A pewien staruszek, który jeszcze walczył pod Sedanem, odpowiada: „Bzdury to, a jeśli do nich już pojedziecie, niczego nie jedzcie, mnie, stolarza, chcieli karmić z miski dla kotów”. Mimo wszystko uznałem, że powinienem „bezpopowców” odwiedzić.

Przyjeżdżam. Maleńki domek w kwitnącym sadzie. Dookoła fale białych kwiatów… Wokół domu siedzi młoda, ładna, o „niesterowskim wyglądzie” dziewczyna, w białej chusteczce, czyta książkę – wypisz wymaluj Alonuszka… Wyszła ihumenia. Mądra, nie zaproponowała mi poczęstunku, a zaprowadziła do molenny. Cóż za piękno! Jakie ikony! Stary styl pisania, drogocenne srebrne i złote koszulki… „Bieda, bieda u nas straszna, Władyczycę podczas wojny nam ukradli” – płakała ihumenia. Kiedy wyszliśmy z molenny, napotkaliśmy staruszkę – *psałomszczycę*. „Iłariuszka! Iłariuszka! – zawołała ją ihumenia – Podejdźże tutaj, mądrzy ludzie do nas przyjechali, moglibyśmy się od nich pouczyć”. Iłariuszka, ponura, milcząca staruszka, przysiadła obok na ławce. Jednak rozmowa z surową *staricą* się nie kleiła. Potem dowiedziałem się, że po mojej wizycie, ławkę umyto święconą wodą. A ze mną chytrzyli: „Moglibyśmy się pouczyć”. Staruszek stolarz triumfował: – A nie mówiłem”.





Władyka Eulogiusz poświęcił *Uspienską* cerkiew i wyjechał. O. Aleksander Awajew służył w Wojnowie 35 lat, aż do śmierci w 1956 roku. Przy okazji obsługiwał prawosławną wspólnotę w Kőnigsbergu, której starostą był profesor tamtejszego uniwersytetu **Nikołaj Arseniew**, dwa-trzy razy do roku przyjeżdżał tam na nabożeństwa. 7 stycznia 1931 roku, na Boże Narodzenie, o. Aleksander został podniesiony do godności *protoijereja*. Podczas drugiej wojny duchowny otaczał opieką także i prawosławną wspólnotę w Memele (Kłajpeda).

Wzniesiona przy o. Aleksandrze Awajewie wojnowska cerkiew
Niżej grób o. Aleksandra Awajewa

Duch Optinoj Pustyni przejawiał się w całej jego aktywności. W Wojnowie o. Aleksander zaczął organizować żeńską wspólnotę monastyczną.

Swoje wspomnienia o o. Aleksandrze pozostawił arcybiskup San Francisco **Ioann** (kniaź Szachowski). Od 1932 do 1942 roku, jeszcze jako archimandryta, służył w Berlinie i był dziekanem prawosławnych parafii w Niemczech. Były to parafie zachodnioeuropejskiego egzarchatu metropolity Eulogiusza, które od 1931 roku znajdowały się w jurysdykcji konstantynopolitańskiego patriarchy. Parafia w Wojnowie do nich należała, a archimandryta często odwiedzał w sprawach służbowych Prusy Wschodnie. Arcybiskup Ioann we wspomnieniach pisał, że staroobrzędowcy w Prusach Wschodnich żyli wtedy w „trzech wsiach, a było ich przed drugą wojną światową około tysiąca. Ich główna wieś nazywała się Wojnowo. Do lat 30. XX wieku jedną trzecią mieszkańców Wojnowa stanowili już prawosławni. Cerkiew wspólnoty stała się też usypalnicą żołnierzy, którzy zginęli w 1914 roku nad mazurskimi jeziorami”.

O o. Aleksandrze arcybiskup Ioann wspomina: „Był cierpliwy i mężny spokojnym rosyjskim męstwem. Żadnej religijnej napuszoności w nim nie było. To był gospodarz. Umocnił, poszerzył parafię, nie uciekając się ani do fanatyzmu, ani do świętoszkowatości, a po prostu robiąc to co do niego należało, modląc się, przykładnie żyjąc, trudząc się w pasiece… Służby w parafii przebiegały według starego *ustawu*, według ksiąg sprzed reformy Nikona. Cała cerkiew śpiewała starym *raspiewem*; niedzielna *wsienoszcznia* trwała tam sześć godzin. Słysząc te *raspiewy*, patrząc na te brody i chusteczki, trudno było pamiętać o tym, że jesteś w niemieckim państwie, w Prusach Wschodnich, a nie w skicie nad Morzem Białym... Jak prawdziwy gospodarz traktował o. Aleksander także swoje pszczoły. Czasami korzystałem z jego miodku, a kiedy sam byłem w Wojnowie, to z okazji święta o. Aleksander nalewał jeszcze na trapiezie gościom kieliszek innego miodu, o którym rosyjskie bajki i prawdziwe historie opowiadają: „miód – piwo piłem”. Po raz pierwszy w życiu skosztowałem u o. Aleksandra w Wojnowie tego czystego napitku starej Rusi”.

Życie toczyło się nadal. W 1930 roku w Wojnowie otwarto nową szkołę. W 1935 pracowało w niej trzech nauczycieli, uczyło się 118 uczniów. Nauka odbywała się wyłącznie po niemiecku. Rok 1930 zapoczątkował masowe pielgrzymki niemieckich turystów. W niedzielę 13 lipca 1930 roku staroobrzędowcy obchodzili setną rocznicę przybycia do Wojnowa. Głównym organizatorem obchodów był **Jegor Krassowski**, który w 1929 roku powrócił z Polski, gdzie żył pewien czas w jej południowo-wschodniej (ukraińskiej) części. „Energiczny Krassowski zmobilizował młodzież. Co naturalne, odbyły się nabożeństwa u jednowierców i staroobrzędowców. Potem odbyła się ludowa zabawa – ni to jarmark, ni to festyn. Przez Wojnowo przejechała kawalkada wozów, na których siedzieli przebrani za pierwszych przesiedleńców staroobrzędowcy w ludowych strojach. Odróżniali się odzieżą rybacy, chłopi, tkacze, drwale. Eleganccy chłopcy w kozackich czapkach nieśli zielone flagi, symbolizujące nadzieję. Chór przygotował około trzydziestu rosyjskich ludowych piosenek. Zaprezentowano spektakl „Słońce wzejdzie”. Na pamiątkę jubileuszu poświęcono kamień z napisem „1830-1930”, który do tej pory leży przy drodze do *Uspienskiej* cerkwi”.

Obchody jubileuszu wywołały sensację w Niemczech. Wydarzeniu poświęcono wiele artykułów, wydano kilka pocztówek z fotografiami ze święta. Liczba niemieckich turystów w Wojnowie wzrosła wielokrotnie. Rósł też dobrobyt ruskiej kolonii. Ale i natężenie duchowego życia nie słabło.

Arcybiskup Ioann we wspomnieniach odnotował, że w „Wojnowie o. Aleksander założył także żeńską wspólnotę, w celu misji. Obserwując działania kobiet z monasteru *bezpopowców* prawdopodobnie doszedł do przekonania, że żeńskie misjonarstwo we wsiach przewyższa męskie. Początek wspólnocie położyła sędziwa wdowa, berlińska parafianka Jelena Iwanowa Koreniewa”.

Jelena Koreniewa pochodziła z Charkowa. Jej mąż był bardzo bogatym człowiekiem, ale po rewolucji, w której prawie wszystko utracili, małżonkowie przenieśli się do Berlina. Tam mieli niedużą restaurację. Rewolucja i wojna domowa wywołały u męża chorobę psychiczną, która doprowadziła go do samobójstwa. Wtedy Jelena postanowiła wstąpić do monasteru. Ten monaster postanowiła założyć sama i przejechała do Wojnowa, gdzie z własnych środków wybudowała pokryty dachówką domek z cegły. To ten domek stał się monasterem. Razem z Jeleną żyło kilka ruskich mniszek. Do drugiej wojny było ich pięć. Wszystkie doświadczyły wielu nieszczęść i bied, co czasami rzutowało na ich zachowanie. Jedna z mniszek, **Afanasija**, chodziła zwykle bardzo biednie ubrana i prosiła o datki. Podczas swojej ostatniej podróży znalazła się aż w Gdańsku, gdzie w szpitalu zmarła. Tam okazało się, że w jej pasie zaszytych było mnóstwo brylantów.

Sam o. Awajew żył przy cerkwi. Obok, w drewnianym domku, mieszkał jego *prisłużnik*, **Aleksander Pantelejmowicz Łopuchow**, kozak carskiej armii, z którym Awajew był razem w niemieckiej niewoli.

Po drugiej wojny i zmianie granic w Europie cerkiew Zaśnięcia Bogarodzicy w Wojnowie znalazła się w Polsce. Parafia i jej proboszcz zostali włączeni do jurysdykcji Polskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej.

O. Awajew pozostał proboszczem wojnowskiej parafii do śmierci w 1956 roku. Prowadził ascetyczne i pełne modlitwy życie. Uważany był przez wiernych za *starca w miru*. Został pochowany za ołtarzem cerkwi. W 1995 przy *Uspienskiej* cerkwi powstał żeński monaster. Mogiła Aleksandra Awajewa czczona jest jako jedna ze świętości monasteru.

o. Georgij Biriukow
tłum. **Ałła Matreńczyk**
fot. **archiwum monasteru w Wojnowie**, **Anna Radziukiewicz**

Serbski misjonarz w Ameryce

Pięć lat temu sobór biskupów Serbskiej Cerkwi Prawosławnej podjął decyzję o kanonizacji św. Mardariusza (Uskokovicia), pierwszego serbskiego misjonarza i biskupa w Ameryce Północnej. W tym roku mija 85 lat od śmierci wybitnego hierarchy, który prowadził aktywną działalność arcypasterską w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, przede wszystkim wśród ludności pochodzenia serbskiego. Dzięki jego niestrudzonemu zaangażowaniu w rozprzestrzenianiu wiary prawosławnej powstało wiele nowych parafii. Z jego inicjatywy założono monaster św. Sawy w Libertyville w stanie Illinois, który stał się istotnym ośrodkiem życia duchowego i kulturalnego Serbów w Ameryce Północnej. W kalendarzu liturgicznym święty jest wspominany 29 listopada/12 grudnia.

Jan **Uskoković** urodził się 2 listopada 1889 roku w miejscowości Kornet w pobliżu obecnej stolicy Czarnogóry, Podgoricy. Jego rodzice, **Petar** i **Jela**, byli sprawiedliwymi, wierzącymi ludźmi.

W 1906 roku, po ukończeniu szkół w Cetyni i Belgradzie, przyjął postrzyżyny mnisze i święcenia diakońskie w monasterze Studenica w środkowej Serbii. Otrzymał imię ku czci męczennika, który za panowania cesarza **Dioklecjana** na początku IV wieku poniósł śmierć w mieście Sebasta w ówczesnej Armenii. Przed kresem swojego życia wczesnochrześcijański wyznawca wypowiedział słowa, które w praktyce liturgicznej stały się końcową modlitwą nabożeństwa trzeciej godziny, czytanego zazwyczaj przed Liturgią św. Jana Chryzostoma.

Św. Mardariusz (Uskoković) z błogosławieństwa metropolity **Dymitra** w styczniu 1907 roku został oddelegowany na służbę do *podworija* Serbskiej Cerkwi Prawosławnej w Moskwie. Po ośmiu miesiącach rozpoczął naukę w Wołyńskim Seminarium Duchownym w Żytomierzu, po czym przeniósł się do seminarium w Kiszyniowie, dzisiejszej stolicy Mołdawii, gdzie w 1909 roku otrzymał święcenia kapłańskie. Po ukończeniu tam edukacji w 1912 roku kontynuował studia w Akademii Teologicznej w Petersburgu, gdzie po obronie pracy w 1916 roku otrzymał stopień kandydata teologii.

Podczas nauki często sprawował nabożeństwa w soborze w Carskim Siole, gdzie modliła się cała rodzina carska, z którą o. Mardariusz utrzymywał ścisłe kontakty. Przyszły święty odbył wiele podróży, w czasie których odwiedził m.in. Konstantynopol, Świętą Górę Atos, Saloniki, Ateny, Jerozolimę.





Po ukończeniu studiów św. Mardariusz został wykładowcą homiletyki w Aleksandrowskim Seminarium Duchownym w Ardonie w diecezji władykaukaskiej. 3 lipca 1917 roku Synod Ruskiej Cerkwi Prawosławnej wyznaczył go na kierownika serbskiej misji w Ameryce Północnej, działającej w jurysdykcji diecezji aleuckiej i północnoamerykańskiej. Z błogosławieństwa św. Mikołaja (Velimirovicia, 1881-1956) duchowny udał się do Stanów Zjednoczonych. W Filadelfii w

Cerkiew w Libertyville, z zewnątrz i wewnątrz

Św. Mardariusz (Uskoković), ikona z serbskiego soboru katedralnego Zmartwychwstania Pańskiego w Chicago, na następnej stronie relikwie świętego



stanie Pensylwania otrzymał godność archimandryty.

28 lutego 1919 roku II Wszechamerykański Sobór Ruskiej Cerkwi Prawosławnej wybrał archimandrytę Mardariusza na biskupa, którego głównym zadaniem miała być opieka duszpasterska nad serbskimi parafiami w Ameryce Północnej. W 1920 roku powrócił on do swej ojczyzny, gdzie patriarcha serbski **Dymitr** (**Pavlović**) (1846-1930) wyznaczył go na przełożonego monasteru Rakovica i dyrektora miejscowej szkoły cerkiewnej.

Zgodnie z decyzją patriarchatu serbskiego archimandryta Mardariusz udał się ponownie do Ameryki w 1923 roku, gdzie pełnił funkcję administratora nowo powstałej serbskiej diecezji amerykańsko-kanadyjskiej. Dzięki jego staraniom zakupiono około pięciu hektarów ziemi w położonej sześćdziesiąt kilometrów na północ od Chicago miejscowości Libertyville w celu utworzenia duchowego centrum.

7 grudnia 1925 roku Sobór Biskupów Serbskiej Cerkwi Prawosławnej, który obradował w Sremskich Karlovcach, wybrał go jednogłośnie na zwierzchnika diecezji amerykańsko-kanadyjskiej. 25 kwietnia 1926 roku w soborze katedralnym św. archanioła Michała w Belgradzie patriarcha serbski Dymitr (Pavlović) wraz z innymi hierarchami wyświęcił go na biskupa Ameryki i Kanady.

8 maja 1927 roku władyka Mardariusz po raz kolejny przybył do Stanów Zjednoczonych.

Na zakupionej ziemi, znajdującej się w Libertyville nieopodal Chicago w stanie Illinois, hierarcha założył pierwszy w historii serbski monaster w USA, którego patronem został św. Sawa Serbski. Przełom lat 20. i 30. XX wieku był trudnym okresem wielkiego kryzysu gospodarczego. Znaczące wsparcie finansowe przy powstaniu monasteru okazał serbski fizyk, profesor Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, **Mihajło Pupin** (1858-1935). Był on wynalazcą systemu poprawy charakterystyki częstotliwościowej linii transmisyjnej stosowanej w telefonii. W ciągu kilkudziesięciu lat nowatorska metoda została wykorzystana na całym świecie w linii telefonicznej o łącznej długości ponad trzech milionów kilometrów. Prof. Mihajło Pupin był jednym z założycieli Narodowego Komitetu Doradczego do Spraw Aeronautyki, którego struktury stały się częścią nowo utworzonej agencji NASA, czyli Narodowej Agencji Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej Stanów Zjednoczonych. Szczodry ofiarodawca, który wsparł budowę monasteru św. Sawy, był również konsulem honorowym Królestwa Serbii w Nowym Jorku, a także laureatem Nagrody Pulitzera w dziedzinie autobiografii.

Monaster św. Sawy w Libertyville jest jednym z najważniejszych miejsc serbskiego prawosławia w Stanach Zjednoczonych ze względu na swoje bardzo istotne duchowe, historyczne i kulturowe znaczenie. W monasterze w dniach 1-5 września 1927 roku odbył się pierwszy wielki serbski cerkiewno-narodowy sobór pod przewodnictwem biskupa Mardariusza. Podczas obrad podjęto decyzje dotyczące całej serbskiej diaspory w Ameryce. Ustalono i zatwierdzono statut serbskiej diecezji amerykańsko-kanadyjskiej.

Władyka Mardariusz był niezwykle skromnym i serdecznym człowiekiem, który pomimo słabego zdrowia posiadał ogromną siłę ducha. Swoją życiową postawą, pełną determinacji i odwagi, świadczył o prawdzie. Był ascetą, misjonarzem i dobrym organizatorem, zdolnym do wielkich poświęceń. Często odmawiał sobie jedzenia, aby zaoszczędzone w ten sposób pieniądze przeznaczyć na budowę i wyposażenie nowych świątyń. W związku z jego skrajną ofiarnością i osobistymi wyrzeczeniami wśród wiernych powstało powiedzenie, że biskup Mardariusz „buduje cerkiew i umiera z głodu” (serb. *Цркву гради умире од глади*). Hierarcha żył w dobrowolnym ubóstwie, z wielkim oddaniem szczerze służył Bogu i ludziom. Wszelkie jego działania przepełnione były głęboką modlitwą, uczciwością i szacunkiem wobec powierzonych mu wiernych. Pełnił posługę biskupią ponad dziewięć lat, niestrudzenie głosząc Słowo Boże. Żył duchem Ewangelii, w każdej chwili niosąc pomoc duchową każdemu potrzebującemu człowiekowi. Liczne arcypasterskie podróże, zawiść i bezpodstawne oszczerstwa ze strony niektórych kapłanów i innych ludzi spowodowały znaczące pogorszenie się stanu zdrowia władyki.

Hierarcha w swoim paschalnym liście z 1934 roku pisał: „Przez siedemnaście lat mojej służby Bogu i narodowi w Ameryce cierpliwie niosłem swój krzyż, który czasem był lżejszy, a czasem cięższy. Jednak dziś ten krzyż jest cięższy niż kiedykolwiek. Kiedyś, pełen ideałów, z oddaniem wam służyłem i pomagałem, natomiast dziś, upadając pod ciężarem swojego krzyża, wasz władyka woła: Bracia, czy jest wśród was człowiek, który pomoże mi nieść mój ciężki krzyż? Czy wasze serca są tak zatwardziałe, że zamiast pomagać, nakładacie jeszcze większe obciążenia na moje wyczerpane plecy?”.

Biskup Mardariusz zmarł po długotrwałej chorobie 12 grudnia 1935 roku w Ann Arbor w stanie Michigan w wieku 46 lat. W nabożeństwie pogrzebowym uczestniczyli biskupi rosyjski **Leoncjusz**, grecki **Kalistos**, rumuński **Polikarp**, a także około czterdziestu duchownych z kilku prawosławnych jurysdykcji. Na Liturgii odczytano testament i ostatnią wolę zmarłego hierarchy, dotyczącą przyznania cerkiewnych nagród kilkunastu kapłanom, wśród których byli

Piotr Trochanowski z żoną i dziećmi przed krynicką świątynią.
Pierwsza spowiedź Andryjka, 1993 rok



także kłamliwie szkalujący dobre imię władyki i z zawiści uprzykrzający mu życie. Jego ciało spoczęło 18 grudnia w krypcie cerkwi św. Sawy w Libertyville, gdzie później został także pochowany ostatni król Jugosławii **Piotr II Karadziordzievič** (1923-1970). Był to jedyny przypadek pochówku władcy kraju europejskiego na terenie Stanów Zjednoczonych.

W 2013 roku szczątki monarchy przewieziono do Serbii.

29 maja 2015 roku sobór biskupów Serbskiej Cerkwi Prawosławnej podjął decyzję o kanonizacji biskupa Ameryki i Kanady Mardariusza (Uskokovicia). Uroczyste nabożeństwo kanonizacyjne odbyło się 5 września 2015 roku w soborze św. Stefana w kalifornijskim mieście Alhambra w hrabstwie Los Angeles, przewodniczył mu patriarcha serbski **Ireneusz** (**Gavrilović**). 5 maja 2017 roku otwarto grobowiec św. Mardariusza, którego ciało po ponad osiemdziesięciu latach nie uległo rozkładowi. W czasie ekshumacji pojawiła się przyjemna woń, przypominająca zapach kwiatów i ziół. 16 lipca 2017 roku w monasterze Libertyville odbyły się panprawosławne uroczystości z okazji wydobycia relikwii św. Mardariusza. Relikwie serbskiego biskupa Ameryki i Kanady zachowały się w bardzo dobrym stanie. Obecnie znajdują się w drewnianym, rzeźbionym relikwiarzu w cerkwi św. Sawy Serbskiego w Libertyville, do której przybywają prawosławni pielgrzymi z różnych części świata.

Andrzej Charyło
fot. **autor**, **www.spc.rs**
www.stsavamonastery.org

Zawiązana z inicjatywy naszej redakcji, pod opieką prof. Aleksandra Naumowa, grupa prawosławnej inteligencji, stawiająca sobie za cel, poprzez wykłady, samodoskonalenie się, rozpoczęła działania od serii spotkań z naukowcami, artystami, duchownymi, ludźmi twórczymi, opowiadającymi o swojej własnej życiowej drodze. 2 czerwca wysłuchaliśmy Aleksandra Naumowa, 1 września architekta Jerzego Uścinowicza, 6 października posła Eugeniusza Czykwina. Spotkania odbywają się w pierwszy wtorek miesiąca o godzinie 17 w Akademii Supraskiej. Mają charakter otwarty. Ponieważ w listopadzie spotkania nie było, z powodu powszechności zachorowań na Covid 19, o wypowiedź, taką jaką by wygłosił w Supraślu, poprosiliśmy Piotra Trochanowskiego, łemkowskiego pisarza, poetę, działacza społecznego.

Znaleźć drogę na życie

Przyznam, byłem zaskoczony, gdy zaproponowano mi wystąpić ze „spowiedzią” o własnym życiu, wystąpić po tak znanych w naszym prawosławnym kręgu (i nie tylko) ludziach, jak prof. Aleksander Naumow, jak architekt, twórca wspaniałych cerkwi Jerzy Uścinowicz, jak poseł-wojownik Sejmu RP Eugeniusz Czykwin.

Przypominam sobie obrazek z dzieciństwa, jak koleżanka, Polka z sąsiedztwa, ale doskonale posługująca się językiem łemkowskim, przed swoją Pierwszą Komunią chodziła dookoła stodoły z kartką i ołówkiem i spisywała swoje grzechy, jakie brzydkie słowo i ile razy wypowiedziała. Pytałem później Mamusi, czy ja przed swoją pierwszą spowiedzią muszę uczynić podobnie. Powiedziała, że nie (była moją nauczycielką Zakonu Bożego, wszak na lekcje religii w zagubionej pośród lasów Dolnego Śląska małej wsi nie miałem możliwości uczęszczać), że U NAS spowiedź nie na tym polega.

Dzieciństwo opisałem w jedynej popełnionej po polsku, a wydanej na swoją pięćdziesiątkę książce „A Wisła dalej płynie” z podtytułem: „Z cyklu Opisać życie”. Miała dedykację: *Sąsiadom naszym, Polakom, z wiarą – że zechcą przeczytać i spróbują zrozumieć*. Do napisania książki



namówił mnie wspaniały przyjaciel, mój i Łemków, Antoni Kroh, z taką argumentacją: – Jesteś jednolatkiem Akcji Wisła, opisz swoje dzieciństwo, swoje życie.

Opisać życie... Tam uczyniłem to do pewnej granicy, do piętnastego swojego lata, do gorącego sierpnia 1962 roku, kiedy to zdałem egzamin i wstąpiłem do Prawosławnego Seminarium Duchownego w Warszawie. Przywiózł mnie tu Tato. Po tym, jak po pierwszym roku zrezygnowałem z nauki w Technikum Budowlanym we Wrocławiu. Po tym, jak szukano wśród uczniów pornosów, a znaleziono przy moim sercu kartki z zapisanymi cyry-



PIOTR TROCHANOWSKI

licą psalmami 50. i 90. Podyktowała mi je Mama, kiedy miałem opuścić rodzinne gniazdo. Podyktowała ze słowami: *Synoczku, koły bude ty smutno, koły bude ty tiażko, czytaj psałmy... Żywyj w pomoszczy Wyszniaho, w krowi Boha nebesnaho wodworytsia...* Nie pomogły psalmy, w oczach dyrektora, wychowawczyni okazały się niebezpieczniejsze od pornosów...

...Czekaj, smarkaty, nie bluźnij! Czy nie pomogły Mamusine psalmy? Czy to tylko ty sam, piętnastoletni pędrak, znalazłeś wyjście z piekła, jakie cię po tym wydarzeniu objęło? Czy tylko ty sam podszedłeś w cerkiewce, ukrytej między dwoma budynkami przy ulicy Dąbrowskiego (długo ją trzeba było szukać) do spowiadającego księdza Zbirowskiego i, kiedy już nałożył na twoją głowę *jepitrachil*, powiedziałeś: *– Ja ne do spowidy, bo ne możu pryjaty Pryczastyja, bo ił jem snidania... Ja łem chcu wczyty sia na ihomostia, a ne znam jak toto zrobyty...* Czy to tylko ty sam znalazłeś drogę na całe życie? Życie, za jakie dziękujesz Bogu!

A jakie ono doprawdy było? Zacząć by mi, biorąc za motto nagłówek ostatniego mojego zbioru wierszy – *До Краю ненароджыня* / „Do Kraju nienarodzenia" (p. przedostatni PP). Tak, całe ono, to życie, podporządkowane zostało temu kraikowi, który dla mnie jest Krajem, Łemkowynie, z jej krasą, tradycjami, kulturą, z jej wiarą. Podporządkowane? To brzydko brzmi. To była, to jest miłość, która śpiewa i która boli. Bólem nieprzemijającym (ten „zwykły" ból miłości znamy wszyscy, ale jego czas potrafi leczyć).

Nie zdążyłem urodzić się na Łemkowynie, w Biłcarewej moich praprzodków i rodziców, przywiozła mnie Mama w swoim łonie, w ósmym miesiącu noszenia – tu, gdzie wszystko było NIE TAKIE. Skąd wiem, jeśli? Z pieśni, z opowieści, darowanych mi od *pełenok* (to ładniejsze słowo niż pieluchy). O DOMU (tu było tylko miejsce zamieszkania), o ludziach, o bliskich i dalekich wydarzeniach.

Jedna z nich dotyczyła dokładnie święta *Pokrowy* 1922 roku, biłcarowskiego kiermeszu (parafialnego święta). Po śmierci o. Teofila Kaczmarczyka, który był tu proboszczem przez 43 lata, przemyska greckokatolicka kuria nadała nam parocha nowego ducha. Jak jest w zwyczaju, po całowaniu Krzyża rozdawano wiernym obrazki (celowo nie nazywam ich ikonkami) z wyobrażeniem Josafata Kuncewicza. Kiedy już księża po skończonym nabożeństwie udawali się na pieczoną gąskę, zobaczyli setki białych karteczek, obrazków położonych obliczem ku ziemi! To stało się na sześć lat przed powrotem Biłcarewian do prawosławia! Powrotem? Jakim powrotem! Wspomniany o. Teofil nigdy nie zaakceptował nowości nadchodzących z przemyskiej kurii (przez co i nigdy nie awansował), a w metrykalnych księgach, w rubryce „obrządek" wpisywał: NASZ. „Greckokatolicki" nie chciał, a „prawosławny" nie mógł (sprawdziłem to i kopiami oryginału przedstawiłem w „Księdze Biłcarewej" / *Книга Білцаревы*, długu mojego życia wobec przodków, księdze liczącej sobie 580 stron formatu A 4).

Smutną „baśnią" była opowieść Mamy o Ojcu Maksymie. Miała dziesięć lat, gdy On oddał życie. ZA NAS – to podkreślała. Pamiętała to dobrze, chłonęła już życie niemal dorosłym życiem (była, jak na chłopskie dziecko, oczytana, w domu nie brakowało książek, czasopism). Znała smutek Narodu z autopsji. Niosła go latami, przyniosła i na ziemię wygnania. Fotografia Ojca Maksyma widniała na poczesnym miejscu, obok ikon. Kiedy się tylko budziłem, widziałem jego piękną, pogodną twarz. I wiedziałem, że ON oddał młode życie ZA NAS (po latach, jeszcze na długo przed kanonizacją, skomponowałem pieśń jemu poświęconą; śpiewana jest przez chóry do dziś; na samą zaś kanonizację napisałem obszerny (ponad 20 stron) poemat *Teren kwytne* i rozdzielony na role przedstawiłem z dziećmi; tego, 2020 roku, po 26 latach po tamtym wydarzeniu, na Święcie *Swiaszczennomuczenyka* Maksyma podeszła do mnie Podlasianka i powiedziała, że pamięta to przedstawienie; było mi miło).

I to wszystko, wraz z innym wszystkim, wraz z Mamusinymi psalmami (no dobrze – Dawidowymi) nie mogło nie przywieść mnie do prawosławnego seminarium duchownego. Tak było mi pisane.

A czemu księdzem nie zostałem? Czemu nie przyjąłem święceń, chociaż władyka Adam nie raz mnie do tego namawiał, a jednego roku (darował mi już nawet rewerendę) miało to stać się na Świętej Górze Jawor? Czemu się nie stało? Poczekajcie, bądźcie cierpliwi, może małym słowem odpowiem, a może samo da się to wyczytać z moich lat.

Tato zostawił mnie w seminarium i wrócił do domu... z pierzyną. Tak, Mama nie chciała mnie puścić do świata również bez pierzyny. Ale że o. Serafin Żeleźniakowicz, rektor seminarium, powiedział, że będzie mi tu ciepło, więc... O, ileż to było później życzliwych prześmiewek o tym jak Pietia do Warszawy z pierzyną jechał... Gdybyż oni wiedzieli, ile maminej miłości było w każdym najdrobniejszym piórku!

Tak wiele chciałoby się napisać o latach spędzonych w seminarium (to miało być w następnym tomie z cyklu „Opisać życie", którego już chyba nie napiszę). O tym, jak od pierwszych dni, szczególnie studenci (wydział teologii prawosławnej Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej mieścił się jeszcze w budynku seminarium)

W 1963 roku poprosiłem, by zrobiono mi zdjęcie z moim seminaryjnym nauczycielem. I po 40 latach poprosiłem metropolitę Sawę, by powtórzyć „sesję" w tym samym miejscu – monasterze św. Onufrego w Jabłecznej

Sonce schodyt i zachodyt, odsłona XIV, 1914 rok, od lewej córka Julia, żona Anna, najmłodszy syn Andrzej, Piotr





ciągali mnie z sali do sali. Żebym śpiewał... O wspaniałych kolegach, relacjach, których nie sposób tu przywołać (w listopadowym PP czytałem długi artykuł o o. Włodzimierzu Misiejuku ze zdjęciem z tamtych lat; mam to darowane mi zdjęcie, ojcze Włodzimierzu i wspominam szafę z książkami, szczególnie poezją, którą obydwaj pasjonowaliśmy się i próbowali sami pisać; łachy nasze, ze względu na brak miejsca w szafie, musiały pójść do kąta). O wspaniałych profesorach – jakiż to wdzięczny temat – chciałoby się napisać...

I tu, znów z konieczności, muszę być wybiórczy. Profesor Petro Domanczuk uczył języka ukraińskiego i śpiewu cerkiewnego. Odnośnie pierwszego przedmiotu – dał mi do przeczytania wielki w każdym względzie poemat *Mojsej* Iwana Franki. Po latach przełożyłem go na język łemkowski i wydałem jako oddzielną, pięknie ilustrowaną przez bratanka Bohdana, książkę. Odnośnie śpiewu – byłem w jego chórze kanonarchą, i to już od pierwszej klasy... Pamiętam jak na zakończenie roku szkolnego pojechaliśmy na *prazdnik* św. Onufrego do Jabłecznej. Po *wsenoszcznej* podszedł do mnie i ucałował mnie w czoło. Dziękuję Ci, profesorze, raz jeszcze. Może usłyszysz.

Po ukończeniu seminarium i dwóch latach studiowania w ChAT wziąłem urlop dziekański, który okazał się urlopem wiecznym, względem stacjonarnej edukacji oczywiście. Starszego brata, Jarosława, wiosną tegoż 1968 roku przywołano w Góry, by tu – podobnie jak „Na Zachodzie" – organizował nasze życie kulturalne. Był muzykiem, tak z czystej jak łza miłości do tej profesji, jak i z wykształcenia. Zostawił założony tu łemkowski zespół muzyczno-chóralny i gdy nadarzyła się okazja, wrócił do Gór. Rodzice zostali sami na dwunastu hektarach. Wróciłem więc do nich. Latem 1973 roku napisaliśmy podanie o zdanie gospodarstwa na Skarb Państwa, z myślą, że pójdziemy za bratem na Łemkowynę... Niestety dwa tygodnie po tym Tato zmarł... Ciągnęliśmy ten „wózek" z Mamą jeszcze przez trzy lata, nim udało się nam, z końcem grudnia 1976 roku, zrealizować sen o Górach. Z mieszaną radością, bo przecież zostawialiśmy Tatę w siwych piaskach obczyzny.

Tu, w Bielance, gdzie zamieszkaliśmy (z myślą o późniejszym „ustawieniu się"), już w dwa tygodnie, na nasze *Rożdestwo*, chodziliśmy z cudowną grupą kolędników po domach (tekst inscenizacji napisałem na bazie materiałów wujka Władymira (1893-1973), naszego rodzinnego patriarchy; ludzie nie tylko w Bielance popłakiwali – widziałem to).

Po niedługim czasie do Bielanki, do małego drewnianego domku brata, zawitał osobiście naczelnik gminy Gorlice, Stasiak. Proponował mi... pracę w swoim urzędzie. Wziąłem ją, póki co. Ale śmiechu była fura. Wiedzieliśmy dobrze, czemu potrudził się tak pan naczelnik. Już jednego Trochanowskiego, który "mieszał" tu, było o jednego za dużo, a tu zjawił się następny. Trzeba mu było pomóc znaleźć „odpowiednie" zajęcie. Wszakże nie na długo.

Z początkiem 1977 roku, przed Świętem Jordanu, znalazłem się w Sanoku. Przywołał mnie o. dziekan Aleksander Dubec (późniejszy władyka Adam), by prowadzić chór cerkiewny. Wybyłem tu pięć lat, bez dwóch tygodni. W Zagórzu uczyłem również religii. I nie tylko. Bo

„przemycałem" też (Boże, odpuść mi; Boże, odpuść mu – rzekli by też niektórzy) naukę języka ukraińskiego i historię z kniaziami. Mówię o tym dla „obrony" własnej, to jest istotne dla mojego wizerunku, jaki już tam by nie był. Lubiłem uczyć dzieci. Nie od teraz. I po zawsze. I jeśli przyszło mi uczyć dzieci ukraińskie, wiedziałem, że powinienem dać im to, co w ich duszy powinno śpiewać (kiedy ich żegnałem jeden z rodziców, chyba na wyrost, powiedział: *Ditońky, wże takoho wczytela ne budete maty*. Było mi miło).

A skąd ta „obrona"? Niektórzy, już w późniejszym bardzo aktywnym twórczym czasie, przypisywali mi epitet „ukrainożera". Między innym za to, za taką drobnostkę, że kiedyś publicznie stwierdziłem, iż przekładać poezję z języka polskiego na łemkowski jest łatwiej niż z ukraińskiego (opublikowałem po łemkowsku, prócz wspomnianego *Mojseja*, również zbiór wierszy Bohdana Ihora Antonycza i inne drobniejsze rzeczy). To była w ich rozumieniu potwarz, bluźnierstwo, kalumnia. Przecież łemkowski jest najbliższy ukraińskiemu... Leksyka, owszem, ale dla przekładu poezji klasycznej czy nie ważniejsza jest melodyka, akcent danego języka. Obracamy się, oczywiście, w kręgu języków słowiańskich, wszystkich sobie bliskich. Jestem zawróżonym słowianofilem, przekładałem (prócz wspomnianych – literatury polskiej i ukraińskiej, prócz bliskiej nam literatury Rusinów Wojwodiny, czy *jazyczija*, powszechnego niemal w XIX wieku wśród twórców – Łemków) również z literatury białoruskiej, rosyjskiej, serbołużyckiej, kaszubskiej, słowackiej. W tym ostatnim przypadku opublikowałem po łemkowsku pisany wierszem narodowy epos *Matúš z Trenčina* autorstwa L'udovita Štura. To „kobyła" (wybaczcie Słowacy kolokwializm), siedziałem nad tym kilka miesięcy, chociaż przekładało mi się dobrze, również łatwiej niż... z ukraińskiego. Nie, nie byłem nigdy i nie jestem ukrainożerem. Tylko kocham Łemkowynę. Samorodną. Ze swoim językiem, kulturą. Aż i architekturą. Profesor Brykowski termin cerkwie łemkowskie wprowadził jako swoiste pojęcie architektoniczne. I w tym byliśmy spójni, samorodni.

Tak, kocham Łemkowynę. I dlatego leciałem na skrzydłach, gdy przywołano mnie do Krynicy z końcem 1982 roku. Otrzymałem od organizującej się tam parafii propozycję, jak to się mówi, nie do odrzucenia. Ojciec Aleksander powiedział do mnie: *Jak choczesz, to id...* Tak, ale bez dekretu? Wszystko jedno. Żegnałem się z sanoczanami, zapraszano mnie od domu do domu i ugaszczano. Zgrzeszyłbym zapewne, gdybym twierdził, że nie do końca szczerze... Tak czy siak, ale w tym samym czasie delegacja sanoczan pojechała do metropolity Bazylego – by wyjednać moje pozostanie w Sanoku. Na moje szczęście metropolita był w wyjeździe... Z Sanoka niemal mnie skradziono. Podczas gdy ja się słodko gościłem, kryniczanie spakowali na duży samochód moje „graty" i odjechali. W drugim – żuku – zmieściły się resztki i ja, z żoną i dwójką dzieci. Czysta partyzantka! Dekret od władyki Wasilija jednak otrzymałem... z datą 11 lutego 1983 roku i z treścią: „Ob. Piotra Trochanowskiego zwalniam ze stanowiska psalmisty w Sanoku z dniem dzisiejszym i przenoszę go na równorzędne stanowisko w Krynicy Górskiej. Metropolita Bazyli".

Mija właśnie 38 lat mojego pobytu w Krynicy. Dziś już jestem stary, siwy, spleśniały, ale przez te lata wiele się zadziało. *I na zwytoczku tym wszytko by ne skłykał stylos mij skromnyj* (Paweł Rusyn (1470-1517)).

Już w tymże 1983 roku wystąpiliśmy z chórem na II Dniach Muzyki Cerkiewnej w Hajnówce i otrzymaliśmy wyróżnienie specjalne – nagrodę publiczności (chór organizowałem już od poprzedniego roku, dojeżdżając z Sanoka). Wraz z powołaniem diecezji przemysko-nowosądeckiej nasz chór „obsługiwał" wszystkie ważniejsze nabożeństwa arcypasterskie, jak – corocznie – na Świętej Górze Jawor, przy poświęceniu nowej cerkwi w Zyndranowej (1985), itd. Gdzieś od początku lat 90. zwolnił nas od tego „obowiązku" powołany w Sanoku Młodzieżowy Chór Diecezjalny Irmos, ale mocno zasilali go również nasi młodzi śpiewacy.

Śpiewaliśmy z naszym chórem nie tylko na nabożeństwach. Już w 1986 roku zrealizowaliśmy bożonarodzeniową inscenizację *Wełyjne* (wigilijne) intermezzo, z którym odbyliśmy nawet tournee po Ziemiach Zachodnich. Śpiewaliśmy na wielu spotkaniach, koncertach ekumenicznych, również u naszych braci na Słowacji. Od wielu lat (prócz tego fatalnego roku) w letnich miesiącach występujemy w naszej cerkwi dla kuracjuszy. Nasza parafia, dzięki bardzo przedsiębiorczemu we wszelkich przestrzeniach o. mitratowi Piotrowi Pupczykowi, organizuje również od 2012 r. Międzynarodowy Festiwal Chórów Cerkiewnych, gdzie oczywiście występujemy jako gospodarze (bywaliśmy tu również gospodarzami koncertów muzyki cerkiewnej w ramach Międzynarodowego Biennale Kultury Łemkowskiej / Rusińskiej).

Wszystko to jednak było, nie powiem – marginalne, ale nieporównywalne, jeśli chodzi o czas oddany dzieciom. Od początku uczyłem religii (oczywiście z „elementami" języka łemkowskiego; od roku 1992 czyniłem to w szkole podstawowej i gimnazjum legalnie).

Z dziećmi organizowaliśmy wiele okolicznościowych – kiermeszowych, mikołajkowych, bożonarodzeniowych przedstawień, powiedzmy – drobnych. Ale bywały, już z udziałem dorastającej młodzieży, i większe, jak – z okazji konsekracji naszej świątyni – trzyaktowy *Son Biłoho Chorwata*, poświęcony chrystianizacji naszych ziem, w tym dokładnie 1100 rocznicy bitwy naszego księcia Laborca z Madziarami (896 rok). Dodać należy, że wiele realizacji powstało z udziałem połączonych grup młodzieży z Krynicy i Gorlic, gdzie przez osiem lat dojeżdżałem jako nauczyciel. W tamtą stronę było połączenie autobusowe, z powrotem... autostopem. Także zimą, także już po zmroku, kiedy nikt nie chce zabrać przygodnego gościa.

Inscenizacje o czysto świeckiej tematyce już sobie daruję, ale muszę się pochwalić, że nie tylko ja, jako

autor, inscenizowałem swoje dramaty. Na pięćdziesiątą rocznicę Akcji Wisła uczynił to ks. Andrzej Kwoka (czy byłoby to możliwe na Białostocczyźnie?), reżyserując i przedstawiając z młodzieżą z Gorlic i okolic mój trzyaktowy dramat *Młyńsky kameni*.

Jeździłem trochę po kraju i świecie, miałem kilkadziesiąt spotkań autorskich (też na Białostocczyźnie, w Hajnówce – na zaproszenie Mikołaja Buszko, w klasztorze kamedułów na Wigrach), również na Słowacji, w Niemczech, Francji, Kanadzie, nawet... na Ukrainie.

Zupełnie zapomniałbym o tysiącach kilometrów przejechanych też i po świecie (m.in. miesięczne tournee po USA i Kanadzie) z Zespołem Pieśni i Tańca Łemkowyna, który prowadził brat Jarosław. Ale to już oddzielna epopeja...

Od 1989 roku redaguję czasopismo *Besida*, przez pewien okres także z dodatkiem – czasopismem dla dzieci *Łemkiwska Łastiwoczka*. Wydałem też ponad dwadzieścia almanachów *Łemkiwskij Ricznyk*, elementarz „A ja znam *azbuku*" (w przyszłym roku, jak dowiedziałem się od młodych działaczy, jego wydanie będzie wznowione), antologię poezji dziecięcej *Mamko, kup mi knyżku* i kilka innych książek.

Miałem szczęście do wielu prestiżowych, w tym i zagranicznych, nagród. W niektórych przypadkach dosłownie szczęście, bo otrzymałem je fuksem i mam w odniesieniu do nich często bardzo różny emocjonalny stosunek. Wszakże jedną, niby małą, cenię sobie osobliwie. To *Pochwalna Hramota* od arcybiskupa Adama za napisanie i zrealizowanie historycznego obrazu *Sonce schodyt i zachodyt*, w szesnastu odsłonach; pierwsza datowana rokiem 610, ostatnia 1957. Początkowo miał to być obraz w dwudziestu odsłonach na 2000-lecie chrześcijaństwa, w tym na Łemkowynie (pierwsze odsłony, z wczesnochrześcijańskiego okresu, były już napisane). Ale przytrafiły się ciężkie dla mnie lata (i takich było dużo) i zrezygnowano z mojej propozycji (coś mi świta, że było to zamówienie). Poświęciłem więc obraz samej Łemkowynie i zrealizowałem w obrębie dekanatu, z udziałem około czterdziestu aktorów-amatorów, w tym kilku księży; byli niemal autentyczni w scenach stricte religijnych (cyrylo-metodiańska misja, unijne czasy). Jakże jestem im wdzięczny. Za wielką pomoc, za moralne wsparcie, za odwagę! A *hramota* władyki była dla mnie balsamem, po tym jak we wspomnianych ciężkich latach zamiast... zamiast... zamiast... zajmowałem się polityką.

I to by było na tyle mojej „spowiedzi". Nie udało mi się zapewne spisać wszystkich grzechów, ale już trudno.

Kończyć pragnę jednak, przywołując tekst z *Tereblańskiego Prologu*, cennego zabytku naszego najstarszego piśmiennictwa. Słowo w słowo, tylko we współczesnej redakcji językowej wypowiadał go w inscenizacji *Sonce schodyt i zachodyt*, odgrywający rolę św. Cyryla, ks. dziekan dr Roman Dubec:

(...) Не іdет ли дощ од Бога на вшыткых рівно? А сонце ци не так само вшыткым світит? Ци не дыхаме вшытхы повітрьом єднако? Товды – як не стыдате ся три языкы лем узнавати, а вшыткым інчым народам і бесідам шліпыма і глухыма кажете быти? Речте мі, ци Бога мните быти так слабым, же дати не може, ци так завистливым, же не хоче? Знаме адже вельо народів, якы писмена свoі мают і Богу славу оддают, каждий в рідным своім языку (podkr. moje – PT); а сут то: *Армены, Персы, Авазгы, Іверы, Сугдаі, Ґоты, Хозаре, Єгыптяне, Сирийці і інчы многы...*

Tą cudowną apologię chciałem przytoczyć już w założeniu swojego monologu, a po przeczytaniu tekstu „Doskonalenie tradycji" w poprzednim PP, gdzie m.in. powiedziano: – (...) Mogę za profesorem Aleksandrem Naumowem powiedzieć, że moją ojczyzną jest prawosławie – uniwersalne i otwarte, ale jest ono kształtowane bez silnego związku z narodowością.

Można i tak, kiedy nie miało się szczęścia mieć jedno i drugie.

Piotr Trochanowski
(Petro Murianka)
fot. **archiwum rodzinne**

Polacy najbardziej nie lubią Rosjan

Postawy Polaków wobec innych narodów od blisko 30 lat są systematycznie badane. Badania obejmują oczywiście i tych, którzy mało wiedzą o historii i kulturze danego narodu i nie znają nikogo z tej grupy. Wyniki wskazują, w jaki sposób kultura popularna i relacjonowane w mediach wydarzenia polityczne wpływają na postrzeganie danego narodu.
Czego dowiadujemy się z najnowszych badań CBOS-u, przeprowadzonych w styczniu tego roku?

Największą sympatią darzą Polacy Czechów i Słowaków. Pozytywny do nich stosunek deklaruje ponad połowa ankietowanych. Niewiele mniej badanych z sympatią odnosi się do Włochów, Amerykanów, Anglików oraz Węgrów (około 50 proc.). Zaś niechęć do tych narodów deklaruje od 10 do 13 proc.

Na kolejnym szczeblu pozytywnego stosunku Polaków ustawieni zostali Grecy, Szwedzi, Austriacy, Japończycy, Francuzi oraz Litwini. Te narody budzą wśród Polaków zdecydowanie rzadziej nastawienia negatywne w porównaniu z pozytywnymi.

Następna grupa to Niemcy, Ukraińcy, Chińczycy, Białorusini, Serbowie, Wietnamczycy i Żydzi. O nich przychylnie wypowiada się już zaledwie co trzeci respondent.

I na końcu tej „drabiny" znajdują się Rosjanie, Romowie (Cyganie) i Turcy. Mniej więcej co czwarty badany odnosi się do nich z sympatią, za to negatywny stosunek wyraża o

wiele więcej badanych, niż w relacji do innych narodów.

Jak ten stosunek zmieniał się w ciągu ostatnich trzech dekad? Najwięcej w oczach Polaków zyskali Niemcy, do których niechęć w 1993 roku deklarowało 53 proc. respondentów, a obecnie wskaźnik ten wynosi 30 proc., Ukraińcy (odpowiednio 65 i 41 proc.) oraz Żydzi (51 proc. w 1993 roku i 33 proc. w ostatnich badaniach).

Cóż mogło zdecydować o zmianie postawy wobec Ukraińców, do których od początku lat dziewięćdziesiątych Polacy odnosili się z największym dystansem? Otóż według komentującego te badania profesora Uniwersytetu Warszawskiego **Lecha Nijakowskiego** udział Ukraińców w pomarańczowej rewolucji „ocieplił" ich wizerunek w oczach ich zachodnich sąsiadów.

Miejsce Ukraińców, wydaje się trwale, zajęli Rosjanie.

Czy antypatie Polaków wobec innych narodów są związane z ich wykształceniem, pozycją materialną, miejscem zamieszkania? Otóż tak. Więcej noszą w sobie niechęci i podejrzliwości wobec innych narodów respondenci powyżej 55 roku życia, z wykształceniem podstawowym lub gimnazjalnym, niezadowoleni z własnych warunków materialnych i więcej mężczyzn niż kobiet.

Badania CBOS-u potwierdzają inne, wynikające z sondażu ARC Rynek i Opinia, zrobionego na zlecenie Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia. Z niego dowiadujemy się, że Polacy uważają, że Niemcy pod względem kulturowym są im bliżsi niż Rosjanie. A Rosję jako kraj nieprzyjazny Polsce postrzega 79 proc. respondentów, bardzo krytycznie oceniając politykę Władimira Putina, a politykę Kremla wobec Polski odbierają często nie tyle nawet jako nieprzyjazną, ile wrogą. Bardzo nieliczni Polacy (9 proc.) pozytywnie oceniając politykę prezydenta Rosji. Polacy spośród swoich siedmiu sąsiadów uważają Rosjan za naród najbardziej im odległy pod względem społecznym i kulturowym. Polacy wyrażają większą gotowość do nauki języka niemieckiego niż rosyjskiego. Natomiast jeśli chodzi o stosunek do innych narodów na wschodzie – Litwinów, Białorusinów i Ukraińców – wyraźnie wzrósł poziom sympatii do nich.

Negatywne skojarzenia Polacy wiążą też z terminem „polityka zagraniczna Rosji". Najczęściej wtedy przychodzi respondentom na myśl „imperializm, ekspansja oraz agresja". A to wszystko kojarzą jeszcze z „propagandą, kłamstwem, manipulacją", stosowaną przez rosyjskie władze.

W opinii Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia wina za złe stosunki z naszym wschodnim sąsiadem leży wyłącznie po stronie rosyjskiej.

We wprowadzeniu do sondażu czytamy: „Polsko-rosyjskie relacje polityczne ustabilizowały się na dość niskim poziomie. Strategiczny spór o wizję i przyszłość regionu determinuje stosunki pomiędzy oboma państwami. Prowadzone przez kilka lat przez władze rosyjskie agresywne działania z zakresu propagandy historycznej, wymierzone głównie w Polskę i służące jej dyskredytacji, mnożące się nieprzyjazne gest i decyzje tworzą klimat nie sprzyjający zmianom".

Pogląd ten podziela praktycznie cała polska elita polityczna, zarówno rządzący jak i opozycja. Podobnie uważa zdecydowana większość polskich dziennikarzy i publicystów. Odmienne poglądy prezentują nieliczni przedstawiciele świata nauki i pozycjonujące się jako narodowo-konserwatywne środowiska polskiej, pozaparlamentarnej, prawicy. Jednym z nich jest środowisko skupione wokół Portalu Myśli Konserwatywnej konserwatyzm.pl. Stałymi współpracownikami i publicystami tego portalu są m.in. profesorowie **Jacek Bartyzel**, **Bronisław Łagowski**, **Adam Wielomski**, redaktor naczelny „Myśli Polskiej" **Jan Engelgard**. By przybliżyć naszym czytelnikom poglądy przedstawicieli tego środowiska na dotyczące także prawosławia sprawy, zamieszczamy fragmenty wywiadu przeprowadzonego przez Jana Engelgarda z **Mariuszem Świdrem**, autorem wydanej przez wydawnictwo FRONDA książki „Jak stwarzaliśmy Rosję", w której autor opisuje bliskie relacje, rolę i wkład Polaków w rosyjską kulturę, naukę, politykę.

Pisząc o wielkim znaczeniu Kościoła rzymskokatolickiego w zachowaniu i kultywacji polskości wśród Polaków w carskiej Rosji Mariusz Świder stwierdza: „Kościoły były spójnią, gdzie obok siebie modlili się różni Polacy: zesłaniec stał obok kupca, przy nich stał najbogatszy człowiek Syberii, właściciel wielu kopalń złota, węgla, flot rzecznych, wszystkich praktycznie gorzelni na Syberii – pan Alfons Koziełł-Poklewski, dalej stali kolejni Polacy – gubernator Tobolska Aleksander Despot-Zenowicz ze swoim gościem – burmistrzem Tomska Łappa-Starzenieckim czy Alfonsem Fortunatem Szaniawskim – twórcą pierwszego uniwersytetu na Syberii – w Tomsku (później był inicjatorem i głównym sponsorem utworzenia pierwszego wolnego uniwersytetu w Moskwie, który nosił nazwę: Moskiewski Uniwersytet Humanistyczny imienia Alfonsa Szaniawskiego). A w sąsiednich ławkach stali policjanci, sędziowie, oficerowie, wojskowi – Polacy stanowili 10 procent generałów rosyjskich i 20 procent oficerów średniego szczebla". Przypominając, że pierwszym ministrem spraw zagranicznych carskiej Rosji był Polak Adam Czartoryski, autor przypomina także postacie wielu Polaków, m.in. Feliksa Dzierżyńskiego, jego zastępcę Wacława Mężyńskiego, pierwszego ministra spraw zagranicznych bolszewickiej Rosji Wacława Worowskiego, którzy znaleźli się „po złej stronie mocy".

Odpowiadając na pytanie: Czy zadaniem autora książki jest osłabienie polskiej rusofobii, czytamy: „Jestem Polakiem, katolikiem z dziada pradziada, członkiem Związku Sybiraków – bo moja mama spędziła na zesłaniu syberyjskim siedem lat. Moi dziadkowie, Bronisław Świder i Władysław Prokopowicz walczyli jako ochotnicy w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku (po polskiej stronie, oczywiście). Sam studiowałem w Moskwie – skąd pochodzi urodzona na Arbacie moja żona Swietłana. I wiem, że Rosja nie

Duchowni i rada parafialna parafii Narodzenia Bogarodzicy oraz pracownicy fundacji
Obok przedszkolaki z duchownymi i nauczycielami, niżej uczniowie szkoły z wychowawcą, z prawej witraż w części ołtarzowej

ma wobec Polski absolutnie żadnych roszczeń – ani terytorialnych, ani żadnych innych typu 447. Nasze gospodarki wzajemnie się uzupełniają (...). Dobre stosunki między naszymi krajami leżą w interesie obu naszych wielkich słowiańskich narodów. Jeśli będziemy współpracować – to będzie to dla obu stron korzystne. A jeśli w naszym kraju będą stały rakiety wycelowane w Rosję – to Rosjanie będą musieli w obronie własnej wycelować rakiety w Polskę. I jeśli nasz jakiś przyjaciel czy nieprzyjaciel „przypadkowo" wystrzeli rakietę w stronę Rosji – to oni w obronie własnej wystrzelą w stronę Polski".

Na przykładzie Rosji widać, jak ważna jest dziś interpretacja rzeczywistości, tak zwana narracja. Czyli to jak o świecie opowiadamy, a nie to jaki świat jest w istocie. Owej „narracji" nie nazywa się ideologią, tymczasem ona z nią się zlewa. Bo narracja brzmi łagodniej niż ideologia?

Anna Radziukiewicz

15 listopada 2020 zmarła nasza serdeczna przyjaciółka

HALINA MATEJCZUK

autorka książki „Byłam konsulem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej". Straszliwie okaleczona w dzieciństwie przez lekarza – zbrodniarza niemieckiego, dzięki hartowi ducha i możliwościom, jakie dała obywatelom powojenna Polska, zdobyła wykształcenie. Była absolwentką Szkoły Głównej Służby Zagranicznej. Jej życzliwy stosunek do ludzi zapamiętało wielu rodaków na obczyźnie, którym pomagała bezinteresownie w sposób daleko wykraczający poza Jej obowiązki. Jej patriotyzm i lewicowe poglądy kazały Jej pomagać głównie ludziom bezradnym.

Będziemy pamiętać Jej ciepło, wysoką kulturę i skromność. Będzie nam Jej bardzo brakowało.

Teresa Jakubowska
Krystyna Badurka-Rytel

Nowa cerkiew w Bielsku Podlaskim





Nowa cerkiew? Jest pięć parafialnych, szósta na cmentarzu Świętej Trójcy, siódma Świętej Trójcy przy szkole ikonograficznej i jest już ósma, tyle że pandemia przesuwa czas jej wyświęcenia. Gdzie? Przy przedszkolu i szkole podstawowej przy ulicy Rejtana. Obie placówki mieszczą się w Domu Kultury Prawosławnej, kierowanym przez o. **Jerzego Bogacewicza**, jednocześnie proboszcza parafii Narodzenia Bogarodzicy.

W przedszkolu jest teraz 130 dzieci i w sześciu klasach szkoły podstawowej uczy się 30 dzieci. Do tego doliczmy nauczycieli – tylko do szkoły przychodzi ich dwadzieścioro, starannie zresztą dobranych, i w przedszkolu są nauczyciele, opiekunowie, ci którzy utrzymują porządek w dużym budynku, byłym przedszkolu, opustoszałym przed laty, które wzięła we władanie Cerkiew i otrzymamy społeczność nie mniejszą niż dwustuosobową.

A w Polsce mamy wszak mnóstwo



parafii, liczących nawet po mniej niż dwustu wiernych. I dlatego o. Jerzy Bogacewicz uznał, że taka społeczność powinna mieć swoją cerkiew. Przecież na wszystkie większe święta, zwłaszcza *dwunadziesiatnyje prazdniki*, przedszkolaki i uczniowie są wiezieni autokarami na Liturgię do którejś z bielskich cerkwi. To trud organizacyjny i obciążenie finansowe. Metropolita **Sawa** pobłogosławił przedsięwzięcie. I trzy lata temu rozpoczęła się budowa cerkwi. Budowa? – można zapytać? Cerkiew jest przecież integralną częścią obiektu. Ale na tym miejscu było podwórze – patio zamknięte z trzech stron przez skrzydła budynku. I to ono zostało zabudowane, według projektu **Katarzyny Świszcz**, przykryte dachem i kopułą. Wewnątrz stanął już ikonostas, a polichromie na nim rozpisali dojrzali mistrzowie, absolwenci bielskiej szkoły ikonograficznej, **Jarosław** i **Anna Jakimczukowie**.

Cerkiew jest pod opieką św. Sawy Serbskiego.

Powierzchnia świątyni wynosi 120 metrów kwadratowych, ale gdy się uniesie specjalne rolety, zamontowane między nią a obszernym holem do niej przylegającym, staje się powierzchniowo jedną z największych w Bielsku. Po jej wyświęceniu planuje się, że będą tu w każdą niedzielę i święta służone regularnie Liturgie. Może ona wtedy wypełniać się nie tylko wychowankami placówki, ale też ich rodzicami, dziadkami i wszystkimi, którzy zechcą w nich uczestniczyć. Cerkiew stwarza doskonałe warunki i do tego, by się spotkać po Liturgii na przykład przy pouczającym słowie przy herbacie czy kawie. Przylegający do cerkwi hol spełni wtedy rolę świetlicy.



– Tu, po modlitwie w cerkwi, można będzie prowadzić wszelkie konferencje i spotkania – planuje o. Jerzy.

Jakie środki pozwoliły na wzniesienie świątyni? Głównie spływające w ramach odpisu na 1%, adresowane na Fundację Domów Kultury Prawosławnej i parafii Narodzenia Bogarodzicy.



– Chciałbym wymienić z nazwiska chociaż jednego prywatnego sponsora, **Jana Miniuka**, który bardzo wspierał tę budowę – mówi o. Jerzy.

W Bielsku wrócono do tradycji, zwłaszcza XIX-wiecznej i początku XX wieku, kiedy starano się, by przy szkole była cerkiew. Bo wiedza bez Bożej mądrości bywa próżna, pełna pychy i chełpliwości, wiodąca na manowce. Dlatego tak ważne jest, by rozwój intelektualny szedł w parze z duchowym, o czym wiedzą w Bielsku.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**, **Irena Łozowik**

KONKURS ROZSTRZYGNIĘTY



MIROSLAVA BOCHAROVA



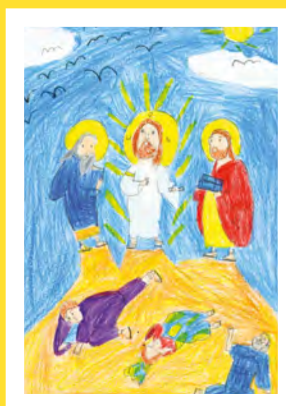
EMILIA RAJECKA



ZOFIA CZYKWIN



GABRIELA OSTAPKOWICZ



MARIA ŁUKSZEWICZ



ALEKSANDER I LENA KARDASZ



MARYSIA BACZYŃSKA



NATALIA OLEKSIUK

Rozstrzygnęliśmy adresowany do dzieci konkurs plastyczny na różne wydarzenia związane z rokiem liturgicznym. Otrzymaliśmy 55 prac - dużo jak na pierwszą jego edycję i czas pandemii ale także czas, kiedy coraz rzadziej dzieci sięgają po kredki i farby oraz wykonują ręczne prace.

Prace oceniali w dwóch kategoriach wiekowych – klasy I - III i IV - VI: Paweł Iwaniuk, projektant graficzny, Anna Miszczuk, projektant graficzny, Maria Ptaszyńska, katechetka i Katarzyna Wyspiańska-Mirończuk, producentka telewizyjna. Nadeszło wiele ciekawych prac o różnorodnej tematyce i niepowtarzalnym dziecięcym spojrzeniu na ich życie w Cerkwi. Oto werdykt jury:

KLASY I-III

I miejsce: **Emilia Rajecka** z Bielska Podlaskiego, kl. I i **Miroslava Bocharova** z Lublina, kl. I

II miejsce: **Gabriela Ostapkowicz** z Czeremchy, kl. II i **Zofia Czykwin** z Białegostoku, kl. III

III miejsce: **Aleksander i Lena Kardasz** ze szkoły w Ogrodniczkach z klas II i III, **Marysia Baczyńska** z Białegostoku, kl. II, **Natalia Olesiuk** z Lublina, kl. III

Wyróżnienia: **Lena Żabiuk**, kl. I i **Maria Łukszewicz** z Lublina, kl. III i **Hanna Sapiołko** z Białegostoku, kl. III



KATARZYNA WILDOWICZ



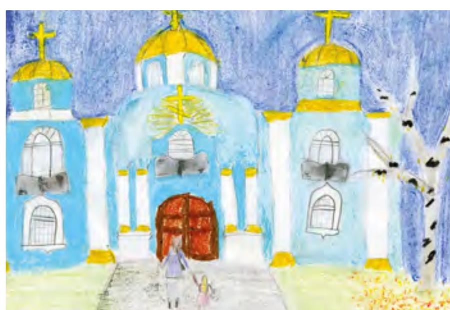
MAŁGORZATA RYSZCZUK



TSIMUR ABARAAKE



MAGDALENA REDO



LENA GOŁUBOWSKA



PIOTR ALEKSIEJUK



LENA ŻABIUK



MICHAŁ WASILUK



HANNA SAPIOŁKO

KLASY IV-VI

I miejsce: **Katarzyna Wildowicz** z Białegostoku, kl. VI

II miejsce: **Magdalena Redo** z Białegostoku, kl VI

III miejsce: **Małgorzata Ryszczuk** z Czeremchy, kl VI

Wyróżnienia: Czwartoklasiści z Czeremchy – **Piotr Aleksiejuk** i **Michał Wasiluk** oraz **Lena Gołubowska** z Płocka, kl. V

Wyróżnienie specjalne: **Tsimur Abaraake**, kl. IV

MŁODZI ARTYŚCI!

Bardzo Wam dziękujemy za udział w konkursie! Wasze prace ozdobią kalendarz 2021, ale także będą publikowane na łamach Przeglądu Prawosławnego przy okazji świąt. Pandemia koronawirusa chyba nie pozwoli na przeprowadzenie koncertu kolęd w Operze i Filharmonii Podlaskiej, gdzie miały być prezentowane Wasze prace. W związku z tym nagrodzeni i wyróżnieni otrzymają dyplomy i nagrody pocztą.

Dziękujemy też katechetom, którzy inspirowali swoich uczniów do twórczej pracy.

Redakcja merytoryczna: Maria Ptaszyńska, opracowanie graficzne: Anna Miszczuk

Patras – miasto św. apostoła Andrzeja

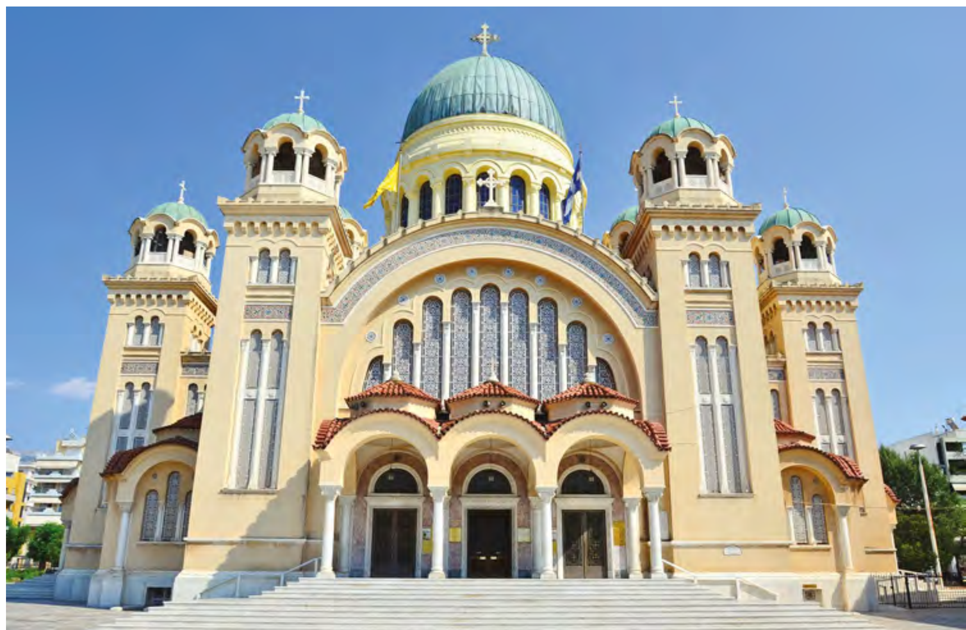
Patras jest największym miastem na Peloponezie i trzecim pod względem wielkości w Grecji. Jego historia sięga VI stulecia p.n.e. Na początku IX wieku cesarz bizantyński Nicefor I (802-811) nadał miastu tytuł metropolii. W Patras znajduje się największa prawosławna świątynia w Grecji, czyli sobór św. apostoła Andrzeja Pierwszego Powołanego, gdzie przechowywane są jego relikwie oraz krzyż, na którym poniósł śmierć męczeńską. Imponująca świątynia w stylu neobizantyńskim jest perełką architektoniczną miasta. Św. ap. Andrzej (grec. Protokletos, cs. Pierwozwannyj) wspominany jest przez Cerkiew prawosławną 30 czerwca/13 lipca (sobór dwunastu apostołów) i 30 listopada/13 grudnia.

Budowę monumentalnej świątyni w Patras rozpoczęto w 1908 roku. W uroczystości wmurowania kamienia węgielnego uczestniczył król Grecji **Jerzy I** (1863-1913). Autorami projektu byli słynni greccy architekci **Anastasios Metaksas** i **Georgios Nomikos**. Ze względu na niestabilną sytuację ekonomiczną i działania wojenne na początku XX wieku, kilkakrotnie wstrzymywano wznoszenie świątyni. W 1974 roku ukończono budowę soboru o powierzchni dwóch i pół tysiąca metrów kwadratowych, który może pomieścić siedem tysięcy ludzi. Wokół głównej kopuły jest dwanaście mniejszych, które symbolizują Chrystusa i dwunastu apostołów. Na szczycie znajduje się pięciometrowy pozłacany krzyż. Długość cerkwi, wzniesionej z białego marmuru, wynosi 60 metrów, szerokość 52 metry, natomiast wysokość 46 metrów. Sobór znajduje się nieopodal starszej, mniejszej cerkwi św. ap. Andrzeja, wybudowanej w latach 1836-1843, przy której znajduje się źródło, gdzie według cerkiewnej tradycji został ukrzyżowany apostoł.

Apostoł Andrzej pochodził z Betsaidy nad Jeziorem Galilejskim. Mieszkał ze swoim bratem, apostołem Piotrem, w Kafarnaum. Początkowo był uczniem św. Jana Chrzciciela, pod wpływem którego podążył za Jezusem Chrystusem. Opisuje to w swojej Ewangelii św. Jan Teolog: *Nazajutrz Jan znowu stał w tym miejscu wraz z dwoma swoimi uczniami i gdy zobaczył przechodzącego Jezusa, rzekł: „Oto Baranek Boży". Dwaj uczniowie usłyszeli, jak mówił, i poszli za Jezusem. Jezus zaś odwróciwszy się i ujrzawszy, że oni idą za Nim, rzekł do nich: „Czego szukacie?". Oni powiedzieli do Niego: „Rabbi! – to znaczy: Nauczycielu – gdzie mieszkasz?". Odpowiedział im: „Chodźcie, a zobaczycie". Poszli więc i zobaczyli, gdzie mieszka, i tego dnia pozostali u Niego. (...) Jednym z dwóch, którzy to usłyszeli od Jana i poszli za Nim, był Andrzej, brat Szymona Piotra. Ten spotkał najpierw swego brata i rzekł do niego: „Znaleźliśmy Mesjasza" – to znaczy: Chrystusa. I przyprowadził go do Jezusa* (J 1, 35-42).

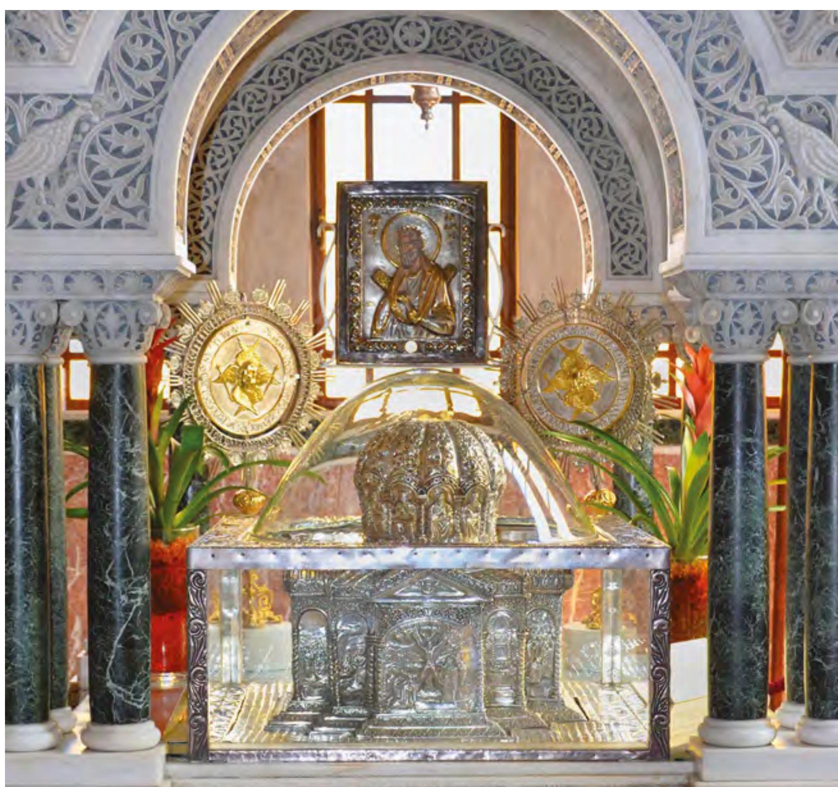
Zatem św. ap. Andrzej to pierwszy człowiek, który uwierzył w Jezusa Chrystusa jako Zbawiciela. Pierwszy powołany apostoł był więc pośrednikiem między Chrystusem a tymi, którzy w Niego jeszcze nie uwierzyli. Jest to widoczne w opisie nakarmienia pięciu tysięcy osób (J 6,5-14), a także we fragmencie dotyczącym przybycia do Jerozolimy „niektórych Greków", chcących zobaczyć Chrystusa (J 12,20-23). Na Górze Oliwnej uczestniczył w rozmowie ze Zbawicielem o nadchodzących prześladowaniach i końcu świata (Mr 13,3-8). Wraz z dwunastoma apostołami był obecny podczas Mistycznej Wieczerzy (Mt 26,17-30), widział Chrystusa po Zmartwychwstaniu (Mt 28,16-20), a także był świadkiem Jego Wniebowstąpienia (Dz 1,9-14).

Po Zesłaniu Świętego Ducha na apostołów (Dz 2,1-4) św. ap. Andrzej głosił Ewangelię w wielu odległych miejscach. Z oddaniem i poświęceniem dokonywał cudów, uzdrawiał



Sobór katedralny w Patras





chorych, wskrzeszał umarłych. Wczesnochrześcijański pisarz **Orygenes**, żyjący na przełomie II i III wieku, wyrażał opinię, że działał w Scytii, czyli w regionie między Dunajem a Donem. Według świadectw, pochodzących z przełomu IV i V wieku, św. **Hieronima** ze Strydonu i **Teodoreta** z Cyru, pracował misyjnie także w Tracji, Bitynii, Poncie i Kapadocji. Zgodnie z innymi przekazami dotarł na Cypr, do wybrzeży Morza Czarnego, do Rumunii i Iberii. Według tradycji Cerkwi konstantynopolitańskiej ustanowił **Stachysa** (Rz 16,9) pierwszym biskupem kolonii greckiej Bizancjum, która stała się później stolicą cesarstwa wschodniorzymskiego. Po koniec życia apostoł przybył do Achai, czyli do krainy w północnej części Peloponezu, gdzie prowadził aktywną działalność, dzięki której wiele osób przyjęło chrześcijaństwo. Wśród nich była **Maksymilla**, żona rzymskiego zarządcy miasta Patras Egeata i jego brat **Stratokles**, który później został wyznaczony przez św. ap. Andrzeja na pierwszego biskupa Patras. Rozprzestrzenianie się chrześcijaństwa i liczne nawrócenia wzbudziły gniew i zemstę **Egeata**, który skazał głosiciela Ewangelii na śmierć przez ukrzyżowanie głową w dół. Apostoł został przywiązany za ręce i nogi do krzyża, mającego kształt litery X, która jest pierwszą literą imienia Chrystus w języku greckim *Χριστός*.

Relikwie św. ap. Andrzeja przez trzy stulecia znajdowały się w miejscu jego męczeństwa w Patras. W 357 roku za panowania cesarza **Konstancjusza II** (337-361), syna cesarza św. **Konstantyna I Wielkiego** (306-337), relikwie zostały uroczyście przeniesione przez dowódcę wojskowego św. wielkomęczennika **Artemiusza** z Patras do Konstantynopola i umieszczone w cerkwi św. św. apostołów obok relikwii św. ap. Łukasza i św. ap. Tymoteusza. Głowa apostoła została zwrócona do Patras przez cesarza bizantyńskiego **Bazylego I Macedończyka** (867-886). Po zajęciu Konstantynopola przez krzyżowców w 1208 roku kardynał **Piotr Kapuański** przewiózł relikwie do miejscowości Amalfi, w pobliżu Neapolu we Włoszech, gdzie przebywają do dziś.

Głowa św. ap. Andrzeja i krzyż, na którym poniósł śmierć, pozostawały w Patras. Na podstawie świadectwa bizantyńskiego poety **Teodora Prodromosa**, żyjącego w XII wieku, były one darzone przez ludzi wielką czcią, nie mniejszą jak relikwie znajdujące się w Konstantynopolu. W 1462 roku władca Morei, greckiego państwa, istniejącego w latach 1308-1460 na Peloponezie, despota **Tomasz Paleolog** (1449-1460), młodszy brat ostatniego cesarza bizantyńskiego **Konstantyna XI Paleologa** (1449-1453), uciekając przed napaścią turecką zabrał ze sobą głowę apostoła na wyspę Korfu. Następnie udał się do Włoch, gdzie przekazał ją papieżowi **Piusowi II**, który polecił umieścić ją w bazylice św. ap. Piotra. Część kości z głowy dostarczono do Amalfi. Krzyż, na którym poniósł męczeńską śmierć św. ap. Andrzej, podczas wypraw krzyżowych został zabrany z Grecji przez władcę Księstwa Burgundii, leżącego

Mozaika ukrzyżowanego św. apostoła Andrzeja w soborze w Patras

w centralnej Francji. Umieszczono go w klasztorze św. Wiktora w Marsylii.

W 1964 roku papież **Paweł VI** zwrócił do Patras dużą część głowy św. ap. Andrzeja, którą umieszczono w prawej nawie soboru w ozdobnym, srebrnym relikwiarzu. W 1980 roku kardynał **Roger Etchegaray** przekazał Greckiej Cerkwi Prawosławnej zachowane fragmenty krzyża, na którym został ukrzyżowany apostoł. Obecnie znajdują się one w świątyni w Patras w specjalnie wykonanej, drewnianej konstrukcji.

Z czasem relikwie św. Andrzeja, jednego z dwunastu apostołów, dotarły na Atos. W Wielkiej Ławrze znajduje się jego ręka, w monasterze św. Pantelejmona stopa, a w skicie św. Andrzeja fragment górnej kości czaszki. W 1639 roku monaster św. ap. Andrzeja, leżący nieopodal miejscowości Peratata na



wyspie Kefalonia, największej z Wysp Jońskich, otrzymał z Atosu dolną część stopy apostoła. Na podstawie źródeł historycznych wiadomo również, że w 1644 roku mnisi monasteru św. Anastazji, położonego nieopodal Salonik, podarowali carowi Rosji **Michałowi I Romanowowi** (1613-1645) prawą rękę św. ap. Andrzeja, która została umieszczona w soborze Zaśnięcia Bogarodzicy na moskiewskim Kremlu. Obecnie znajduje się ona w soborze katedralnym Objawienia Pańskiego w Moskwie.

Sobór biskupów Gruzińskiej Cerkwi Prawosławnej w 2002 roku postanowił upamiętniać św. ap. Andrzeja nie tylko 13 grudnia, w dniu jego śmierci, ale także 12 maja, w dniu jego przybycia do Gruzji. Władze państwowe ustanowiły ten dzień ustawowo wolnym od pracy. Taka decyzja była podyktowana szczególnym znaczeniem tego apostoła w historii chrystianizacji kraju. Na podstawie zachowanych starych gruzińskich kalendarzy wiadomo, że do połowy drugiego tysiąclecia pamięć św. ap. Andrzeja była wspominana liturgicznie w Gruzji dwanaście razy w roku. Z czasem ta tradycja została zapomniana.

Pierwszą cerkiew ku czci św. ap. Andrzeja wybudowano w Konstantynopolu w 357 roku. W następnych stuleciach powstawały kolejne świątynie w poszczególnych państwach. Obecnie prawosławne cerkwie poświęcone temu świętemu istnieją m.in. w Anglii w Birmingham, w Brazylii w Rio de Janeiro, na Cyprze w Limassol, w Grecji w Atenach, w Gruzji w Tbilisi, w Niemczech w Düsseldorfie, w Rosji w Sankt Petersburgu, w USA w stanach Floryda, Kalifornia, Nowy Jork, Teksas, Waszyngton. Jednak największym obiektem sakralnym wzniesionym ku czci pierwszego powołanego apostoła pozostaje sobór w Patras w Grecji, do którego nieustannie przybywają liczni pielgrzymi z odległych krańców świata. Dane mi było osobiście o tym się przekonać.

Andrzej Charyło, fot. **autor**

Nie wszystkiemu są winni Serbowie

Utworzony w 1993 roku Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii, którego głównym prokuratorem została szwajcarska prawnik **Carla del Ponte**, dotychczas osądził 22 osoby. Za zbrodnie wojenne i przeciw ludzkości na wieloletnie więzienie skazano dwudziestu serbskich przywódców, generałów i oficerów – aresztowany przez serbską policję w Belgradzie w 2001 roku prezydent **Slobodan Milošević** zmarł w 2006 roku w haskim więzieniu na „atak serca". Trybunał w trwającym pięć lat procesie nie znalazł podstaw do jego skazania i z powodu śmierci podejrzanego sprawę umorzył. Choć w wojnie domowej, a taką był konflikt w byłej Jugosławii, każda ze stron ma swoje racje i każda popełniała zbrodnie, to zgodnie z ukształtowaną przez propagandę państw uczestniczących w bombardowaniach Jugosławii opinią, wszystkiemu winni byli Serbowie. Nie dziwi więc, że za zbrodnie popełnione na Serbach skazano tylko jednego chorwackiego generała, jednego generał armii Bośni i Hercegowiny i jednego żołnierza Armii Wyzwolenia Kosowa.

I oto po przeszło dwudziestu latach, ku wielkiemu zaskoczeniu dużej części specjalizujących się w tematyce bałkańskiej obserwatorów, do aresztu w Hadze trafił prezydent (wcześniej podał się do dymisji) samozwańczego państwa Kosowa **Hasim Thaci** i trzej inni dowódcy Armii Wyzwolenia Kosowa (UCK) – cała czwórka jest oskarżona o zorganizowanie i nadzorowanie obozów, w których w nieludzkich warunkach przetrzymywano, torturowano i zabijano Serbów i przedstawi-

Metropolita Amfilochiusz przy zamordowanych mieszkańcach Kosowa (ofiarach UCK)



cieli innych, nie popierających UCK, narodowości. Od części więzionych – przed ich zabiciem – pobierano organy wewnętrzne, by sprzedać je bogatym ludziom w „cywilizowanej" części świata.

Choć o zbrodniach UCK wiedziano, to w polskiej prasie długo o nich milczano. Przypomniała „Rzeczpospolita" z 29-30.08.2020 roku, zamieszczając fragmenty książki szwajcarskiej prawniczki.

Przemoc, strach i ubóstwo zamykają usta świadkom – pisze Carla del Ponte w swoich wspomnieniach „Madame prokurator". Pokaźny fragment tej książki jest poświęcony Kosowu.

„Mieliśmy szereg doniesień o zarzucanych UCK zbrodniach. Biuro prokuratora otrzymywało informacje o tym, że w latach 1998 i 1999 żołnierze Armii Wyzwolenia Kosowa przetrzymywali setki Serbów, Romów, Albańczyków i członków innych grup etnicznych. Niektórzy z jeńców trafiali do tworzonych naprędce obozów jenieckich, innych trzymano w piwnicach wypełnionych wodą, w klatkach dla bydła. Niektórych bito, niektórych gwałcono, niektórych torturowano, na niektórych dokonano egzekucji, inni po prostu zniknęli. Otrzymywaliśmy informacje o wykorzystywaniu cywilów jako ludzkich tarcz, o egzekucjach w pobliżu jeziora, o wywożeniu ciał ofiar i żywych więźniów na teren Albanii (...)".

Z czasem okazało sie, że Kosowianie posunęli się krok dalej. „Dowiedzieliśmy się, że podczas letnich miesięcy 1999 roku Albańczycy wywieźli ciężarówkami od setki do trzystu uprowadzonych przez kosowską granicę do północnej Albanii. Początkowo trzymano ich w opustoszałych magazynach i innych lokalizacjach, w tym w miasteczkach Kukës i Tropolje" – pisze del Ponte. „Zgodnie z informacjami dziennikarzy, niektóre młodsze osoby, w lepszej kondycji, były dobrze karmione, badane przez lekarzy, nigdy ich nie bito. Przewieziono je do innych lookalizacji koło Burrel, w tym żółtego budynku położonego dwadzieścia kilometrów od Burrel. Jedno z pomieszczeń tego budynku, jak donosili dziennikarze, zostało zamienione w zaimprowizowaną kilinikę chirurgiczną. Tam lekarze pozyskiwali od uprowadzonych organy wewnętrzne. Były one potem przemycane przez lotnisko Rinas w pobliżu Tirany celem sprzedaży do transplantacji. Ofiary przymusowych zabiegów trzymano przy życiu do momentu wycięcia innych organów. Te, które zorientowały się w swoim losie, błagały, by odebrać im życie natychmiast. Wśród porwanych były kobiety z Kosowa, Albanii, Rosji i innych krajów słowiańskich. Niektóre źródła potwierdziły, że szczątki grzebano w pobliżu żółtego domu" – relacjonowała prawniczka. Wszystko za wiedzą liderów UCK.

„Sukces UCK – pisze **Radosław Czarnecki** na portalu strajk.eu – leżał przede wszystkim w poparciu mediów głównego nurtu. Kształtowały one skrajnie jednostronny, zupełnie fałszywy obraz wydarzeń w Kosowie. Zawdzięcza to również zaangażowaniu amerykańskiej firmy Ruder Finn, jednej z największych na świecie prywatnych agencji komunikacyjnych, piarowych, obsługującej korporacje, rządy i organizacje non-profit. Zajmowała się ona również (zlecenia na miliony dolarów) czarnym PR-em Serbii podczas konfliktów w Chorwacji i Bośni. O terrorze UCK milczano".

Informacje o bezpośrednim udziale przywódców UCK w haniebnym procederze były dostępne od dawna. Jeszcze przed ogłoszeniem oderwania Kosowa od Serbii – Polska jako jedna z pierwszych uznała niepodległość Kosowa, czego dotychczas nie uczyniło blisko sto państw, w tym Hiszpania i Słowacja – pisała o tym w autobiograficznej książce „The Hunt" (Polowanie) Carla del Ponte.

Zachodnie, także i polskie, mainstreamowe media, przedstawiające UCK jako legendarnych, niosących na „chore Bałkany" zachodnie wartości bojowników, informacje te nie tylko zignorowały, ale podważały wiarygodność Carli del Ponte. „Znawcy tematu – pisał **Zbigniew Parafianowicz** (Dziennik – Gazeta Prawna 20.04.2008) – nie mają złudzeń: żądna sławy Szwajcarka radykalnie zmienia front, by zbudować sobie nową markę. Kiedyś zdobyła sławę jako tropicielka Miloszevicia, Karadżicia i Mladicia. Źli ludzie Bałkanów przeszli jednak do lamusa. Dzisiaj trzeba otworzyć kolejny rozdział. Będą nimi Albańczycy".

Jednak narracji, według której po jednaj stronie mocy stoją źli, brutalni, zbrodniczy Serbowie, po drugiej prześladowani, niewinni, walczący o wolność Albańczycy z Kosowa, nie dało się dłużej utrzymywać. Informacje, zawarte w raportach i oświadczeniach szwajcarskiej prokurator potwierdzili

przedstawiciele Human Rights Watch i m.in. amerykański senator **Clint Wiliamson**. Wiedza o celach i sposobach działania albańskich separatystów była dostępna także z oficjalnych dokumentów amerykańskich służb specjalnych. W 1988 roku Departament Stanu USA – pisze Wikipedia – ogłosił iż działalność UCK ma charakter terrorystyczny i jest finansowana z międzynarodowego handlu heroiną oraz pożyczek z krajów islamskich, m.in. **Osamy ibn Ladena**". Oświadczenie to – czytamy dalej – nie spowodowały zaprzestania zbrojenia i szkolenia członków tej organizacji przez USA i wspierania jej przez wojska NATO.

Trwające 78 dni (marzec-czerwiec 1999 roku) bombardowania Jugosławii – Polska jako członek NATO sankcjonowała te ataki – miały zapewnić kolebce serbskiej kultury i państwowości pokój, wieloetniczny charakter, przestrzeganie praw człowieka, demokrację. Jednak już po przyjęciu przez ONZ i Unię Europejską pełnej odpowiedzialności za Kosowo, z prowincji tej wypędzono około dwustu tysięcy ludzi, zabito ponad dwa tysiące, zniszczono ponad sto prawosławnych świątyń i monasterów. Nie ma informacji, by poza jednym, wspomnianym żołnierzu UCK, ktoś ze sprawców tych zbrodni został osądzony. O powrocie uchodźców do Kosowa, co miało nastąpić po wycofaniu serbskich wojsk, nikt już nie wspomina, a pozostali jeszcze w tej prowincji Serbowie żyją w stanie stałego zagrożenia w swoistych gettach. Bezpieczeństwa dla nich nie są w stanie zapewnić ani dowodzone przez NATO Kosovo Force – KFOR, w skład których wchodzi polska jednostka, ani amerykańskie oddziały stacjonujące w utworzonej przez Amerykanów ogromnej (na powierzchni około 400 ha zbudowano ponad trzysta budynków) bazy Camp Bondsteel w Urosevac.

Ewentualne, co nie jest wcale pewne, skazanie członków kosowskiej elity nie zmieni sytuacji trwających na swojej ziemi Serbów. My możemy i powinnismy pamiętać o nich w naszych modlitwach.

Eugeniusz Czykwin

Niebezpieczeństwo rozłamu

24 października zwierzchnik Cypryjskiej Cerkwi Prawosławnej, arcybiskup Nowej Justyniany i całego Cypru Chryzostom II, bez zgody synodu biskupów, wymienił po raz pierwszy podczas Liturgii na wielkim wejściu imię Epifaniusza (Dumenko), zwierzchnika utworzonej 15 grudnia 2018 roku Prawosławnej Cerkwi Ukrainy (PCU), nieuznawanej przez zdecydowaną większość kanonicznych lokalnych Cerkwi prawosławnych na świecie. To niespodziewane zachowanie wywołało oburzenie i dezaprobatę obecnych na nabożeństwie cypryjskich hierarchów i duchowieństwa. Metropolita Limassol Atanazy na znak protestu niezwłocznie opuścił świątynię, nie czekając na zakończenie nabożeństwa. Zaistniała sytuacja spowodowała realną groźbę naruszenia kanonicznej jedności cypryjskiej Cerkwi.

Hierarchowie cypryjskiej Cerkwi, metropolita Kykkos i Tylirii **Nikifor** (**Kykkotis**), metropolita Limassol **Atanazy** (**Nikolaou**), metropolita Tamassos i Oreini **Izajasz** (**Kykkotis**) i metropolita Amathous **Mikołaj** (**Timiadis**), niezwłocznie zaapelowali do arcybiskupa **Chryzostoma II** (**Dimitriou**) o natychmiastowe anulowanie antykanonicznej decyzji o włączeniu imienia **Epifaniusza** (**Dumenko**) do dyptychu zwierzchników lokalnych Cerkwi prawosławnych. Tekst apelu opublikował grecki portal informacyjny Romfea.

Metropolici, wyrażając swój niepokój i głęboki smutek, w swoim oficjalnym piśmie stwierdzili, że działanie arcybiskupa jest rażącym naruszeniem synodalnej, soborowej i demokratycznej struktury Cerkwi prawosławnej, a także funkcjonowania cypryjskiej Cerkwi, które opiera się na tym porządku. Kwestia dotycząca Epifaniusza była podejmowana 9 września na synodzie biskupów. Postanowiono wtedy rozważyć ją na kolejnym posiedzeniu, aby wysłuchać wszystkich członków synodu i podjąć synodalną decyzję w tej sprawie. Decyzja patriarchy Konstantynopola z 2018 roku, na mocy której Epifaniusz został zwierzchnikiem PCU, wywołała wstrząs w Cerkwi prawosławnej na świecie i do dziś te postanowienie uznają jedynie Cerkiew grecka i aleksandryjska. Należy nadmienić, że podczas „chirotonii" nowego zwierzchnika nie było ani jednego przedstawiciela lokalnych Cerkwi prawosławnych, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Epifaniusz nie posiada kanonicznych święceń, gdyż pochodzi ze schizmatyckiej ukraińskiej struktury cerkiewnej. Gdyby patriarcha Konstantynopola rzeczywiście chciał zachować kanoniczny porządek nadania autokefalii Cerkwi na Ukrainie, to musiałby ją nadać kanonicznemu metropolicie kijowskiemu **Onufremu** (**Berezowskiemu**), zwierzchnikowi Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi, który musiałby uzyskać na to zgodę patriarchatu moskiewskiego, a także zwierzchników lokalnych Cerkwi prawosławnych. Nadanie autokefalii schizmatyckim strukturom cerkiewnym na Ukrainie jest działaniem samowolnym, antykanonicznym i antycerkiewnym w tym sensie, że UPC znajduje się w jurysdykcji patriarchatu moskiewskiego, zatem jest to ingerencja w jurysdykcję tego patriarchatu. W związku z tym Ruska Prawosławna Cerkiew, reagując na te działanie, zasadnie zerwała jedność eucharystyczną z patriarchatem



Konstantynopola, a także z Cerkwiami grecką i aleksandryjską. Nadanie autokefalii jest możliwe, zgodnie z kanonami cerkiewnymi, jedynie po uprzednim zatwierdzeniu przez zwierzchników lokalnych Cerkwi prawosławnych. W tym przypadku patriarcha Konstantynopola, wbrew kanonom i Tradycji, a także wbrew swoim wcześniejszym stosownym wypowiedziom w tej sprawie, działał jednostronnie i samowolnie. Niestety, za tym przykładem poszedł zwierzchnik cypryjskiej Cerkwi, ignorując własny synod biskupów. Decyzja arcybiskupa Cypru o wspomnieniu Epifaniusza jako zwierzchnika PCU jeszcze bardziej pogłębia napiętą sytuację między lokalnymi Cerkwiami prawosławnymi, grozi nasileniem schizmy w światowym prawosławiu i powoduje bezpośrednie uczestnictwo w tym procesie cypryjskiej Cerkwi – napisano w oświadczeniu.

Czterej metropolici wezwali arcybiskupa Chryzostoma II do natychmiastowego wycofania się z antykanonicznego i nieważnego działania, a także zwrócili się z prośbą do wszystkich biskupów cypryjskiej Cerkwi o wspólne żądanie zwołania nadzwyczajnego synodu biskupów w celu podjęcia stosownej decyzji. Podkreślili, że zachowanie arcybiskupa Chryzostoma II było przedwczesne, biorąc pod uwagę krytyczny czas związany z kwestią narodową, jak również groźne działania tureckiej polityki ekspansjonistycznej, mogącej spowodować zmniejszenie się liczebności cypryjskiego narodu. Hierarchowie na zakończenie swojego apelu stwierdzili, że działają w dobrej wierze, zgodnie z biskupim sumieniem i świętym obowiązkiem, polegającym na konieczności zachowania kanonicznego porządku i jedności Cerkwi oraz w celu uniknięcia śmiertelnego grzechu rozłamu, czyli schizmy, gdyż według św. Jana Chryzostoma „żadna krew nie jest w stanie zmyć tego grzechu".

Arcybiskup Chryzostom II skomentował apel czterech metropolitów, uznając to za spisek, podlegający karze pozbawienia posiadanych godności. Stwierdził, że nie uprzedził członków synodu biskupów o podjętej decyzji dotyczącej wymienienia imienia Epifaniusza podczas Liturgii, gdyż wiedział, że hierarchowie nie zgodziliby się na to i powiedzieliby „nie". Zwierzchnik cypryjskiej Cerkwi oświadczył, że nie miał zamiaru ich słuchać i uczynił to, co uważał za słuszne. W swoim liście do patriarchy konstantynopolitańskiego poinformował, że neutralność cypryjskiej Cerkwi wobec kwestii ukraińskiej miała na celu wyłącznie wspólne dobro prawosławia i wynikała z chęci pomocy patriarchatowi konstantynopolitańskiemu. Arcybiskup Chryzostom II stwierdził, że widząc brak rezultatów swoich wysiłków postanowił uznać nowego zwierzchnika PCU. 2 listopada podczas rozmowy telefonicznej zaprosił Epifaniusza do złożenia wizyty na Cyprze, wyrażając radość z możliwości wspólnej modlitwy.

Patriarcha konstantynopolitański **Bartłomiej** oświadczył, że sprzeciw hierarchów wobec decyzji zwierzchnika cypryjskiej Cerkwi w sprawie autokefalii PCU wskazuje nie na ich wrażliwość na eklezjologiczny i kanoniczny porządek i jedność prawosławia, lecz raczej na ich obojętność ze względu na inne cele.

4 listopada czterej metropolici napisali list otwarty do zwierzchnika patriarchatu konstantynopolitańskiego, w którym wyrazili swój sprzeciw wobec stanowiska Fanaru w sprawie PCU, a także z ubolewaniem odpowiedzieli na zarzuty skierowane pod ich adresem. Hierarchowie sformułowali szereg pytań: „Czy mamy prawo jako członkowie synodu biskupów cypryjskiej autokefalicznej Cerkwi do swobodnego i nieustraszonego wyrażania swoich poglądów, nawet jeśli różnią się one od stanowiska innych hierarchów? Czy jest to poprawne i zgodne ze statutem synodu, że niektórzy biskupi narażeni są na obelgi i obraźliwe słowa w związku z tym, iż nie zgadzają się z opinią zwierzchnika lokalnej Cerkwi? Czy jest to właściwe, że synod biskupów absolutnie jednogłośnie podejmuje określone decyzje w ważnej sprawie, a zwierzchnik Cerkwi ignoruje i unieważnia decyzję całego synodu i postępuje zupełnie inaczej?". Metropolici przytoczyli także treść 34 kanonu apostolskiego: „Biskupi każdego narodu (Cerkwi lokalnych) powinni znać pierwszego z nich i uznawać go za głowę i niczego, co przekracza ich władzę, nie powinni robić bez jego decyzji. (…) Ale i pierwszy biskup niech nie robi czegokolwiek bez porozumienia się z pozostałymi biskupami. Ponieważ jak będzie jednomyślność, to Bóg będzie uwielbiony przez Świętego Ducha w Panu – Ojciec, Syn i Święty Duch". Hierarchowie podkreślili, że uznanie Epifaniusza przez arcybiskupa Chryzostoma II jest aktem samowolnym i bezprawnym.

Metropolita Kykkos i Tylirii Nikifor stwierdził, że „w sytuacji, gdy naruszane są kanony i ponadczasowe zasady wynikające z cerkiewnej Tradycji, a także porządek sakramentalny, należy stanowczo reagować. Podążając za głosem biskupiego sumienia, biada nam, jeśli będziemy milczeć jak ryby, gdyż wtedy także my staniemy się tego współuczestnikami". Hierarcha zaznaczył, że nie jest ani prorosyjski, ani proamerykański, ale przestrzega kanonów i zasad Cerkwi. Problem cypryjskiej Cerkwi polega na tym, że niektóre decyzje zostały podjęte pod presją interesów geopolitycznych, geostrategicznych i geoekonomicznych – stwierdził metropolita. W opinii komentatorów hierarcha zwrócił uwagę na fakt, że uznanie Epifaniusza przez arcybiskupa Chryzostoma II miało miejsce niedługo po wrześnio-

wej wizycie patriarchy aleksandryjskiego **Teodora II** i sekretarza stanu USA **Michaela Pompeo** na Cyprze.

Metropolita Tamassos i Oreini Izajasz uważa, że zwierzchnikowi Cerkwi należy się szacunek, ale nie oznacza to bezwarunkowej i całkowitej zgody z jego stanowiskiem. Wszyscy biskupi mają prawo do wyrażania swojego punktu widzenia, dyktowanego przez własne sumienie, a także do pewnej krytyki wobec zaistniałych zdarzeń. Hierarchowie nie są zobowiązani do bezwzględnego posłuszeństwa, które ignorowałoby naukę dogmatyczną, normy kanoniczne i tradycje liturgiczne Cerkwi. Biskupi nie mogą zobowiązać się do podporządkowania się organom władzy lub innym osobom, które naruszałyby Świętą Tradycję Cerkwi. Naszym sędzią jest Bóg, synod biskupów i pobożni członkowie naszej Cerkwi, jednej, świętej, powszechnej i apostolskiej Cerkwi – podkreślił hierarcha.

10 listopada członkowie synodu biskupów cypryjskiej Cerkwi, którzy nie zgadzają się z postawą arcybiskupa Chryzostoma, podjęli decyzję o zaprzestaniu z nim wspólnego sprawowania nabożeństw, a także wszelkich spotkań, dopóki synod nie uzgodni wspólnego stanowiska w kwestii PCU. W ten sposób cypryjska Cerkiew znalazła się w obliczu potencjalnej schizmy i od arcybiskupa Chryzostoma II zależy, czy sytuacja ulegnie normalizacji. Obecnie stanowcza większość lokalnych Cerkwi prawosławnych na świecie za jedynego kanonicznego metropolitę kijowskiego i całej Ukrainy uznaje nie Epifaniusza, lecz metropolitę Onufrego.

Zwierzchnik cypryjskiej Cerkwi poinformował, że na najbliższym posiedzeniu synodu biskupów, które odbędzie się 23 listopada, nie zamierza poddawać pod głosowanie kwestii wymienienia przez niego imienia Epifaniusza podczas Liturgii, lecz jedynie wyjaśni, dlaczego zdecydował się w taki sposób postąpić.

Na podstawie orthodoxtimes.com, spzh.news, orthodoxianewsagency.gr
opracował **Andrzej Charyło**
fot. **churchofcyprus.org.cy**

Jak wymieniono się wioskami

Świat szaleje, wadzi się z kim może i pożera swój własny ogon, ziejąc ogniem nienawiści. Tym więc cenniejszy, moim zdaniem, staje się każdy przykład postępowania odwrotnego. I o czymś takim właśnie, na pozór niewyobrażalnym, chciałbym Państwu w tym tekście opowiedzieć.

Aby wszystko zrozumieć należycie, musimy cofnąć się do końca lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, gdy Gorbaczow ogłosił *głasnost'* i *pierestrojkę*. Wszyscy zapragnęli wtedy niezależności i każdy, nawet najmniejszy naród, zaczął ku niej podążać. W efekcie Kaukaz eksplodował, czego skutki widoczne są do dziś. Na potrzeby tego tekstu zostańmy więc w dwóch maleńkich, nikomu nieznanych wioskach w Armenii i Azerbejdżanie.

Wszystko zaczęło się w lutym 1988 roku w azerbejdżańskim Sumgaicie, w którym doszło do pogromu Ormian. *Znajomy Azer jak cię widzi, wzrok odwraca, idzie w drugą stronę, nie chce z tobą rozmawiać. Ktoś mówi coś, czego przedtem nie mówił. I widzisz, że milicja nie jest po twojej stronie*... Jesienią do pogromów doszło też w Baku, Gandży, Szemasze. Tak opisywała to izraelska gazeta „Krug": *W Baku tablicę przeznaczoną na portrety wodzów, zasłoniły hasła: Ormianie – won z Azerbejdżanu!; Ormianie – wynosić się!.. Były też plakaty z karykaturami: dziarski Azer kopniakami w tyłki wygania ze swojego domu obrzydliwie wyglądających, czerwononosych Ormian, wśród których jest i kobieta z obwisłymi piersiami oraz krzyżem na szyi… Ostatnie dni w mieście marne. Biją Ormian, rabują mieszkania. Napięcie nie opada już prawie trzy tygodnie*.

Ale były też i takie relacje, jak ta z Szemachy: *W czasie przerwy obiadowej przyszli do nas znajomi Azerowie i powiedzieli, że w ormiańskich kwartałach zaczęły się pogromy. W domach wybijają okna, na ulicach nie ma Ormian. Znaleźli się ludzie, którzy stanęli po naszej stronie…. Wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy. Kiedy droga podniosła się dostatecznie wysoko, obejrzeliśmy się za siebie – tam gdzie pracowaliśmy, już się paliło*.

Zaczęło się więc bieżeństwo. Jak to wygląda, wiecie państwo doskonale. Jedną z ofiar sumgaickiego pogromu został mieszkaniec ormiańskiej wioski Kerkendż. Mieszkańcy postanowili uciekać. Ale starszyzna się sprzeciwiła, twierdząc że zna lepszy sposób. Lepszy? Jaki może być lepszy, skoro wróg już u bram?! I wtedy jeden ze *starików* przypomniał historię z roku 1918, gdy obydwa narody walczyły o niepodległość, przy okazji mordując się wzajemnie. Dotyczyła sąsiedniej, azerskiej (czyli muzułmańskiej) wioski Gagali. Mułła tejże osady wezwał wtedy wszystkich i powiedział: – Jeśli ktoś z was pojedzie do Kerkendżu i choćby kawałeczek czegokolwiek stamtąd zabierze, wyrzucę go ze wsi. Jeśli będziecie tak postępować, doprowadzicie naszą wieś do nieszczęścia.

Postanowiono więc – rzecz wydawałoby się niemożliwa: znajdziemy azerską wioskę na terenie Armenii, która ma takie same kłopoty jak my i wymienimy się wsiami. Wsiami, czyli polami, domami i wszystkim. Oni przesiedlą się tu, a my tam.

I mieszkańcy się zgodzili. Zgodzili się, bo na całym Kaukazie rada starszych to 'instytucja'! Po to jest, by jej słuchać. I słuchają wszyscy, bo sprzeciw generalnie jest nie do pomyślenia, gdyż wszyscy wiedzą, że to jedyna 'instytucja' na świecie, której naprawdę zależy na dobru mieszkańców i która niczego przy okazji nie spróbuje ugrać dla siebie. W ogóle bez rady *starików*



nic się tu nie dzieje. Zarówno w wymiarze rodzinnym – do momentu, gdy senior nie pójdzie spać, nikt się nie kładzie, a nuż trzeba mu w czymś pomóc?, jak i nawet państwowym – gdy parlament wybierze prezydenta w Abchazji, to lud uzna ten wybór dopiero wtedy, gdy potwierdzi go 'republikańska rada starców'. W tych górach bowiem przekroczenie setki nie jest jakimś wielkim osiągnięciem. Stąd i doświadczenie życiowe ogromne. A jeśli komuś się to nie podoba, przenosi się z górskich wiosek do miast, by pełną chochlą korzystać z dobrodziejstw „cywilizacji".

Postanowiliśmy wymienić się wieś za wieś, żeby ludzie się nie rozproszyli, żeby było łatwiej się przenosić… Kilka razy przychodzili Azerowie, żeby kupić jakiś dom, ale myśmy nie pozwalali. Ludzie mówili: nie będziesz sam się wymieniać ani sam sprzedawać. Jeśli koniecznie chcesz tak zrobić, poczekaj. My wyjedziemy, a wtedy, jak chcesz sprzedawać, to sprzedawaj, jak chcesz, to się wymieniaj.

Zaczęto więc poszukiwania. Nie było łatwo. Aż wreszcie się udało i w lutym 1989 roku starszyzna ormiańskiej wsi Kerkendż, leżącej na terytorium Azerbejdżanu, spotkała się po raz pierwszy ze starszyzną azerskiej wsi Kyzył-Szafag, leżącej w Armenii. Zaczęły się pertraktacje – w sumie pięć obustronnych spotkań przywódców. Oprócz spraw, nazwijmy je prywatnych, omówiono również te państwowe, jak choćby przekazanie majątków sowchozów obydwu wsi nowym mieszkańcom. Na koniec zostawiono temat najtrudniejszy, czyli cmentarze. Przenieść można bowiem wszystko, ale cmentarz? Tym bardziej, że islam zabrania ekshumacji, z czym zgadza się obyczaj ormiański. Uzgodniono więc wzajemną opiekę nad nekropoliami, które co prawda zostaną opuszczone, ale nie popadną w zaniedbanie dzięki staraniom nowych osiedleńców. *Siedzieliśmy kilka razy na szczycie wzgórza. Jeden chłopak z naszej wsi śpiewał smutną piosenkę w ich języku. Nasi ludzie płakali i tamci też płakali*. Jak się okazało, to właśnie ten punkt – opieki nad cmentarzami – zadecydował o ostatecznej zgodzie na wymianę wiosek. Umowa była ustna, całkowicie oparta na wierze w uczciwość 'towarzyszy w biedzie'.

Wymiana odbyła się między majem a lipcem 1989 roku. Ostateczną decyzję podejmowały zawsze dwie rodziny, na zasadzie wzajemnego porozumienia: dom za dom. *Wymieniajmy się tak, jak jest. Ty masz pięcioro dzieci i ja mam pięcioro dzieci… Potem on się zgodził, nakryliśmy do stołu, piliśmy*. Jeśli propozycja rady starców kogoś nie zadowalała, szukał lepszego wariantu na własną rękę, byleby tylko w obrębie tejże wsi. Potem spisywano umowę. Żeby było taniej, ciężarówka, która zabierała rzeczy jednej rodziny, wracała z majątkiem drugiej. Doszło więc do sytuacji, że przez pewien czas w obydwu wioskach mieszkali i Azerowie, i Ormianie, nierzadko nawet pod jednym dachem. Sprzyjało to kontaktom, poznawaniu się i wymianie doświadczeń. Ormianie uczyli Azerów uprawy winorośli w ich nowej wiosce, Azerowie zaś zapoznawali Ormian z sekretami hodowli owiec i obróbki mleka: *Myśmy też wiedzieli jak się robi masło, ale ich sposób jest wygodniejszy, no i masło lepiej wychodzi*.

Ćwierć wieku później, w roku 2013, **Aresen Hakopian** – etnograf z Uniwersytetu Erewańskiego oraz wykładowca Armeńskiej Akademii Nauk, z którego tekstu korzystam pisząc tę opowieść – postanowił odwiedzić obydwie wioski, by przekonać się, co po 25 latach zostało z ich umowy wzajemnej. Okazało się, iż było lepiej niż się spodziewał. Rzecz charakterystyczna, mieszkańcy obydwu wiosek prowadzili go najpierw na cmentarz, by pokazać, że nadal się nim opiekują. W każdej wiosce były teraz już dwa, bo trzeba było przecież gdzieś chować i własnych zmarłych. I jak zauważył badacz, te cudze wydawały mu się jakoś lepiej i staranniej utrzymane.

Okazało się również, że Azerowie w miarę systematycznie, pojedynczo lub grupowo, odwiedzają swoją byłą wioskę w Armenii, goszcząc wtedy w swych byłych domach, u ich nowych ormiańskich właścicieli. W drugą stronę szło zdecydowanie gorzej, gdyż władze azerbejdżańskie nie pozwalały na wjazd Ormian na terytorium swojej republiki. Nagrali więc Azerowie Ormianom kasetę video, pokazując że dbają zarówno o ich cmentarz, jak i o byłą wioskę. Oczywiście nikomu nawet do głowy by nie przyszło posądzać ich o oszustwo – tradycja kaukaska i tutejszy obyczaj nie zniosłyby takiego wszeteczeństwa.

Wiem, że z naszego, europejskiego, punktu widzenia trudno w to uwierzyć. Ale na własne oczy widziałem wielokrotnie, jak działa na Kaukazie instytucja rady starców, jak podchodzi się tu do kwestii umów, gościnności, szacunku, tradycji, zwyczajów i obyczajów. I zawsze, niezmiennie, dochodziłem wtedy do wniosku, że tę naszą demokrację oraz „zdobycze cywilizacyjne" to powinniśmy sobie schować głęboko.

Może więc i dla nas wszystkich jest jeszcze jakaś szansa? Bo skoro powiedzenie „człowiek – to brzmi dumnie" pobrzmiewa dziś ponurym żartem, to po tym, co zrobili mieszkańcy Kerkendżu i Kyzył-Szafagu, możemy mieć choćby nadzieję.

Paweł Krysa, fot. **autor**

P.S. Tekst pisałem, kiedy rozpoczęła się wojna.

Ormiańska tragedia

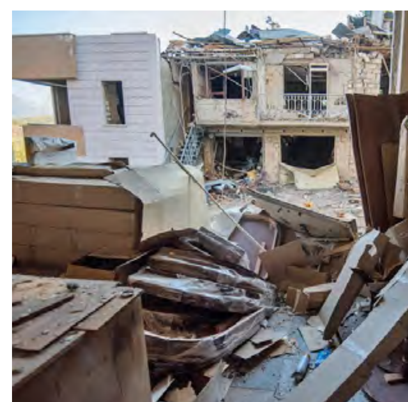
Wojna przegrana, premier Armenii 10 listopada podpisał kapitulację. Ogromna część narodu się z tym nie zgadza, obwiniają go nawet o zdradę. W Erewaniu protesty, grożą rozruchy. Ormiański Karabach, zwany tu powszechnie Arcachem, przestał w zasadzie istnieć. To, co udało się ocalić Ormianom, stanowi jedynie ogryzek ich historycznych ziem. Tragedia więc, jak mówią powszechnie, jest całkowita, podobnie jak poczucie porażki oraz opuszczenia. Opuszczenia przez wszystkich, bo przecież pandemia, zamachy w Europie, a w USA wybory. I tylko to się liczy lub liczyło, i tylko to zajmowało światową opinię publiczną. Polską oczywiście również. O Karabachu nie pisał w zasadzie nikt, a jeśli już, to jakieś niewielkie wzmianki. Nie wiedziała więc opinia o dziejącej się tam tragedii, napiszę wprost – ludobójstwie. Bo jak inaczej nazwać azersko-turecki ostrzał osiedli mieszkaniowych, szpitali, bazarów i tych wszystkich miejsc, w których znajdują się cywile? Jak inaczej nazwać udział w walkach dżihadystów, przerzuconych przez Turków z Syrii, Libii oraz Czeczenii do Karabachu, którzy na dowód pokonania wrogów, obcinali im głowy? Jak inaczej nazwać blokowanie pomocy humanitarnej, a nawet ostrzał (przez „przypadek" niby oczywiście) wiosek leżących na terenie Republiki Armenii? Ale opinia miała to w nosie, nie wiedziała i wiedzieć nie chciała – przecież mamy tyle własnych problemów!...Tylko w Rosji było inaczej, ale o tym za chwilę.

Miesiąc temu napisałem krótki news na internetową stronę Przeglądu, który zatytułowałem „Arcychrześcijański Karabach". Pisałem o karabachskim chrześcijaństwie, tak dawnym, jak ono samo – dwutysiącletnim. Wymieniłem nawet w formie przykładów nazwy siedmiu arcachskich monasterów z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Dziś z tych siedmiu na terytorium ormiańskiego Arcachu nie ostał się ani jeden. Zgodnie bowiem z podpisanym porozumieniem, Armenia ostatecznie do końca listopada, musi oddać blisko 90 procent ziem, ze wszystkimi swoimi skarbami kultury i religii. Tego zaś skrawka, który im zostanie, sprowadzającego się w zasadzie do arcachskiej stolicy Stepanakertu (a w zasadzie jego ruin) i zbombardowanych okolic, pilnować będzie kontyngent wojsk rozjemczych, czyli żołnierze rosyjscy. Bo tylko Rosjanie nie zostawili Armenii i Karabachu samym sobie. Podpisując więc zakończenie działań wojennych, obydwie wojujące strony ustaliły, że to Rosjanie właśnie będą nosili w Arcachu błękitne hełmy wojsk pokojowych.



Dadivank i mirotworcy

Jednym z tych siedmiu prastarych monasterów jest Dadivank – wielki skarb ormiańskiego chrześcijaństwa, skrywający relikwie św. Dadi, ucznia apostoła Judy Tadeusza. Jego grobowiec, zawierający najprawdopodobniej i *moszczi* świętego, liczy więc sobie blisko dwa tysiąclecia, a same monasterskie mury są tylko tysiąc lat młodsze. Dadivank to symbol, narodowa świętość, miejsce samoidentyfikacji, po prostu relikwia. A teraz trzeba ją oddać (pozostałe z resztą też). Oddać, ale jak?! Jak oddawać coś, co stanowi narodową świętość? Nie wiem. Pewnie należy spytać o to Serbów oddających Kosowo lub Cypryjczyków, zmuszonych do rozstania się z prawie połową swojej wyspy. W każdym razie do wszystkich tych miejsc Ormianie rzucili się z ostatnią, pożegnalną pielgrzymką. Ich łez, szlochów i rozpaczy opisać nie potrafię.



Stepanakert

Podobnie jak tragedii ojca **Owannesa** (czyli Jana), który Dadivank odbijał kiedyś z rąk azerskich, potem został jego proboszczem, a dziś musi zabierać wszystkie jego świętości, ściągać krzyże z kopuł oraz dzwony z dzwonnic, by zachować dla potomności. Czytam wywiad z ojcem, a w zasadzie próbę wywiadu, bo mówić prawie nie może, a głos się łamie. Z tego co jednak mówi, wynika totalna pustka, beznadzieja, tragedia i opuszczenie – jeden wielki nul. Przyznaje, że nie wyobraża sobie jak to będzie, gdy dojdzie do skuwania ze ścian *chaczkarów* (ozdobnych krzyży, które są nie tylko świętością religijną, ale narodowym symbolem samoidentyfikacji wszystkich Ormian – tam gdzie żyją, zawsze stoi *chaczkar*), no i jak ma zabrać ze sobą ten monaster?!

I gdy wydawało się, że ta czarna dziura powiększa się bez końca i wkrótce pochłonie cały Arcach, a z Ormian wyssie chęć do życia, po raz

kolejny z pomocą przyszli Rosjanie. Udało im się bowiem namówić UNESCO do ochrony największych skarbów arcachskiego chrześcijaństwa, a prezydent Putin osobiście zagwarantował nienaruszalność cerkwi i monasterów. Potwierdzeniem tegoż, jest rozlokowanie posterunków sił pokojowych w świętych miejscach. W Dadivanku również. Czytam wywiad ze starszym lejtnantem **Olegiem Kowalenko**. Opowiada, jak przed przyjazdem na misję zapoznawano ich z historią, kulturą i religią Karabachu. Opowiada też, jak rozbłysły oczy ojca Owannesa (Owannisiana), gdy ich zobaczył. A potem oddał im swoje mieszkanie na kwaterę, oprowadził po monasterze, zapoznał z jego historią. Mówi ponadto, jak każdego dnia spotykają się z ogromną wdzięcznością pielgrzymów, którzy podkreślają, iż teraz mają nadzieję jeszcze kiedyś tu wrócić, bo żołnierze nie pozwolą przecież rozwalić wrogowi ich świętości.

Mam nadzieję, że kiedyś rzeczywiście powrócą. Bo od grudnia wszystko to będzie już w rękach azerskich, a ci od lat nie pozwalają przecież wjeżdżać Ormianom na swoje terytorium. Trwa więc powszechna ewakuacja. Wszystkie drogi zawalone, zapchane tłumami bieżeńców, którzy unoszą ze sobą wszystko co tylko mogą. A czego nie mogą – palą... Beznadzieja, nienawiść i tragedia – rogaty tańczy, pijany ze szczęścia.

Wydaje mi się, że skoro generalnie nie jesteśmy w stanie w niczym już pomóc temu najstarszemu chrześcijańskiemu krajowi świata (którego religia tak przecież podobna do naszej), to mamy przynajmniej moralny obowiązek wiedzieć o tym wszystkim i głośno o tym mówić. Tak jak głośno mówiliśmy o tragedii serbskiej i cypryjskiej. A Ormianie są dziś w jeszcze gorszej sytuacji. To bowiem, co im zostało, ze wszystkich stron będzie okrążone przez wrogów – tylko wąziutki, pięciokilometrowy korytarzyk im zostanie. No i pojechać na zajęte terytoria też nie będą w stanie.

Paweł Krysa

fot. **https://ru.armeniasputnik.am**



Ojcu Karanowi o kryzysie w świecie

Pytasz mnie, Boży Człowieku, skąd dzisiejszy kryzys i co on oznacza. Mów, kiedy masz coś lepszego od milczenia, powiedział święty Grzegorz Teolog. I choć uważam, że w tej chwili milczenie jest lepsze od każdej mowy, z miłości do ciebie przekażę swoją opinię na temat tego, o co zapytałeś.

Kryzys to słowo greckie i oznacza sąd. W Piśmie Świętym słowo to jest użyte wiele razy. Psalmista w ten oto sposób mówi: *dlatego bezbożnicy nie wytrzymają na sądzie* (Ps 1,5). W innym miejscu: *o miłości i sądzie śpiewam* (Ps 101,1). Mądry Salomon pisze, że *od Pana sąd dla każdego* (Opowiadania, 29, 26). Zbawiciel powiedział, że ojciec cały sąd dał synowi, a trochę później: *teraz jest sąd temu światu* (Jan 5, 22; 12,31).

Zastąp słowo sąd słowem kryzys i czytaj: dlatego bezbożnicy nie wytrzymają w kryzysie; o miłości i kryzysie śpiewam; od Pana kryzys dla każdego; Ojciec cały kryzys dał synowi; teraz jest kryzys temu światu.

Do tej pory narody europejskie używały słowa sąd zamiast kryzys, kiedy działo się coś złego. Tylko że teraz nowe słowo zamieniono starym, łatwe do zrozumienia trudnym. Kiedy była susza mówiono: Sąd Boży! Kiedy była powódź: Sąd Boży! Kiedy była wojna lub pomór: Sąd Boży! Kiedy był grad, trzęsienie ziemi, gąsienice, myszy i inne nieszczęścia znowu i zawsze – Sąd Boży! A to znaczy: kryzys w postaci suszy, powodzi, wojen, pomorów, itd. I obecne finansowo-ekonomiczne nieszczęście naród uznaje za Sąd Boży, lecz nie mówi „sąd”, tylko „kryzys”. Żeby nieszczęście było powielone brakiem rozumienia! Albowiem dopóki było wymawiane zrozumiałe słowo „sąd”, wiadomy był również powód nieszczęścia; wiadomo było też, kto jest Sędzią, który zesłał nieszczęście. Wiadomy był również cel, w jakim to nieszczęście zostało zesłane. Kiedy tylko użyto słowa kryzys, słowa niezrozumiałego przez nikogo, nikt nie umiał wyjaśnić ani dlaczego, ani od kogo, ani w jakim celu? Jest to jedyna różnica między dzisiejszym kryzysem i kryzysami, które miały postać powodzi, wojny lub pomoru, gąsienic lub innego nieszczęścia.

Czy pytasz o powód obecnego kryzysu lub obecnego Sądu Bożego? Powód jest zawsze i na zawsze taki sam. Powód susz, powodzi, pomorów i innych chłost dla rodzaju ludzkiego jest również powodem obecnego kryzysu. To wiarołomność ludzi. Grzechem wiarołomstwa doprowadzili do tego kryzysu, a Bóg go zesłał, ażeby ich obudzić, ocknąć, uduchowić i ponownie zwrócić ku Sobie. Dla współczesnych grzechów – współczesny kryzys. Bo naprawdę Bóg posłużył się współczesnymi środkami, aby opamiętać współczesnych ludzi – uderzył w banki, giełdy, finanse, waluty. Poprzewracał do góry nogami stoły, na których są wymieniane pieniądze na całym świecie, jak to kiedyś zrobił w świątyni jerozolimskiej. Spowodował niemałą panikę wśród handlarzy i właścicieli kantorów. Podnosi, obniża, miesza, zbija z tropu, zastrasza. To wszystko po to, aby zarozumiałe główki mędrców europejskich i amerykańskich obudziły się, ocknęły i uduchowiły. Aby zakotwiczeni w przystaniach materialnego bezpieczeństwa przypomnieli sobie o swej duszy, przyznali swoje bezprawie i pokłonili się Bogu Najwyższemu.

Do kiedy potrwa kryzys? Dopóki duch ludzi pozostanie niezmieniony. Dopóki zarozumiali winowajcy tego kryzysu nie skapitulują przed Wszechmogącym. Dopóki ludzie i narody nie przypomną sobie, żeby niezrozumiałe słowo kryzys przetłumaczyć na własny język. Dopóki z westchnieniem i skruchą nie zawołają: Sąd Boży!

Ty też powiedz, czcigodny ojcze, Sąd Boży zamiast kryzys i wszystko zrozumiesz.

Pozdrowienie i pokój Tobie.

tłum. **Vladan Stamenković**

„Listy Misjonarskie” wydał hajnowski Bratczyk

O. JAN PROKOPIUK odszedł 15 listopada. W ostatnich miesiącach był rezydentem parafii Wniebowstąpienia Pańskiego w Nowoberezowie koło Hajnówki, ale zapamiętamy go przede wszystkim jako wykładowcę Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie.



Urodził się w 1957 roku w Hajnówce. Jako 19-latek rozpoczął naukę w Wyższym Seminarium Duchownym w Warszawie, wtedy z siedzibą w Jabłecznej, po którym studiował w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, pisząc na zakończenie nauki pod kierunkiem władyki Sawy pracę magisterską o Eucharystii w kontekście przebóstwienia człowieka. Osiadł we Wrocławiu, gdzie pracował w kancelarii arcybiskupa wrocławskiego i szczecińskiego, jednocześnie prowadząc zajęcia z katechezy dla młodzieży szkół średnich i studentów.

W latach 1986-1988 przebywał na stypendium w Erfurcie i przez kolejne dwa lata studiował teologię na Uniwersytecie w Zürichu w Szwajcarii.

Od 1991 roku aż do śmierci pracował jako wykładowca ChAT w katedrze prawosławnej egzegezy Pisma Świętego, będąc równolegle od 1993 do 1999 roku sekretarzem kancelarii arcybiskupa wrocławskiego i szczecińskiego.

Ożenił się w 2004 roku z **Julią Jacelenko**. Późno przyjmował święcenia – 31 lipca 2018 roku diakońskie i 21 maja 2020 roku kapłańskie, oba z rąk metropolity Sawy.

Pogrzeb o. Jana Prokopiuka odbył się 17 listopada w Nowoberezowie.

O. MICHAŁ SZLAGA zmarł 5 listopada, będąc proboszczem parafii Zwiastowania Bogarodzicy w Malczycach na zachodzie Polski. Urodził się w Przemkowie w 1953 roku. Jako 21-latek, po ukończeniu prawosławnego seminarium duchownego, przyjął święcenia diakońskie i dwa tygodnie później kapłańskie.



O. Michał służył w wielu parafiach, najpierw w Szczecinku i Bobolicach między 1974 a 1977 rokiem jako proboszcz, po czym do 1981 roku w Koszalinie. W 1981 roku przeniósł się do diecezji łódzko-poznańskiej i służył jako wikariusz katedralnej cerkwi św. Aleksandra Newskiego w Łodzi, jednocześnie pełniąc obowiązki proboszcza parafii we Włocławku z filią w Aleksandrowie Kujawskim.

W 1985 roku wrócił do diecezji wrocławsko-szczecińskiej i tam przez 35 lat, do śmierci, był proboszczem parafii w Malczycach, przez pewien okres służąc jednocześnie w Studzionkach i Samborzu. Był kapelanem zakładu karnego w Wołowie. W 2009 roku został nagrodzony mitrą.

Pogrzeb o. Michała odbył się 7 listopada w Malczycach. Przewodniczył mu arcybiskup wrocławski i szczeciński **Jerzy**.

O. EUGENIUSZ PODGAJECKI zmarł 4 listopada, będąc rezydentem parafii Świętej Trójcy w Hajnówce.



Urodził się w 1936 roku. Skończył Prawosławne Seminarium Duchowne z siedzibą w Jabłecznej i Chrześcijańską Akademię Teologiczną w Warszawie. Dopiero w wieku 52 lat otrzymał święcenia diakońskie i kapłańskie z rąk metropolity Cerkwi w Polsce Bazylego. Został wikariuszem parafii w Lewkowie Starym. Po dwunastu latach służby w tej wspólnocie przeniesiono go do Kuraszewa, gdzie przez trzy lata był proboszczem parafii. Potem służył jako wikariusz parafii Narodzenia św. Jana Chrzciciela w Hajnówce i przymonasterskiej parafii na Świętej Górze Grabarce. W 1998 roku przeniesiono go w stan spoczynku.

O zmarłym kapłanie biskup hajnowski Paweł, który służył Liturgię i *czyn pogrebienija* 6 listopada w hajnowskim soborze, mówił: – Gorliwy kapłan, oddany Bogu i ludziom. Sumienny, skromny i sprawiedliwy. (...) Zgodnie ze słowami Zbawiciela sprawiedliwy ma życie wieczne.

O. Eugeniusz spoczął na cmentarzu w Dubinach.

Anna Radziukiewicz
fot. **Adrian Kazimiruk**
za www.orthodox.pl:
archiwum diecezji
wrocławsko-szczecińskiej
o. MariuszJurczuk

Odeszła do Pana Walentyna Bondaruk

Walentyna **Bondaruk** zmarła 31 października na covid. Miała 82 lata. Nie cierpiała długo. Jej spowiednik, o. **Paweł Szwed** z parafii Wszystkich Świętych w Białymstoku, mówi: – Podjęła się ogromnego trudu modlitewnego. Większość dnia wypełniała modlitwą. Często przychodziła na Liturgię, także w dni powszednie, jeśli zdrowie pozwalało, bo chorowała już w ostatnich latach. Teraz jej miejsce w cerkwi jest puste. Czytała Psałterz, akafisty, modliła się za ludzi, czytając setki zapisków. Pościła, tak jak uczyła tego Cerkiew. Stała mi się osobą bliską i ważną. Wiele się od niej nauczyłem jako duszpasterz. Pisała do mnie jeszcze we wtorek, przed śmiercią, że źle się czuje, a pogrzeb odbył się w sobotę. Porozmawialiśmy. Myślę, że wymodliła spotkanie z Panem, zasłużyła na *Carstwo Niebiesnoje*, że w spokoju odeszła do Boga i jest jej tam lżej.

– Była bardzo skromna. Utożsamiała się z potrzebami i cierpieniem innych i widziała potrzeby Cerkwi, wspierając materialnie pewne parafie i monastery.

– Ach, i robiła jeszcze pyszną pizzę. Jej córka wyszła za mąż za Włocha. Mieszkała w Rzymie. I od niej miała doskonały, tradycyjny przepis. Dała mi go.

Walentyna Bondaruk prowadziła grupy – zaczynała od jednej, kończyła na dziewięciu – codziennie czytających Psałterz, oprócz Paschalnego Tygodnia, bo wtedy nie czyta się w cerkwi Psałterza. Każda grupa skupiała po dwadzieścia osób. Na czytanie psalmów i opiekowanie się czytającymi otrzymała ponad dziesięć lat temu błogosławieństwo od archimandryty **Gabriela**. To był wielki wysiłek organizacyjny. W każdej grupie jedna osoba czyta przez 40 dni tę samą kafizmę Psałterza, składającego się ze 150 psalmów, podzielonych na 20 kafizm. Kolejna osoba następną. I tak dalej – dwadzieścia osób czyta inną kafizmę. Po 40 dniach następuje „przesunięcie” w czytaniu. I tak codziennie 20-osobowa grupa czyta cały Psałterz. Jeśli ktoś nie może przeczytać kafizmy danego dnia (choroba, podróż), powiadamia o tym liderkę, która nie zostawia „pustego” miejsca. Trzeba więc sterować „modlitewnym ruchem” blisko dwustu osób skupionych w dziewięciu grupach, przedtem każdą z nich przygowując do *podwigu* czytania, sprawdzając, czy się do niego nadaje. I czyniła to pani Walentyna.



– Między godziną osiemnastą a dwudziestą drugą nie sposób było się do mamy dodzwonić – mówi jej syn, **Roman Bondaruk**. – Trwała w centrum grupy, którą organizowała, uczyła, wyręczała kogoś, podpowiadała, wysłuchiwała bólów, przyjmowała prośby o modlitwę za chorych, za tych co zbłądzili, co popadli w tarapaty, za zmarłych. I prosiła innych, by się za nich modlili podczas odmawiania kafizm.

– Miała w sobie ogromną dyscyplinę i systematyczność. W rodzinie stała się „dyrygentką życia religijnego” – mówi syn – co zapewne odziedziczyła po swojej babci ze strony mamy. Babcia wiedziała wszystko – o świętach, postach, obrzędach, o zachowaniu się w cerkwi i przy stole. To dzięki wychowaniu mamy śpiewam w cerkiewnym chórze już od szkoły średniej, brat, który teraz mieszka z rodziną w Boratyńcu Ruskim, był *prisłużnikiem* w parafii Świętego Ducha w Białymstoku.

Walentyna Bondaruk urodziła się w Bielsku Podlaskim. Dorosłe życie związała z Białymstokiem. Urodziła dwóch synów i córkę. Gdy Roman miał dwa latka, zmarł mąż. Wtedy szczególnie zwróciła się do Boga.

Roman ceni dyscyplinę i systematyczność w życiu religijnym, wpojoną przez mamę.

– Ludzie zdyscyplinowani jakby nie wypadają z kręgu dobra, z chodzenia przed Bogiem. U nich podczas pracy, jazdy samochodem czy nawet zakupów modlitwa w myślach trwa, choć na zewnątrz tego nie widać. Ale nasza modlitwa, tak ważna, nie jest przecież na pokaz!

Pani Walentyna długo martwiła się, komu przekaże swoje obowiązki. Przejęła je **Katarzyna Kolada**. – Pani Wala była najwspanialszą moją nauczycielką, przykładem i wzorem – mówi. – Uczyła nas modlić się, uczulając na potrzebę modlitwy. Uczyła modlić się za Ziemię Świętą, Jerozolimę, biskupów, tych, którzy są w grupie i poza nią, tych co modlitwy potrzebują, za zmarłych. Była niezawodna. Niezrównana koleżanka. Nie dorastam jej do pięt. Ale będę wypełniała wszystko, czego się od niej nauczyłam, robiła wszystko, by modlitwa trwała. Czuję, że Bóg wspomoże nas w tym działaniu.

Społeczność czytająca psalmy, jak słyszę, stara się jak najczęściej przebywać razem, wspierać się, otwierać się na troski innych, pozostawać nieobojętnym na rozpalające się wokół nas konflikty. „Gasić” je swoją modlitwą, cierpliwą rozmową i miłością. I co bardzo ważne – odmawiać Modlitwę Jezusową.

Wiecznaja pamiat’ rabie Bożijej Walentinie!

Anna Radziukiewicz



Chrońmy Białorusinów

Posiedzenie sejmowej komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych 30 września poświęcone było sytuacji mniejszości białoruskiej w Polsce – relację z przebiegu posiedzenia zamieściliśmy w listopadowym numerze Przeglądu. Z danych przedstawionych przez wiceministra spraw wewnętrznych i administracji **Błażeja Pobożego**, wiceministra edukacji narodowej **Macieja Kopcia** i prezesa GUS **Dominika Rozkruta** wynikało, że mniejszość białoruska w Polsce ma się dobrze – organy prowadzące szkoły i przedszkola, w których nauczany jest język białoruski, otrzymują zwiększoną subwencję (w 2019 roku 11 mln zł). Na dofinansowanie wydawnictw i organizacje imprez służących zachowaniu i rozwojowi białoruskiej kultury każdego roku z budżetu MSWiA przeznaczanych jest ponad 2 mln zł (w 2020 2,25 mln zł). W Białymstoku funkcjonuje finansowane z budżetu polskiego MSZ niepubliczne białoruskie radio Racja, a w Warszawie od 2007 roku jako część Telewizji Polskiej działa kanał Biełsat TV, na którego funkcjonowanie – jak poinformował z trybuny sejmowej premier **Mateusz Morawiecki** – polski rząd przeznaczył ostatnio 40 milionów złotych.

Mimo tak znaczącej pomocy państwa Białorusini w Polsce „wymierają”. Z szacowanej na 160 tys. liczby Białorusinów, mieszkujących w województwie białostockim tuż po zakończeniu wojny, obecnie, według spisu powszechnego z 2011 roku, pozostało zaledwie 38 tys., z czego tylko 26,4 tys. zadeklarowało, że język białoruski jest ich językiem domowym.

Przyczyn takiego stanu jest kilka – wskazywałem na nie w czasie posiedzenie Komisji. Jedną z najważniejszych jest wyludnianie się i społeczno-ekonomiczna degradacja regionu (południowo-wschodnia część województwa podlaskiego), zamieszkałego przez Białorusinów.

Dla powstrzymania procesu szybkiej polonizacji mieszkających w Polsce Białorusinów potrzebne są konkretne działania. Poprosiłem Komisję, by zwróciła się do prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego w formie dezyderatu. Niżej jego treść:

„Jedną z zasad funkcjonowania państwa polskiego, wyrażoną w art. 35 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 2 kwietnia 1997 r., jest zasada ochrony praw mniejszości narodowych i etnicznych. W ostatnich latach obserwujemy gwałtowny spadek liczby osób deklarujących przynależność do mniejszości białoruskiej. W okresie pomiędzy przeprowadzonymi w latach 2002-2011 spisami powszechnymi liczba ta w województwie podlaskim (gdzie zamieszkuje ponad 70 procent obywateli polskich narodowości białoruskiej) zmniejszyła się o blisko 20 proc. Z przedstawionych Komisji ekspertyz oraz opinii przedstawicieli organizacji białoruskich i osób reprezentujących samorządy regionu zamieszkałego przez mniejszość białoruską wynika, że głównymi przyczynami szybkiej asymilacji mniejszości białoruskiej są:

– brak perspektyw rozwojowych regionu, wynikający z peryferyjnego położenia oraz istniejących ograniczeń gospodarczych i inwestycyjnych – w powiecie hajnowskim 60 proc. powierzchni to obszary przyrodnicze prawnie chronione. Ograniczenia gospodarczego wykorzystania zasobów Puszczy Białowieskiej są jedną z ważnych przyczyn gwałtownej depopulacji w powiecie hajnowskim – na przestrzeni ostatnich 20 lat ludność tego powiatu zmniejszyła się o ponad 20 proc.

– funkcjonowanie białoruskiej mniejszości w sytuacji grupy stygmatyzowanej;

– rozbicie i rozdrobnienia organizacyjne ruchu białoruskiego, co utrudnia formułowanie wspólnego stanowiska odnośnie najważniejszych dla tej społeczności problemów;

– prawdopodobne ograniczenia, wynikające z obecnej sytuacji w Republice Białoruś – w realizowanych przez gminy euroregionu Puszcza Białowieska programów współpracy transgranicznej.

Komisja uznaje za konieczne podjęcie działań służących zahamowaniu procesów depopulacji obszarów zamieszkałych przez mniejszość białoruską. W związku z powyższym Komisja zwraca się do pana Premiera z prośbą:

– o objęcie gmin powiatu hajnowskiego i sąsiadujących gmin powiatów Bielsk Podlaski, Siemiatycze i Białystok, będących największym skupiskiem mniejszości białoruskiej, przewidywaną w dokumentach Unii Europejskiej i Strategii Rozwoju Województwa Podlaskiego formą Obszarów Strategicznej Interwencji (OSI) oraz programem Zintegrowanych Inwestycji Terytorialnych (ZIT);

– wsparcie budowy centrum przyrodoleczniczego i rehabilitacyjnego w Hajnówce, które daje szanse stworzenia ponad stu nowych miejsc pracy poza leśnictwem i przemysłem drzewnym;

– wsparcie inwestycji w Bielsku Podlaskim – budowy hali sportowej przy Liceum Ogólnokształcącym z Białoruskim Językiem Nauczania oraz budowy amfiteatru.

Inwestycje te, a także preferencje zastosowane w ramach wspomnianych wyżej programów, pozwolą zahamować negatywne tendencje demograficzne i ekonomiczne regionu zamieszkałego w dużej części przez obywateli należących do mniejszości białoruskiej. Komisja zwraca się do Pana Premiera z prośbą o podjęcie dialogu i współpracy między administracją rządową i samorządami z w/w obszarów. Celem takiej współpracy winno być zwiększenie efektywności działań mających chronić mniejszość białoruską przed procesami szybkiej asymilacji i utratą tożsamości kulturowej”.

Eugeniusz Czykwin

W poprzednim numerze w tekście „Białorusinów coraz mniej” błędnie podaliśmy nazwisko wiceministra Błażeja Pobożego, za co przepraszamy.



To nie tak!

Zrobiłem wczoraj trzy kółka po centrum, żeby znaleźć miejsce do zaparkowania. Nie znalazłem, mimo że wszędzie parkometry i opłaty. Tłumaczono, że są niezbędne, by ludzie nie parkowali niepotrzebnie, że po ich wprowadzeniu nareszcie problem zniknie. Nie zniknął. Bo to nie tak! Bo przy tej ogromnej liczbie aut nie miał prawa zniknąć i było to jasne. W zamian dostaliśmy kolejny podatek do zapłacenia. Mieszkam tutaj, tutaj płacę podatki więc jakim prawem ktoś żąda ode mnie dodatkowych pieniędzy za parkowanie we własnym mieście?

Każdy mieszkaniec Małopolski od czasu do czasu korzysta z kultowego pociągu z Tarnowa do Krynicy-Zdroju, jadącego przez mineralne kurorty: Piwniczanka, Muszynianka, Kryniczanka. Trasa wiedzie przez góry i doliny, wzdłuż Białej i Popradu, co czyni ją jedną z najpiękniejszych w kraju. W każdej z czterdziestu miejscowości, na której zatrzymuje się pociąg, dróżnik kręcił korbą, a kasjer sprzedawał bilety. Już ich nie ma. Wszędzie automaty, a kupić bilety można tylko w pięciu największych miejscowościach. Pasażerowie, którzy wsiadają na innych stacjach, robią to u konduktora. Zmiany nazwano restrukturyzacją. Ale to nie tak! Bo to najzwyklejsze cięcie etatów, w wyniku którego tylko na tej trasie bezpowrotnie straciło pracę kilkadziesiąt osób. Natomiast celem restrukturyzacji jest stworzenie przesłanek do wzrostu wartości przedsiębiorstwa – donosi słownik. A tu? Przedsiębiorstwo rośnie – człowiek upada.

Uwielbiam Leo Messiego z Barcelony. Moim skromnym zdaniem (choć nie tylko moim), to najlepszy piłkarz w historii. Na mocy umowy, którą pod koniec 2017 roku podpisał z klubem Leo, zarobki miesięczne Argentyńczyka wynoszą 36 milionów złotych, czyli ponad milion dziennie. To daje 430 milionów złotych rocznie. Brutto oczywiście, więc wezmą mu z tego pewnie z połowę. Porównajmy to z naszymi realiami. Józek zarabia godziwie, 5 tysięcy złotych brutto na miesiąc, czyli 60 tysięcy złotych rocznie. Pracując za tę pensję całe życie, zarobi w ciągu pięćdziesięciu lat jedynie 3 miliony złotych. A więc dwanaście razy mniej, niż Leo w ciągu miesiąca. Albo jeszcze inaczej: żeby nasz Józek osiągnął miesięczny pułap Lionela, musiałby pracować 600 lat. Rozmawiałem o tym niedawno z kumplami. Zakrzyczeli mnie. Przecież – wołali wzburzeni – te jego zarobki opłacają się klubowi, który zarabia na nim jeszcze więcej! Oczywiście, tylko, że to nie tak. Wydatki się zwrócą, cyfry będą jeszcze wyższe, ale co z etyką i moralnością? Czy jest normalne, by ktokolwiek na świecie dostawał tak astronomiczną gażę, nawet jeśli jest super fantastyczny? I jak to wytłumaczyć ponad miliardowi najbiedniejszych ludzi na świecie, żyjących za mniej niż dolara dziennie? A co z naszym sumieniem? Wszystko jest OK?

Zostańmy jeszcze na moment w tych klimatach. 1 procent najbogatszych ludzi świata ma w swym ręku 80 proc. światowego bogactwa, a 8 najbogatszych ziemian ma tyle, co połowa najbiedniejszych mieszkańców naszego globu. Normalne? Więc czemu się szczycimy, że żyje się nam lepiej niż kiedykolwiek, a demokracja jest najlepszym z możliwych ustrojów?

Jako chłopak zaczytywałem się książkami z dziedziny fantastyki naukowej. Nie tylko ja. Przedstawiały one świat za lat kilkadziesiąt, w którym roboty wyręczały nas, ziemian, ze wszystkich najtrudniejszych prac. Człowiek więc nie tyle się lenił, bo przecież pracować tak czy inaczej musiał, co żył pełnią życia, gdyż miał na to czas, siły i ochotę. A jak jest dzisiaj? Pod względem automatyzacji i robotyzacji, prawie właśnie tak. W końcu niemal każdy z nas trzyma w ręku superkomputer zwany smartfonem. Ale czy pracujemy krócej? Mamy więcej sił i czasu? Otóż jak pokazują badania, nigdy w swojej historii człowiek nie tyrał tyle co dziś. Przecież dla wielu dwa etaty to standard, a młodzi generalnie sądzą, że jest to norma. Ale to nie tak. Bo doba ma 24 godziny. Dlaczego? Bo 8 śpimy, 8 pracujemy i 8 żyjemy. Teoretycznie. Bo jak zasuwamy na dwa etaty, to spać musimy, ale już nie żyjemy.

Choć po prawdzie, są kraje gdzie jest lepiej – Holendrzy pracują tylko cztery dni w tygodniu i jakoś nie zbiednieli.

A Henry Ford już blisko sto lat temu doszedł do wniosku, że najefektywniejszy czas pracy człowieka to 6 godzin dziennie. Dziś wiedzą o tym naukowcy, ale siedzą cicho, bo przecież trend jest przeciwny.

A przecież w latach siedemdziesiątych, za Nixona, Stany były dosłownie o krok od radykalnego skrócenia dnia i tygodnia pracy.

A średniowieczny kalendarz rzymskokatolicki pokazywał około 1/3 wolnych dni w roku ze względu na święta religijne. Innych jeszcze wtedy nie obchodzono. Kalendarz zaś prawosławny zbliżał się do połowy dni wolnych.

Ilekroć mówi się o tym głośno, zawsze wcześniej czy później ktoś użyje „koronnego argumentu”: no tak, pięknie, tylko skąd na to wziąć i kto za to zapłaci!? Otóż, dawno już temu, badania pokazały jak to zrobić i ekonomiści to wiedzą. Tyle, że obecnie trend jest zupełnie przeciwny. Pozwolę sobie tutaj na jeden tylko przykład: przede wszystkim zmniejszenie kosztów pracy. Jeśli zatrudniam Józka za trzy tysiące, to przecież kosztuje mnie on prawie dwa razy tyle. I wiadomo jak to obniżyć. Ale nie. Bo wszyscy będą przekonywać, że SIĘ NIE DA.

Rozmawialiśmy o tym na galicyjskim rynku z moimi starymi babami.

Wies co chodoku, nie do sie, to wdziać hełmu na łeb, na lewom strone. Za pierona się nie do. Ale resta? Ho, ho! A co sie rozchodzi o sprawy spolecne i polityczne, to łod casu, jak jeden elektryk przeloz przez płot stocni, a potem w cholere ruchnuła komuna, to ni ma co sie nie do. Trza ino chcieć.

Paweł Krysa

BIAŁORUŚ

Wizyta papieża tylko za obopólną zgodą

Do wizyty papieża **Franciszka** na Białorusi może dojść tylko za zgodą prawosławnej Cerkwi, powiedział **Aleksander Łukaszenka** 2 listopada, podczas spotkania z patriarszym egzarchą całej Białorusi, metropolitą mińskim i zasławskim **Beniaminem**.

– *Wiele mówi się na temat wizyty papieża* – przyznał prezydent. – *Chcę, żebyście znali moje stanowisko i społeczeństwo powinno to usłyszeć. Papież Rzymu kieruje państwem i Kościołem, dlatego zaproszenie z Białorusi powinno być wystosowane zarówno przez głowę państwa, jak i Cerkiew*.

Jak podkreślił Łukaszenka, nie chce „znaleźć się między młotem i kowadłem" i doprowadzić do niezręcznej sytuacji. – *Dlatego wszelkie insynuacje, rozmowy o tym, że przyjedzie papież nieomalże incognito, że zbiorą się tłumy z całej Europy… Oczywiście, przyjadą katolicy z całej Europy – ze sto i z dwieście tysięcy, to fakt. Ale stawiać papieża w takiej sytuacji, że państwo zaprasza, a Cerkiew prawosławna nie będzie się na to zgadzała, na to się nigdy nie zdecydujemy. Raskolnikami nie byliśmy i nie będziemy*.

Prezydent dodał, że nie ma nic przeciwko przyjazdowi papieża na Białoruś, „ale powinna być na to obopólna zgoda". – *Nie powinno to doprowadzić do fatalnego raskołu. Dlatego nie należy w związku z tą wizytą prowadzić niejasnych rozmów, wykorzystywać jej w politycznej grze*.

Przypomnijmy, że na początku września minister spraw zagranicznych Białorusi na spotkaniu z przedstawicielem Watykanu potwierdził zaproszenie papieża Franciszka do złożenia wizyty na Białorusi.

CZARNOGÓRA

Przedsiębiorca na rzecz Cerkwi

Decyzję o przekazaniu części zysku kompanii Neksan na rzecz Serbskiej Cerkwi Prawosławnej podjął czarnogórski przedsiębiorca **Miodrag Daka Davidović**. – *Wszystko co kompania zarobiła w ciągu trzydziestu lat i wszystko co zarobimy w przyszłości, począwszy od Bożego Narodzenia, zostanie przekazane na służbę Bogu i ludziom* – powiedział.

Podkreślił, że zysk, który pojawi się na kontach przedsiębiorstwa, zostanie zagospodarowany w następujący sposób – po 20 proc. na bezpłatne stołówki, dzieci specjalnej troski, sieroty, Cerkiew i na wsparcie dla studentów.– *Podzielić można tylko zysk, aktywa nie mogą się zmniejszać. Myślę, że mój wnuk, z którym wiążę duże nadzieje, potrafi docenić działalność charytatywną. Majątku nie można trwonić, jak kiedyś komuniści zniszczyli projekty serbskich filantropów, Michaiła Pupina i innych*.

CZECHY

Spłonęła cerkiew

28 października w Ogrodach Kinskich w Pradze w wyniku pożaru niemal całkowicie spłonęła przewieziona z Ukrainy na początku XX wieku prawosławna drewniana cerkiew św. Michała. W związku z tym, że cerkiew stała na trudno dostępnym wzgórzu, strażakom nie udało się szybko dotrzeć na miejsce zdarzenia. W wyniku pożaru nikt z ludzi nie ucierpiał, ale sam budynek praktycznie całkowicie został zniszczony. – *Dzwonnica się zawaliła. Wyciągnęliśmy z cerkwi kilka butli ze sprężonym propanem-butanem, które udało się schłodzić* – powiedział jeden ze strażaków.

W związku z incydentem, ambasada Ukrainy w Czechach wezwała władze do przeprowadzenia drobiazgowego śledztwa. „Jesteśmy zszokowani wiadomością o pożarze w drewnianej cerkwi arcystratega Michała w Pradze, która została zbudowana w XVII wieku na Zakarpaciu. Cerkiew została przekazana do Pragi w 1929 roku, w okresie, kiedy region znajdował się w granicach Czechosłowacji. To była jedna z ważnych nici, która kulturalnie i historycznie łączy nasze narody. Wzywamy czeskie organa śledcze do szczegółowego zbadania tego incydentu. Odbudowę tego architektonicznego zabytku uważamy za punkt honoru dla nas wszystkich" – napisano na stronie ukraińskiej ambasady na Facebooku. Śledztwo trwa.

„Według najświeższych informacji, otrzymanych od przedstawiciela władz Pragi Wita Gofmana, 29 października rozpocznie się zbiórka na odbudowę cerkwi" – napisał na Twitterze ambasador Ukrainy w Czechach **Jewgienij Pierebijnis**.

Cerkiew św. Michała to drewniana świątynia zbudowana w drugiej połowie XVII wieku na Ukrainie. W pierwszej połowie XX wieku cerkiew została rozebrana i przewieziona do Ogrodów Kinskich, gdzie weszła do kolekcji Muzeum Etnograficznego. Cerkiew zbudowano w stylu bojkowskim z elementami ludowego baroku. Miała około 14 metrów długości i 8 metrów szerokości, wysokość dzwonnicy sięgała około 17 metrów. Od 2008 roku świątynia była wykorzystywana przez Cerkiew prawosławną.

EGIPT

Restauracja zabytków piśmiennictwa

Projekt odtworzenia i restauracji przechowywanej w patriarszej bibliotece unikalnej kolekcji ważnych zabytków piśmiennictwa we współpracy z Nową Aleksandryjską Biblioteką i charytatywną Fundacją Lewentisa (Cypr) realizuje patriarchat aleksandryjski. Pierwszy etap zakłada restaurację stu cennych cerkiewnych rękopisów. Jak długi może okazać się ten proces, nie wiadomo – w zbiorach biblioteki patriarszej przechowywanych jest ponad 40 tysięcy tomów ksiąg, 3 tys. inkunabułów i 530 unikalnych rękopisów. W minionym tygodniu patriarsze aleksandryjskiemu i całej Afryki **Teodorowi II** przekazano dwanaście kolejnych odrestaurowanych zabytków, pośród których były rękopisy w języku greckim i arabskim, poświęcone kwestiom liturgicznym i kalendarzowym, cerkiewnej muzyce, filozofii i teologii.

Ze stu zabytków, których restauracja została zaplanowana na lata 2019-2020, w minionym roku specjaliści odtworzyli 68.





Spalona cerkiew św. Michała i jej stan przed pożarem

Prace nad pozostałymi rękopisami powinny dobiec końca w 2020 roku. Następnie tom ze stu odrestaurowanymi rękopisami z biblioteki patriarchatu ukaże się drukiem.

Pierwsze ze zrekonstruowanych rękopisów datowane są na 1796 rok, właśnie wtedy patriarcha aleksandryjski **Parfeniusz II** (1735-1805) po raz pierwszy zestawił i opublikował spis rękopisów i kodeksów, przechowywanych w patriarszej bibliotece.

Jednak część zabytków piśmiennictwa jest znacznie starsza, wśród skarbów biblioteki są rękopisy z V wieku przed Narodzeniem Chrystusa.

Główne prace nad odtworzeniem piśmiennictwa prowadzą specjaliści Nowej Aleksandryjskiej Biblioteki – wiodącej naukowej i kulturowej placówki współczesnego Egiptu.

Projekt w znacznej mierze finansowany jest przez cypryjski fundusz charytatywny Anastasiosa Lewentisa – utworzoną w 1979 roku organizację, upamiętniającą wybitnego greckiego biznesmena i filantropa cypryjskiego pochodzenia.

IZRAEL

Nieznana świątynia w Banias

Archeologowie uważają, że odkryli jedną z pierwszych świątyń w Izraelu, położoną w naturalnym parku w Banias, w miejscu, w którym Chrystus nazwał apostoła Piotra „skałą" (Mt 16,19), informuje Christian Headlines.

Dzisiejsze Banias, zwane za czasów Jezusa jako Cezarea Filipowa, leży u źródeł rzeki Jordan. Czczono tu kiedyś bożka natury o imieniu Pan, stąd nazwa „Paneas", wymawiana dziś jako „Banias".

Herod Wielki wybudował tu świątynię ku czci Augusta, a jego syn Filip rozbudował miasto i nazwał je Cezareą.

Pochodzący z około 400 roku n.e. kościół został odkryty podczas wykopalisk archeologicznych, prowadzonych przez Wydział Archeologii Urzędu ds. Przyrody i Parków Uniwersytetu w Hajfie. Archeologowie byli zaskoczeni, kiedy ujrzeli pozostałości mozaiki ozdobionej krzyżami i innymi symbolami chrześcijańskimi.

Odkryto również duży kamień, na którym wyryto mnóstwo małych krzyżyków. To prawdopodobnie ślady wykonane przez pielgrzymów odwiedzających kościół po tym, jak stał się on centrum pielgrzymek.

Podczas wykopalisk znaleziono także nisze, ołtarze i przedmioty, które dowodzą, iż wcześniej miejsce to było rzymskim kompleksem na otwartym powietrzu, służącym do kultu bożka Pana. W centralnym miejscu kompleksu odkryto także mały basen.

Liczne spadki i zagłębienia na terenie obiektu świadczą, iż kościół uległ zniszczeniu podczas trzęsienia ziemi, przez co połowa konstrukcji zatonęła. Badacze przypuszczają, iż świątynia została odnowiona w VII wieku i stała się miejscem pielgrzymek.

ROSJA

Duchowni chcą do ruskiej Cerkwi

Ponad stu duchownych patriarchatu aleksandryjskiego chce przejść do ruskiej Cerkwi, poinformował arcybiskup władykaukaski i ałański **Leonid** w programie „Strategia z Anną Szafran". Hierarcha przypomniał, że zwierzchnik Cerkwi aleksandryjskiej, patriarcha **Teodor**, przekonywał przedstawicieli ruskiej Cerkwi, że nie uzna Prawosławnej Cerkwi Ukrainy, „jednak, wbrew obietnicom i umowom, miesiąc później postąpił tak, jak uznał za stosowne".

Podkreślił, że synod Cerkwi aleksandryjskiej prawa do uznania Prawosławnej Cerkwi Ukrainy swemu zwierzchnikowi nie dawał. A patriarcha Teodor do tej pory z żadnym z przedstawicieli ukraińskiego *raskołu*, „mimo uznania", nie służył. Arcybiskup Leonid dodał, że sytuacja w Cerkwi aleksandryjskiej po decyzji zwierzchnika „nie jest dobra".

Do ruskiej Cerkwi wpłynęło już ponad sto podań duchownych Cerkwi aleksandryjskiej o przejście pod *omofor* patriarchy moskiewskiego. Władyka podkreślił, że oddział stosunków zewnętrznych moskiewskiego patriarchatu analizuje ten problem, a nawet w pewnym stopniu hamuje afrykańskich duchownych w tych planach.

– *Ruska Cerkiew nie popiera polityki ekspansji, przestrzega kanonów i jest zwolennikiem uczciwych i przyzwoitych relacji między Cerkwiami* – zaznaczył.

Na pytanie **Anny Szafran**, dlaczego dochodzi do takich zachowań, arcybiskup Leonid odpowiedział, że na patriarchę aleksandryjskiego naciska greckie ministerstwo spraw zagranicznych, a na niego Departament Stanu USA. Dodał, że ruska Cerkiew materialnie wspomagała misyjną działalność patriarchatu aleksandryjskiego.

Dom Pracy w Kronsztadzie zabytkiem

Dom Pracy z przytułkiem dla ubogich starców w Kronsztadzie został wpisany na listę zabytków kulturowej



spuścizny o regionalnym znaczeniu. Dom został założony w 1882 roku przez proboszcza soboru św. Andrzeja w Kronsztadzie, o. **Ioanna Siergijewa**, kanonizowanego przez ruską Cerkiew jako św. Ioann Kronsztadzki.

W 1855 roku, po ukończeniu seminarium, o. Ioann Siergijew rozpoczął duszpasterską służbę w soborze św. Andrzeja w Kronsztadzie. Młody duchowny zetknął się z powszechnym ubóstwem i brakiem perspektyw mieszkańców dzielnicy nędzy. Stopniowo dochodził do wniosku, że chociaż dobroczynność i jałmużna są niezbędne, często deprawują ludzi i pozbawiają ich bodźca do pracy. Zdaniem o. Ioanna ludziom w pierwszej kolejności należy ułatwić znalezienie opłacanej pracy.

W 1872 roku batiuszka zaapelował o utworzenie Domu Pracy, dwa lata później powstało Towarzystwo Dobroczynne św. Andrzeja. W ciągu roku udzieliło ono pomocy trzem tysiącom potrzebujących. Po pożarze 1874 staraniem Towarzystwa zbudowano drewniany dom, w którym znalazło dach nad głową około stu rodzin pogorzelców. Gdy w 1881 roku został zabity car **Aleksander II**, o. Siergijew zaproponował, by upamiętnić władcę wzniesieniem murowanego Domu Pracy. Dom wyświęcono w październiku 1882 roku. W budynku mieściła się kancelaria, spiżarnia, klasy, pracownia dla dzieci, dzienny dom pobytu dla dzieci na 75 miejsc i przytułek dla piętnastu sierot.

Przy Domu Pracy funkcjonowała bezpłatna szkoła podstawowa dla 150 dzieci z klasami nauki rzemiosła, ambulatorium, a także kilka pracowni – introligatorska, wyplatania koszyków, sklejania pudełek, krawiecka na prywatne zamówienia, szycia pościeli, wyszywania.

Z czasem w pracowniach codziennie pracowało od 60 do 100 osób, a ich wyroby – obuwie, odzież, meble, obrusy i serwetki – cieszyły się popytem na bazarach i w sklepach. W pierwszych latach istnienia Domu Pracy jego podopieczni chodzili do *Andrejewskiego* Soboru. W 1885 roku o. Ioann Siergijew postanowił urządzić domową cerkiew, po roku domowa cerkiew św. Aleksandra Newskiego na siedemset osób była gotowa.

W latach 1891-1892 do Domu Pracy dobudowano czteropiętrowy przytułek (dom starców, także dla bezdomnych kalek, biedaków) z bezpłatnymi i płatnymi oddziałami. W domu tym zatrzymywali się też odwiedzający o. Ioanna pielgrzymi.

W 1903 roku przy Domu Pracy funkcjonowała bezpłatna szkoła podstawowa, w której uczyło się 259 dzieci, pracownia rzemiosła na 60 osób, bezpłatna klasa rysunków, rzemiosła, robót żeńskich, dziecięca biblioteka z 2600 książkami i kolekcja zoologiczna. Istniał też przytułek dla dzieci – sierot i dzienny żłobek dla maluchów, przytułek dla biednych kobiet na 22 miejsca. Z inicjatywy o. Ioanna zostało zorganizowane bezpłatne ambulatorium. Ambulatorium obsługiwało od dwóch do trzech tysięcy ludzi, wykonywało szczepienia, także od ospy.

Dom Pracy został rozwiązany w 1920 roku. Rok wcześnej zamknięto istniejącą przy nim cerkiew św. Aleksandra Newskiego.

SERBIA

Murale z wizerunkiem metropolity Amfilechiusza

W serbskich miastach zaczęły się pojawiać murale z wizerunkiem zmarłego metropolity czarnogórskiego i primorskiego **Amfilochiusza**. Pierwszy, autorstwa młodego artysty **Władimira Czaka**, powstał w mieście Focia. Duży czarno-biały wizerunek władyki został wykonany na ścianie budynku, za wzór posłużyła jego fotografia.



Obok portretu napisano: „Twojej duszy jesteśmy czotkami. Twoimi dziećmi, twoją rodziną. Żegnaj drogi Ojcze, kieruj się do swego domu. *Wiecznaja pamiat'* w Królestwie Wiecznym!”.

Drugi mural z wizerunkiem metropolity pojawił się obok szkoły „Branko Milatowić” w mieście Niš na południu Serbii. Jego autorem jest **Sawa Miszić**, który chciał wyrazić w ten sposób wdzięczność i szacunek dla zmarłego. Monumentalny wizerunek władyki został wykonany nieopodal szkoły, żeby uczący się mogli poznać duchowe wartości, których nosicielem przez całe życie był metropolita, podkreślają organizatorzy akcji. Uważają, że młodzież nie powinna zapominać o swojej wierze i historii.

Media donoszą, że praca nad podobnym muralem rozpoczęła się w mieście Prijedor na północy Bośni i Hercegowiny.

na podst. spzh.news, sobor.by, pravoslavie.ru, church.by
oprac. **Ałła Matreńczyk**
fot. **kp.ua**, **Udruženje Radne akcije Delijski Vis**, **pravoslavie.ru**

ISSN 1899-9018
Nr indeksu 371416

сами о собі
сами о себе
самі про себе
самі пра сябе

samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny /145/ grudzień 2020



Выбраны Віктар Швед

22 кастрычніка памёр Віктар Швед, найстарэйшы наш беларускі пісьменнік, актыўны да апошніх дзён на ніве беларускай літаратуры. Віктар Швед быў першым жывым паэтам, якога я ўбачыла. На маё здзіўленне і захапленне – быў ён не на партрэце ў падручніку, а жывы стаяў перад маім класам і чытаў вясёлыя і сур'ёзныя вершы. Тады быў ён ва ўзросце дарослым (нам, малечам, тады здавалася, што ўсе, каму за дваццаць, ужо „старыя", а ўзрост, скажам, сямідзесяціпяцігадовы здаваўся нават прэгістарычным!). Мы ўсе бачылі Віктара Шведа, чыталі яго вершы, і шмат хто мае ў сваёй хаце ягоную хоць адну кніжку, бо сустрэч з ім было праведзена больш за тысячу. Віктар Швед гэта эпоха, а не закасцянелыя даты і лікі. А нам, яго дзецям, унукам і праўнукам – засталося Яго слова.

Віктар Мікітавіч Швед – паэт, перакладчык, журналіст, грамадскі дзеяч. Нарадзіўся 23 сакавіка 1925 года ў вёсцы Мора непадалёк Гайнаўкі на Беласточчыне ў сялянскай сям'і. Закончыў Беларускі ліцэй у Бельску-Падляшскім, Акадэмію палітычных навук у Варшаве, аддзяленні журналістыкі і беларускай філалогіі Варшаўскага ўніверсітэта. Доўгі час працаваў у варшаўскім выдавецтве „Ксёнжка і ведза". Быў сузаснавальнікам Беларускага Літаратурнага Аб'яднання „Белавежа" (1958). Сябра Саюза Польскіх Літаратараў і Саюза беларускіх пісьменнікаў. Перакладваў з беларускай, рускай, украінскай моў на польскую, з польскай – на беларускую.

Дэбютаваў 24 сакавіка 1957 г. вершам „Я – беларус" у тыднёвіку „Ніва". Пісаў на беларускай і польскай мовах. Апублікаваў 18 зборнікаў лірыкі і ўспамінаў

Віктар Швед са Славамірам Іванюком і вучаніцамі ПШ н-р 4 у Беластоку

Віктар Швед у «Ніве»



Я – БЕЛАРУС

Я – беларус, рос у народнай гушчы,
Сярод палёў, уквечаных лугоў,
Пад дзіўны гоман Белавежскай пушчы,
Пад заліўныя трэлі салаўёў.

Я – беларус і сваёй роднай мове
Яшчэ дзіцём вучыўся ад бацькоў.
І слова роднае – мой лёс у гэтым слове –
Мне даражэй, чым сотні іншых слоў.

Я беларус – рос у сялянскай хаце,
У свет выходзіў праз яе парог.
Сваю любоў да бацькі і да маці
Я ў глыбіні грудзей сваіх збярог.

Я – беларус і гэтым ганаруся.
Усім душу сваю магу адкрыць:
Ніколі і нідзе не адракуся,
Што беларусам жыў і буду жыць!

(„Жыццёвыя сцежкі” (1967), „Дзяцінства прыстань” (1975), „Дружба” (1976), „Мая зялёная Зубровія” (1990), „Родны схоў” (1991), „Вясёлка” (1991), „Wiersze wybrane” (1997), „Вершы Натальцы” (1998), „Выбраныя вершы” (2000), „Lata wiatr skrzydlaty” (2000), „Śmiech nie grzech” (2000), „Мае Айчыны” (2003), „Przemijanie” (2006), „Смяшынкі” (2009), „Śmieszynki” (2010), „Адплываем з Мора” (2010).) «З горада ў Мора» (2020). У Беластоку выйшаў аўдыёбук «Гэты свет мяне зачараваў” – выбранае з паэзіі Віктара Шведа – першае выданне такога кшталту ў яго спадчыне – ягоныя вершы агучаныя па-беларуску і папольску, што зрабіла гэта праект унікальным для беларускай культуры Падляшша. Яго вершы ўвесь час друкаваліся на старонках тыднёвіка беларусаў у Польшчы „Ніва” і старонцы для дзяцей „Зорка”, дзе меў пастаянную рубрыку „Вершы Віктара Шведа”. Многія творы паэта пакладзены на музыку. Заслужаны дзеяч польскай культуры, узнагароджаны ордэнам Францыска Скарыны – за актыўную дзейнасць па папулярызацыі беларускай культуры, мовы і літаратуры, значны асабісты ўклад у развіццё міжкультурных сувязей і ўмацаванне добрасуседскіх адносін паміж Рэспублікай Беларусь і Рэспублікай Польшча (2015). Выхаваны на традыцыях беларускай класічнай літаратуры, паэтызаваў паўсядзённы побыт селяніна, повязь дзіцячых адчуванняў з гарманічным светам прыроды.

Столькі кніг для нас! Аб нас, і дзеля таго, каб не прапалі наша мова і наш народ! Напрыклад, кніга «Выбраныя вершы» ахоплівае падзеі чалавечага лёсу і даваенных, і пасляваенных пакаленняў беларускага насельніцтва беластоцкага краю. У ёй – водгук жыцця апошніх трох чвэрцяў XX стагоддзя, калі за кропку адліку ўзяць год нараджэння яе аўтара. Што ж адбылося за гэты час на Беласточчыне? Адгрымела другая сусветная вайна, канчаткова вызначыўшы межы Польшчы і Беларусі. Ці захавала насельніцтва гэтага краю свае звычаі, абрады, мову і песні? Нешта захавалася. Беларускія сяляне могуць яшчэ і паразмаўляць па-беларуску і паспяваць у застоллі свае спрадвечныя песні. А вось моладзь, іх дзеці і ўнукі, амаль не ведае ні сваёй роднай мовы, ні песень. Яна асімілявалася, і ў гэтым ёй памаглі яе бацькі, дзяды і бабулі. У беларусаў няма імунітэту ад асіміляцыі, ад разбурэння свайго нацыянальнага ўкладу жыцця і страты духоўнай спадчыннай культуры. Такімі зрабіў беларусаў



на працягу некалькіх апошніх стагоддзяў іх гістарычны лёс. Беларусы ў Польшчы – нацыянальная меншасць, і асіміляцыя тут – з’ява як быццам што заканамерная (Я. Міклашэўскі, Душа паэта). І як апошняя кніга, якую прывезлі яму ад роднай «Нівы» тыдзень перад яго адыходам на нябесныя нівы. А гэта кніга ўспамінаў – і запавет.

Гэта другі том успамінаў пасля «З Мора ў горад». Першы том успамінаў – „З Мора ў горад” (2015) (рэдактар **Лена Глагоўская**) ахопліваў міжваенны час, другую сусветную вайну і пасляваенны перыяд да 1987 года. У першай кнізе успамінаў Віктар у першай частцы «У адроджанай



Віктар Швед на ўручэнні яму ўзнагароды маршалка Падляшскага ваяводства ў галіне культуры на сваё 94-годдзе з маршалкам Мацеем Жыўна, «ніўцамі» і жонкай Валянцінай (першая справа)



Віктар Швед з Юркам Голубам (злева) у Падляшскай ксёнжніцы

краіне» апісвае сваё дзяцінства і навуку ў польскай школе ў Моры, а пасля ў Орлі. Апісаў сваіх бацькоў, брата і сясцёр, а таксама дваюраднага брата. Частка «У абарону роднага» паэт прыгадвае эпізоды з дзейнасці ў БГКТ, сустрэчы з **Максімам Танкам**, **Уладзімірам Караткевічам**, **Піліпам Кізевічам**, **Яўгенам Аніськам**, з амерыканскімі беларусамі. Аўтар апісвае таксама незвычайныя індывідуальнасці, якія сустрэў на дарозе свайго жыцця. Сярод іх знаходзім партрэты прафесара **Васіля Белаказовіча**, **Міколы Гайдука**, **Пятра Ластаўкі**, **Кастуся Майсені**, **Мар'яна Пецюкевіча**, **Янкі Жамойціна**. Успомніў таксама землякоў, якія пасля II сусветнай вайны апынуліся ў Беларусі: **Уладзіміра Казбярука**, **Яўгена Міклашэўскага**, **Серафіма Андраюка**, **Аляксея Карпюка**. Прыпомніў ужо крыху прызабытых мастакоў: **Міхася Забэйду-Суміцкага**, **Станіслава Казуру**, **Эдварда Гойліка**, **Земавіта Фядэцкага** і **Юзафа Рыбінскага**. Пасляваенны перыяд Віктар Швед называе часам трывогі і надзеі. На занятай саветамі ў ліпені 1944 г. Беласточчыне пачалі аднаўляцца беларускія школы. У Гайнаўцы запрацавала беларуская гімназія, у якую паступіў аўтар успамінаў. Кіраваў ёй **Васіль Бахар**, абсальвент Навагрудзкай беларускай гімназіі ў даваенны час. Навучаў ён беларускай мовы. Настаўніцкі склад быў даволі цікавы: **Павал Сламянка**, **Зінаіда Грыцкевіч**, **Галена Панько**, **Людміла Панько**, а. **Серафім Жалезьняковіч**, **Георгій Голуб**, **Ціхан Антасюк**, **Васіль Літвінчык**. Важным перыядам у жыцці Віктара Шведа стала паўстанне Беларускага Грамадска-культурнага Таварыства і заснаванне тыднёвіка «Ніва». «Ад 1 студзеня 1957 года быў прыняты ў рэдакцыю «Нівы» і працаваў тут да канца сакавіка 1958 года. Працаваў бы ў «Ніве» магчыма аж да пенсіі, калі б на II З'ездзе БГКТ у Беластоку не выбралі мяне сакратаром Галоўнага праўлення на працяг двух гадоў. Вярнуўшыся ў Варшаву, працаваў я сакратаром Праўлення аддзела і быў штатным інспектарам ГП, адказным за працу Варшаўскага аддзела БГКТ. З 1965 да 1987 года працаваў я старшым рэдактарам Выдавецтва «Кніга і веды» ў Варшаве. У 1987 годзе выйшаў я на пенсію і пераехаў у Беласток, дзе пастаянна пражываю». У тоўстым томе „З горада ў Мора", які ахоплівае чарговыя 30 гадоў, яго апошняй кнізе – ад часу калі Віктар Мікітавіч адышоў на пенсію, але не склаў рукі, аж да 2018 года. І хіба за гэты час зрабіў ён найбольш.

Пятро Маляўка: – Менавіта вера ў спрадвечнасць і незнішчальнасць родных каранёў і каштоўнасцей жыцця, любоў да роднай мовы, добразычлівае стаўленне да навакольнага свету, сапраўднага шчырага сяброўства складаюць праблемна-тэматычную сферу і ўнутраны пафас паэзіі Віктара Шведа, выдатнага беларускага паэта і грамадскага дзеяча, які нарадзіўся ў вёсцы з загадкавай назвай Мора, у сялянскай сям'і на Беласточчыне, у Польшчы, і вядомы ў нас, на Беларусі, толькі навукоўцам ад літаратуры і

Віктарр Швед у «беларускай хатцы» ў Піўніцы з культурай у ПШ н-р 4 у Беластоку

аматарам мастацкага слова. Шмат яго вершаў прадстаўлена ў падручніках для беларускіх школ у Польшчы, многія з іх пакладзены на музыку. Яго творы друкаваліся ў літаратурных альманахах «Мой родны кут», «Белавежа»,у зборніку «Літаратурная Беласточчына», газетах «Ніва», «Літаратура і мастацтва», часопісе «Полымя» і іншых. Вельмі шмат яго вершаў прысвечана роднай мове. Паэт душэўна просіць,каб яна не знікала ў небыццё. Але хіба тое ад самой мовы залежыць? І нязмушана, як бы самі па сабе, вырываюцца з сэрца аўтара, бо не месцяцца ўжо там, словы звароту, шчырага заклікання да ўсіх тых, хто насамрэч лічаць сябе беларусамі: Мову родную беражы! Мовай роднай даражы!.. Беспамылкова можна гаварыць, што «Вершы Натальцы» напісаны не толькі для дзяцей, але і для дарослых, бацькоў. Апошнім яна дапамагае лепш зразумець маленькага чалавека, звярнуць увагу на эстэтычнае і этычнае выхаванне дзяцей, на арганізацыю іх гульняў. А самае галоўнае – як бы дае яшчэ адну магчымасць глянуць на свет дзіцячымі вачыма, але цяпер ужо дарослага, з багатым жыццёвым вопытам, прайсціся да сябе самога сцежкаю памяці і ўсміхнуцца голасна: «Вось як яно на свеце дзеецца!!!». Мы, адкрываючы гэтую кнігу, быццам бы апынаемся ў цудоўнай, чароўнай краіне – краіне Дзяцінства. І кожны з нас, хаця ўжо і ў сталым узросце, незаўважна для сябе, на ўвесь час прачытання напісанага, пераўвасабляецца ў маленькага, успамінаючы сваё дзяцінства, свае першыя словы, крокі, учынкі, і хоць на імгненне, на невялікі прамежак аднаўляе тое сувязное звяно ў ланцужку жыцця, ад якога шмат залежыць, якім чалавек вырасце, як складзецца яго лёс... Характарызуецца гэтае звяно непарыўнай повяззю пакаленняў, паколькі сённяшнія дарослыя – гэта ўчарашнія дзеці, а сённяшнія дзеці – гэта дарослыя заўтра. І як мы да іх паставімся, як яны будуць выхаваны, залежыць вельмі і вельмі шмат ад усіх і кожнага.

Нашы рукі: *«Дадзены нам, доня, рукі/ Да работы, да навукі,/ Падымання і трымання,/ Да вітання, да ласкання,/ Яды страваў ўлюбёных/ І да ўласнай абароны./ Рука руку заўжды мые...* Віктар Швед, і як бацька, і як мастак слова, павяртае нас, як бы на «кругі свая», як бы скіроўвае кожнага з нас у сваё



дзяцінства, каб ужо на зваротным шляху да сябе сённяшніх яшчэ раз напомніць (а вось не забудуцца!!), што маленькае дзіця яшчэ толькі пачынае сваю жыццёвую сцежку, і яму яшчэ шмат чаго трэба для сябе адкрыць, шмат чаму навучыцца, а пакуль што ў яго свая дзіцячая філасофія, свае дзіцячыя ўяўленні наконт акаляючага свету, свае дзіцячыя думкі, якія для дарослых могуць здавацца смешнымі, фантастычнымі, нерэальнымі, а для самога дзіцяці – вельмі сур'ёзнымі, рэальнымі і праўдзівымі...».

Віктар Швед апошнюю сваю кнігу «З горада ў Мора» прысвяціў прадстаўнікам малодшага пакалення нашых беларусаў **Барбары** і **Міраславу Пякарскім**, якіх ён найчасцей сустракаў на беларускіх мерапрыемствах. Гэта памятка пра жыццё нашых тут беларусаў. Дзякуючы занатоўкам Віктара Шведа мы разумеем важнасць тых дэталяў з сямейнага, асабістага і грамадска-палітычнага жыцця Віктара Шведа і яго паплечнікаў і сяброў, якія ратавалі і ратуюць наш родны дом. А час так плыве... *Уплывае час нам хуткацечны, з нас ніхто тут на зямлі не вечны... Хочацца на свеце тым гасцінным заслужыць на добрыя ўспаміны, выпадковым каб не быць нам тут, калі свой пакінем родны кут* (2019).

Міра Лукша
фота **аўтаркі**

БЕЛАСТОЧЧЫНА

Беласточчына, мая зямелька родная,
Жывеш заўсёды ты ў глыбі маіх грудзей.
Нідзе мясціны не сустрэў ніводнае,
Што мне была б хоць крышку даражэй.

Вось родны краявід, палоскі вузкія,
Якія дробніў люд вясковы з году ў год;
Сярод палёў — пасёлкі беларускія,
Дзе ад вякоў жыве мой дарагі народ.

Гляджу, прысела хатка там вясковая,
Дзе крокі першыя ў жыцці сваім рабіў,
Дзе ад бацькоў вучыўся роднай мове я,
Якую ў шуме дзён імклівых не забыў.

На Беласточчыне пражыў я маладосць,
Ды што пражыў — я нарадзіўся тут.
Таму была найдаражэйшаю і ёсць
Мне Беласточчына, мой родны, мілы кут.



Могілкі і крыжы в Чохах Заболуотных

Нэдалеко обшырнуй доліны Нурця, 200 мэтрув од дорогі Чохі Заболуотны – Павліново, на краю старого бору, росположоны нэвэлікі могілкі, месце святое для люді з Чохуов. Тая, давня прыватна вёска, называласе поразному: Чэховічы, Чохы, Чэхі, Іванкі, Чэхі Надболотны. Належыла фольваркові в Круглым, которого власнікамі в разных часах были Вагановскіе, Сапегі, Парысы, Косці, Завадзкіе і іншы роды. Зэмля і все сельські будынкі належылі до двора. Пуод могілкі прызначылі найбуольш нэуроджайны кусок зэмліе, з якого нэ было жадное корысці.

Тэпэр могілкі належат до Міхайловскуй парафіі в Вульці Выгонуовськуй. Свяшчэннікі моляцця тут два разы в рокові: в нэделю Жон Міроносіц і в остатню нэделю вересня. Тугды тут е мнуого люді. Але наштодэнь, летом, туолькі соловей співае душам тых, што тут покояцце.

На чохуовськіх могілках почалі ховаті вжэ на початку XIX веку, а можэ і раней. Могілкі бачым на мапі Прус Нововсходніх з 1800 року. Але нэ знайдэмо тэпэр тут матэрыяльных слідув того часу. Бо за паншыны люді нэ было статі заказуваті помнікі з камэня, а дэрэвяны крыжы давно обэрнуліся в порохно.



В 1847 р., по прыказові дворскуй экономії з Круглого, до вёскі Чохі (Іванкі) долучылі вёску Шыпошы (Трояны). І сюю дату можна лічыті початком могілок в тэпэрышнюй формі. Сведчыт про тое росположэнне могіл поособных родув. З того часу заховалісе два камэнны помнікі з крыжамі ковальскуй роботы на могілах сем'юв Залускіх і Онопюкув.

Cmentarz w Czechach Zabłotnych
Grób Nikity i Natalii Ostapczuków
U dołu kamienny pomnik i kuty krzyż na grobie Piotra Załuskiego z II połowy XIX wieku



В найстарэйшуй, заховануй мэтрычнуй кнізі парафії в Вульці з 1888 року, пэршы запіс про умэршого дотычыт двухмесячного **Васіля Трофімовіча Толочко**. Але следу по могілці дітяті нэ захованосе. Найстарэйшым помніком е надгробны крыж на могілі **Наталії Ігнатьевны Остапчук**, котора умэрла в 1894 рокові, міевшы 53 лета. Факт сёй потвэрджуе і запіс з мэтрычнуй кнігі. Крыж находіцце в жылезнуй, ковальскуй роботы огороджы і увековучуе таксамо мужа Наталії – **Нікіту Ігнатіевіча Остапчука**, которы умэр 29 марца 1904 року, мевшы 86 лет. Быв значыт старэйшы од жуонкі на 23 лета.

Довгі час могілкі нэ былі огороджоны, а од звычайного света





Z prawej krzyż ofiarny z 1934 roku na posesji w Czechach Zabłotnych
Niżej pomnik na grobie Ksawerego, Eweliny i Marii Tołoczków z 1914 roku, w głębi kwatera rodziny Golców

одділяв іх туолькі ровок. В 1984 рокові, старанём настоятеля цэркві в Вульцi, мітрофорного о. прот. **Леонтія Саевіча**, быв поставёны жылезны плуот з солідною брамою.

Колі еі пэрэйдэм, одразу трафім на могілы старых чэхуовськіх семейств: Карбуовськіх, Остапчукув і Онопюкув. Далей найдэмо могілы сем'і Залускіх. Сяя фамілія, якая давней пісалася Залужскімі, прыбыла до Чохуов з Шыпошув, разом з двома Іванамі Залужскімі. Але тяжко дойті тэпэр, потомкам которого з іх належат якіе могілы.

Інакш справа выглядае з потомкамі **Августа** і **Касіяна Толочкув**, которы таксамо прыбылі з Шыпошув. Потомкі Августа мают свое могілы по правуй стороне могілок, а Касіяна – по левуй; до 70-ых лет XX веку тую часть родні звалі Касіяновымі. З Шыпошув до Чохуов, разом з **Якімом** і **Корнілом,** прыбыло в 1847 рокові таксамо назвіско Семенюк.

Тэпэр на могілках в Чохах можна найті і іншы назвіска, которы тут прыбылі разом з тымі, што приступалі до жонок: Голец, Герасімюк, Лукашук, Кулачэвскі і Олешкевіч. Пэршы прыбылі з Павлінова, а другі з Дубіч Цэрковных; Кулачэвскі походілі з Вулькі Выгоновскуй. **Ян Олешкевіч** сын Клеменса, в 1936 рокові приступів з Боцькув до жуонкі з Чохуов – **Зіновії Міхайловны Семенюк**. Скуль прышло тут назвіско Лукашук, тяжко тэпэр сказаті.

Сэрэд могіл найдэмо помнікі з колёнії Круглэ – сем'і Васькевічув і Вовтонюкув; тэпэр то одна, звязана з собою родня. Вовтонюкі прыбылі до москоскуй колёнії Круглэ з нэдалекіх Дідюль. В 1887 рокові **Рыгор Вовтонюк** купів лонкі над рыкою Нурэць, а в 1893 р. взяв в арэнду од **Фэлікса Комарніцкого** часть фольварку Круглэ і тут пэрэнюсся жыті. Руок пузней Вовтонюк выкупів фольварок на власность. После смэрті поховалі його на чохуовськіх могілках, которы былі блісько.

В Чохах Заболуотных найдэмо таксамо тры прыдоруожны крыжые; колісь было іх пять. Два нэіснуючы стоялі на крыжуовці дорог Павліново – Круглэ – Московці – Краснэ Сэло і на кунцёві вёсковуй гуліці, со стороны доліны Нурця. Заховалісе два муровані крыжы. Одін з іх, сінёго колеру, стоіт посэрэдіні вёскі. Фундованы быв в 1934 рокові як жэртва за здоровіе люді і годованого імі добытку. На крыжові прочытаемо напіс: *О здравии. Спаси Господи, помилуй рабовъ Твоихъ живущихъ в деревни Чехи. Избави ихъ отъ всякихъ бедъ и печали и сохрани ихъ скота от падения*. Раней тут муог стояті дэрэвяны крыж, которы вызначав початок вёскі, пэрэд долучэнём до еі Шыпошув. Тэпэр тут жытелі Чохуов святят ежу в Вэліку Суботу.

Другі мурованы крыж мае ролю прошчального. Стоіт на крыжуовці вёсковуй гуліці з дорогою Павліново – Шэшылы. Тут жытелі вёскі прошчаюцце з тымі, которых тела проводят на могілкі. Раней крыж стояв посэрэдіні крыжуовкі, але в час кладеня асфальту пэрэнэслі його на буок.

Поховальны обрад в Чохах Заболуотных мае свое особлівості. Як родня едэ на Літургію до церквы в Вульцi, труна з умэршым стоіт вдома, а пры юй остаецце хтось блісько. После Літургії, одпеваніе проходіт вдома або на подвурковi. Е шчэ одін обрад, которы одыходіт в прошлэ – пры выносі труны, на порозі дому, тры разы еі опускают і пуднімают. То вэльмі старая традыцыя, звэзана з вероваміями в тое, што труна з умэршым одплывае в другі свет.

Нэвэлікі чохуовські могілкі мнуого нам могут росказаті про гісторыю вёскі і іе люді. В наступным нумэрові роскажэм про могілкі в суседнім Павлінові. Воны росположоны таксамо в парафії Вулька Выгонуовська, в которуй кажда вёска мае свуой нэкрополь. То зрэшто особлівосць всіех сюл на полудэнь од Бельска, которы в буольшості своюй былі прыватнымі. Інакш е на пувноч чы всхуод од города, дэ пэрэважалі вёскі королевскі. Тут маем найчасцей одны вэлікі могілкі для всех вёсок прыхода.

Іван Мінкевіч
фото **Іван Троц**

Pomnik Sąsiadów

Idea ufundowania pomnika mieszkańców Orli, którzy zginęli w Holokauście, zrodziła się w mojej głowie ponad dekadę temu. Właśnie wtedy z przyjacielem, Dariuszem Horodeckim, wydaliśmy album z fotografiami „Orla – historia zapisana obrazem" i zorganizowaliśmy wystawę starych zdjęć Orli i jej mieszkańców. Na nich widać przekrój społeczeństwa orlańskiego. Dziś o naszych współmieszkańcach Żydach mało się mówi, przypomina o nich tylko synagoga i kilkadziesiąt okaleczonych zębem czasu macew na żydowskim cmentarzu.



Dekadę temu, kiedy odwiedziłem w Hajfie ostatnią żyjącą Żydówkę orlańską – panią **Sarę Wajsztajn** – rozmawialiśmy o sposobie upamiętnienia narodu żydowskiego w Orli, który współistniał z autochtonami. Dałem słowo szacownej pani, że nie odpuszczę tego zadania i zrobię coś konkretnego.

Potrzeba jednak było sporo czasu, by klimat działań w Orli stał się ku temu przyjaźniejszy. Zanim swoje myśli przełożyłem w czyny, wziąłem udział w programie Liderzy PAFW oraz stałem się jednym z Liderów Dialogu w Fundacji Forum Dialogu, zajmującej się budowaniem pozytywnych relacji polsko-izraelskich. Dzięki temu rozszerzyłem swoją wiedzę o judaizmie i nawiązałem kontakty w kraju i świecie. Wróciłem również do zaangażowania w sprawy samorządowe. Zostałem kolejny raz wybrany radnym Gminy Orla i sołtysem swojej miejscowości. Wszystko to pozwoliło mi na realizację postawionego przed sobą celu.

Założyłem (by nie komplikować), że pomnik ufunduję sam, bo to ułatwi zadanie. Długo myślałem nad ostateczną formą upamiętnienia sąsiadów Żydów. Jedynym moim powiernikiem i doradcą w tej kwestii stała się moja żona Jola. Jej opinie uważałem za ostateczne. Inspiracją napisu stało się spotkanie z profesorem **Janem Grossem** na jednej z konferencji Forum Dialogu. Po spotkaniach z przedstawicielami Komisji Rabinackiej podjąłem decyzję o znaku pamięci Żydów w Orli i miejscu ustawienia pomnika.

Skupiłem się na naszym orlańskim *chworesie*, czyli cmentarzu. Dziś pozostały tam tylko macewy z kamienia polnego, gdyż piękne pomniki z cegieł, przykryte dachówką, zostały z czasem zniszczone i nie ma praktycznie po nich śladu. Ustaliłem, że do budowy wykorzystam miejscowy kamień. Przecięto go w Zabłudowie, a ja przywiozłem kamień na swoje podwórze. Ustaliłem treść napisu, a o pomoc w jego zaprojektowaniu poprosiłem panią **Halinę Chwojko** z gminnego ośrodka kultury w Orli. Napis wykonał, kamień oszlifował i ustawił pan **Andrzej Weres**, który przy okazji wykrył pomyłkę w nazwie miesiąca w języku hebrajskim i ją poprawił.

Kolejnym elementem powstającego pomnika była wykonana z metalu menora. Za inspirację posłużyła mi menora z twierdzy Masada w Izraelu. Materiał na nią ufundowała jedna z organizacji pozarządowych w Orli, której prezesuję. Wykonawcami zostali panowie **Piotr Gałuszewski** i **Jan Gałuszewski** z Antonowa. Ocynkowanie konstrukcji sfinansowaliśmy z przyjaciółmi.

Tekst na macewie zapisano w czterech językach, które rozbrzmiewały na rynku i ulicach Orli – po hebrajsku, w jidisz, po polsku i w miejscowej gwarze. Znajdują się tam znaki graficzne Gwiazdy Dawida i Menory oraz data – 4 listopada 1942. To dzień ostatecznej likwidacji getta orlańskiego i data zamykająca żydowską historię Orli. Jest to również dzień poświęcony Kazańskiej Ikonie Matki Bożej. Do dziś w Orli mówi się, że na *Kazańsku Żydów z Wuorli wywozili*.

Na początku roku z przyjaciółmi – **Kariną Jaroszewicz**, dyrektor GOK w Orli, **Ewą Żukowicką**, prezesem Fundacji Futurum i **Dariuszem Horodeckim**, prezesem Fundacji EDM – opracowaliśmy

projekt pod hasłem „Co w nas zostało żydowski sąsiedzie". Zakładał on szereg działań propagujących kulturę żydowską, a w działaniach tych została ujęta fundacja pomnika ku czci żydowskich mieszkańców Orli.

Projekt nasz znalazł uznanie Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny, który przyznał nam grant na nasze zamierzenia. Przedsięwzięcie objęte zostało także patronatem wójta gminy Orla **Leona Pawluczuka**, właściciela synagogi w Orli, Fundacji Ochrony Mienia Żydowskiego w Warszawie oraz ambasady Izraela, a wszystko to pod szyldem organizacji wiodącej, Fundacji Futurum.

Niestety, plany nasze pokrzyżował covid. Musieliśmy mocno ograniczyć zasięg działań. Nie udało się zrobić plenerowego przedstawienia wesela żydowskiego w stylu sefardyjskim, ale zastąpił to występ zespołu Klezmorin Trio z przepięknym nocnym koncertem w synagodze orlańskiej. Całe lato odbywały się także projekcje filmów fabularnych, w ramach przeglądu współczesnego kina izraelskiego. W zaciszu tradycyjnego orlańskiego domu odbyły się letnie warsztaty kulinarne , a w gminnym ośrodku kultury twórcze warsztaty artystyczne, inspirowane polichromią orlańskiej synagogi.

Zakończeniem miały być Dni Pamięci, podczas których miały się odbyć spotkania w gminnej bibliotece, degustacje dań kuchni żydowskiej powstałych w trakcie warsztatów. Miał się odbyć Marsz Pamięci, połączony z uroczystością odsłonięcia pomnika ku czci żydowskiej społeczności w Orli. Niestety, wszystko to musi poczekać do spokojniejszych czasów. Jedynie w sobotę 7 listopada wystawiono na żywo i on-line monodram Brunona Schulza „Sklepy cynamonowe" w wykonaniu artysty Żydowskiego Teatru Midraszowego, **Roberta Urbanowskiego**.

Marek Chmielewski, fot. **autor**

Rok Iwana Bunina

Urodził się w tym samym roku co Lenin, zmarł w tym samym co Stalin. **Iwan Bunin** (1870-1953), pierwszy rosyjski laureat literackiej Nagrody Nobla, odszedł późną jesienią w późnych godzinach nocnych z 7 na 8 listopada. W Paryżu – bo na obczyźnie przyszło mu spędzić połowę swego twórczego życia (gdy przebywał na emigracji, nie można było kupić w ZSRR żadnej jego książki, a samo wspomnienie nazwiska groziło zesłaniem do łagrów).

Tuż po śmierci żona **Wiera**, zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, zakryła mu twarz białym płótnem. I tak się z nim żegnano. Ostatnią książką, którą czytał przed śmiercią, było „Zmartwychwstanie" **Lwa Tołstoja**. Ostatnie zdanie, które usłyszał ostatni odwiedzający, brzmiało: „Po co to zrobił? Dlaczego włączył do «Zmartwychwstania» tak niepotrzebne, nieartystyczne strony? Jak mógł?".

Bunin przeżył 84 lata. Urodził się w Woroneżu, dom, w którym przyszedł na świat, szczęśliwym trafem ocalał, a z okazji 150-lecia urodzin noblisty – rok 2020 ogłoszono w Rosji rokiem Bunina – otwarto w nim muzeum. Do gimnazjum chodził w Jelcu, mieszkał w Orle, Charkowie, Połtawie. Z natury był wędrowcem, stałego domu tak naprawdę nie miał do końca swych dni. Już jako siedemnastolatek podejmuje pracę w redakcji lokalnej gazety, pracuje a to jako korektor, a to jako krytyk teatralny. W jej drukarni zostanie wydrukowany pierwszy tomik poezji Bunina „Wiersze 1887-1891".

Ich autor jest zachwycony Tołstojem. „Żeby mnie naśladować, nie musisz być tołstojowcem" – daje mu do zrozumienia wielki pisarz. Spotkali się w Moskwie. Bunin jeszcze nie wie, że Tołstoj zwrócił na niego uwagę po publikacji wiersza „W mirie Boż'jem" w 1889 roku.

Pierwszą żoną Bunina zostaje piękna **Anna Cakni**, córka bogatej greckiej rodziny. Ale życie się nie układa. Umiera jedyne dziecko, umiera i małżeństwo. Tymczasem Bunin, po wydaniu pierwszych opowiadań, poczuje w sobie siłę prozaika i pojedzie do Jałty, do **Czechowa**. Obaj nie lubili dekadentów, którymi byli dla nich wszyscy – od symbolisty **Aleksandra Błoka** do futurysty **Władimira Majakowskiego**. Śmierć Czechowa będzie dla Bunina ogromną, także osobistą, stratą. Gdy wybucha rewolucja 1905 roku, Bunin przeczuwa koniec szlacheckiej epoki, przeczuwa koniec starej Rosji. Znajomość z moskiewską studentką Wierą Muromcewą, która zostanie jego drugą żoną, wnosi światło w jego życie. Dużo wspólnie podróżowali, także do Ziemi Świętej, nie mówiąc już o Europie. A wyprawa do Włoch, na Capri, połączy Bunina wieloletnią przyjaźnią z **Maksymem Gorkim**.

Przychodzą sukcesy także na płaszczyźnie artystycznej. Bunin staje się dwukrotnym laureatem Nagrody Puszkina, honorowym członkiem Akademii. Ale to stabilizujące się życie gwałtownie zmienia najpierw pierwsza wojna, która przyniosła „wielkie duchowe rozczarowanie", a potem rewolucja październikowa, z którą Bunin nigdy się nie pogodził. „Nasz naród jest jak drewno, z niego może być i ikona, i pałka" – lubił powtarzać, a tę pałkę zawsze odrzucał. Koszmar październikowych dni przeżył w Moskwie. I pijane ryki żołnierzy, i łuskanie pestek, i nienawistne spojrzenia, terror... Niczego się nie bał, chodził na Łubiankę, po wszystkich placach, zapisywał to co mówią ludzie. „Przeklęte dni" – tak określi czas rewolucji i wojny domowej: „W tysiącletnim i ogromnym naszym domu zapanowała wielka śmierć. Dom był teraz otwarty na oścież





Iwan Bunin, rok 1901
Niżej z żoną Wierą

i pełen bezczynnego tłumu, dla którego nie było już nic świętego i zakazanego w żadnym z jego pokojów". „Przeklęte dni" – taki nada tytuł swojej późniejszej książce.

Buninowie najpierw opuścili Moskwę, potem także Rosję. Podzielili los półtora miliona rodaków. I choć Iwan Aleksiejewicz zawsze lubił podróżować (w hotelach pisało mu się doskonale), tym razem nie była to zwykła podróż, lecz wygnanie, świadoma ewakuacja z poprzedniego życia.

Proponowano mu pobyt w Bułgarii, w Serbii. W Belgradzie z przekonaniem powie Wierze: „Jesteśmy w domu". Ale ostateczny wybór padł na Francję, gdzie osiadło bardzo wielu migrantów z Rosji. Dlaczego Paryż? Nie, Buninowie nie mieli w Paryżu swego mieszkania jak **Gippius** z **Mereżkowskim**, którzy stali się jego posiadaczami jeszcze przed rewolucją. Iwan po prostu lubił to miasto.

A we Francji, choć przeżył w niej niemal pół swego życia, pozostał sobą – rosyjskim pisarzem. Francja zresztą nie przeszkadzała mu, a pomagała w pracy – ze swoim klimatem, winem, kawiarniami, nawet ze swoją obojętnością. To co chciał unieść z ginącej na jego oczach Rosji, jej język, kulturę, zabrał ze sobą i w sobie, a to w co Rosja się zamieniła – stało się dla niego obce i wrogie.

Bunin przeklina nową Rosję, ale od pamięci o starej nie może się uwolnić. W tej przeszłości jest jego przyszłość, przyszłe książki, w tym najwspanialsze z nich, „Życie Arsieniewa", „Ciemne aleje".

Wiersze teraz będzie pisać z rzadka, będzie pisać za to swoją wspaniałą prozę. Ta proza przyniesie mu i sławę, i pieniądze.

W Paryżu zamieszka przy ulicy Jacques'a Offenbacha, nieopodal mieszkają Gippius i Mereżkowski. Ruska emigracja żyła paryskim życiem tylko na zewnątrz, a tak naprawdę, dość autonomicznie, w najróżniejszych kręgach. Byli monarchiści, kadeci i eserowcy. I salony, artystyczne i kulturalne. Tu na koncertach śpiewał **Szalapin**, swoje kompozycje wykonywał **Rachmaninow**, swoje utwory czytali Kuprin i Mereżkowski.

Ale Paryż nie wystarczał Buninowi. Do pracy potrzebował wsi, dom znaleźli w Prowansji, w Grasse. „Jestem niezmiernie szczęśliwy, że Bóg dał mi możliwość życia wśród tego piękna" – zapisał w dzienniku. A Grasse, stolica perfum, jest najpiękniej pachnącym miastem Francji.

Tu napisał „Różę Jerycha", „Ciemne aleje", „Życie Arseniewa" „Miłość Miti", „Udar słońca". Żeby odpocząć, jeździ do Cannes. Tam na plaży poznaje młodą poetkę **Galinę Kuzniecową**, którą zaprasza do swojej willi jako uczennicę (Bunin udzielał rad wielu młodym poetom, przysyłającym mu swoje rękopisy).

Odtąd rękopisy Bunina przepisują na zmianę – Galina i Wiera.

Książka „Życie Arseniewa" odbiła się szerokim echem na emigracji, a o głównym bohaterze Bunin napisze: „To jeden z takich, którzy nie zaznają spokoju. Wydaje się być podobny do mnie, do mego życia, nawet do chwili obecnej".

Ale książki Bunina nie przynoszą dochodu. O przyznanniu mu Nagrody Nobla dowiedział się w kinie. Oglądał film z **Kissą** (Ksenią) **Kuprin** w jednej z ról, gwiazdą francuskiego kina, córką rosyjskiego pisarza emigranta Kuprina.

Komitet noblowski 9 listopada 1933 roku uhonorował Iwana Bunina „za prawdziwy artystyczny talent z którym odtworzył w artystycznej prozie typowy rosyjski charakter". Nastały noblowskie dni. Telefony, depesze, ze wszystkich stron świata, z wyjątkiem nowej Rosji. Później staranne przygotowania. Specjalny frak, do fraka specjalna koszula, do koszuli specjalna muszka.

Swoje przemówienie Bunin wygłosił po francusku. – Nieszczęścia, których doświadczyłem w ciągu moich ostatnich piętnastu lat, przewyższały moje radości. I nie osobiste były to nieszczęścia, o nie. (…) Po raz pierwszy od czasów przyznawania nagrody Nobla przyznaliście ją wygnańcowi, kim bowiem jestem? Wygnańcem, który korzysta z gościnności Francji, wobec której także odczuwam wdzięczność.

Bunin był apatrydą, bezpaństwowcem, a ZSRR poprzez wysiłki swojej ambasador w Szwecji, **Aleksandry Kołłątaj**, dokładało starań, żeby do wręczenia nagrody nie dopuścić albo przynajmniej popsuć uroczystość.

Tymczasem cały emigracyjny Paryż czekał na jego powrót. Nagroda pieniężna szybko topniała, Bunin był bardzo szczodry. Nawet powołał specjalną komisję, która rozpatrywała napływające od emigrantów listy z prośbą o pomoc. A listów tych szybko przyszło ponad dwa tysiące!

Wywiad radziecki nie przestaje go śledzić. Skrupulatnie odnotowuje jego cechy charakteru, upodobania, przyzwyczajenia, zawsze podkreśla jego bezkompromisowy antybolszewizm. A gdyby go tak, jak pisarza Kuprina, nakłonić do powrotu do ojczyzny? – pojawia się i taki plan. Bunin go odrzuca.

Wybuch drugiej wojny zastaje go w Grasse.

Pieniądze z Nagrody Nobla niemal się skończyły, rodzina głodowała.

„Palce popękały z chłodu, ani się wykąpać, ani wymyć nóg, zupy z białej rzepy, które niemal wywołują wymioty. (…) Byłem bogaty – teraz z woli losu, nagle stałem się ubogi, jak Hiob. Byłem znany na całym świecie – teraz już nikomu nie jestem potrzebny – świat już swojej uwagi mną nie zaprząta" – odnotowuje w dzienniku.

Cały czas pisze. A w dzienniku zapisze: „Gospodi, dodaj mi sił, żebym dalej samotnie i biednie żył pośród tego piękna i pracy!". W 1944 kończy „Ciemne aleje" z 38 opowiadaniami. Po dziewięciu latach doda do niego dwa kolejne, ale tytułowe cały czas będzie uważać za swój najlepszy utwór.

Gdy wybuchła druga wojna, bolszewizm, rewolucja, komunizm wszystko to zeszło na drugi plan, teraz najważniejszy był wspólny wróg. Bunin kupił mapę i zaznaczał na niej aktualne działania wojenne, o których czytał w gazetach. Złe wiadomości z niemiecko-radzieckiego frontu fizycznie odchorowywał. Świętował pogrom hitlerowskiej armii pod Stalingradem jak osobiste zwycięstwo, a w dni konferencji w Teheranie, sam sobie się dziwiąc, pisał w dzienniku: „Nie, pomyślcie tylko do czego to doszło – Stalin leci do Persji, a ja drżę, żeby mu się, nie daj Boże, nic się nie stało".

W maju 1945 roku Buninowie wrócili do Paryża, kilka dni później miasto fetowało zwycięstwo nad faszystowskimi Niemcami. 14 lipca 1946 roku władze ZSRR podjęły decyzję o przywróceniu obywatelstwa przebywającym we Francji rosyjskim emigrantom. Część emigrantów przyjmie radzieckie paszporty, zdecyduje się na powrót – najczęściej z wymuszoną przesiadką do bydlęcych wagonów i nowym kierunkiem – Syberia. Bunin się waha.

„Ale i tutaj czeka nas też ubogi, męczący i niespokojny byt" – napisze w liście do prozaika **Marka Ałdanowa**. „Tak więc pozostaje powrót do domu. Tego, jak słyszę bardzo chcą i obiecują złote góry. Ale jak się na to zdecydować? Poczekam, pomyślę…".

Radziecki wywiad dokłada wszelkich starań, by go do tego nakłonić.

Bunina przyjeżdża namawiać do powrotu poeta **Konstanty Simonow** (autor wiersza „Żdi mienia i ja wiernuś" – am) z piękną żoną, kawiorem, łososiem i innymi smakołykami z ZSRR.

A Bunin w trakcie spotkania pyta o los **Babla**, także innych pisarzy, o których wiadomo, że padli ofiarą stalinowskiego terroru. Simonow, który mimo szlacheckiego pochodzenia zrobił karierę w radzieckim aparacie partyjnym, nie wie co odpowiedzieć.

Do spotkania dochodzi w czasie gdy w ZSRR towarzysz **Żdanow** gromi twórczość **Michaiła Zoszczenko** i **Anny Achmatowej**.

Bo nowy plan partii jest taki – zakazać i zniszczyć talenty w kraju, zastępując je emigracyjnymi, kuszonymi do złotej klatki. Bunin pozostaje niewzruszony.

„Co straciliście, rezygnując z powrotu?" – napisze do niego literatka **Teffi**. „Miliony, sławę, wszelkie dobra, a i plac zostałby nazwany waszym imieniem, i pomnik, wyłożona malachitem stacja metra i dacza na Krymie, i samochód, i służący… Pomyślcie tylko. Nie znam nikogo, kto by z tego zrezygnował".

A Bunin zrezygnował. I coraz częściej podupada na zdrowiu. Bierze udział w obchodach 150 rocznicy urodzin **Puszkina**.

– Do swojej najświętszej głębi zachwiała się Rosja – powie podczas uroczystości. – Niezachwiane jest jedno – nasza twarda wiara, że Rosja, która zrodziła Puszkina, mimo wszystko nie może zginąć, zmienić się w swoich odwiecznych podstawach. I że zaiste nie pokonają jej do końca piekielne siły.

Rosyjski Paryż pamięta o 80-leciu noblisty. Bunin przyjmował gości w kardiganie, białej koszuli, jak zawsze elegancki, dziękując za prezent, zaiste królewski. Przyjaciele zainstalowali mu, poza kolejnością, domowy telefon. Co prawda coraz częściej służył on już do wzywania lekarza bądź pielęgniarek.

Bunin przeżył Stalina o kilka miesięcy. Na zawsze spoczął w Paryżu, pośród rosyjskich emigrantów, na rosyjskim cmentarzu Sainte Geneviève-des-Bois.

I powoli wracał na ojczyznę – już w 1956 roku wyszło pierwsze po rewolucji pięciotomowe, rozchwytywane przez czytelników, wydanie jego utworów, co prawda bez „Przeklętych dni", listów i dzienników. Te muszą poczekać do czasów **Gorbaczowa**.

Rok 2020 został nazwany w Rosji rokiem Bunina. Zaplanowano bardzo bogaty program uroczystości, ponad sto różnych imprez. Epidemia skorygowała plany. W Woroneżu w domu, w którym 22 października 1870 roku przyszedł na świat, otwarto jego muzeum. Wydano też znaczek pocztowy z wizerunkiem poety na tle rosyjskiej *usad'by*. Wybito też srebrne dwurublówki z wypukłym portretem Bunina na tle konturów drzwi i wypukłej gałązki jabłoni. To z pewnością nawiązanie do dwóch słynnych opowiadań Bunina, „Ciemnych alei" i „Antonówek". I mimo woli przypominające słynny aforyzm Bunina: „Nie jestem srebrnym rublem, żeby się wszystkim podobać".

Na podstawie filmu „Bunin", wywiadów i artykułów Natalii Iwanowej opr. **Ałła Matreńczyk**
fot. **wikimedia.commons**



Włodzimierz Pirożnikow (pierwszy z lewej), towarzyszący księciu Filipowi (w jasnej koszuli) podczas jego pobytu w Białowieży w 1975 roku

Hodowca żubrów który umiał latać

Był jedną z „twarzy” Białowieskiego Parku Narodowego. Lotnik, leśnik, myśliwy, znakomity gawędziarz i przewodnik turystyczny, przez wiele lat pełnił funkcję kierownika Ośrodka Hodowli Żubrów BPN. Jego barwnym życiorysem można byłoby obdzielić kilka osób. Miał typowo wschodnią, wylewną duszę. Już za życia stał się legendą tych okolic. Mieszkał z żoną i córką w malowniczej osadzie Zwierzyniec, położonej w połowie drogi z Hajnówki do Białowieży – miejscu urodzenia pisarza Igora Newerlego i poety Jerzego W. Jasińskiego.

Włodzimierz Pirożnikow przyszedł na świat sto lat temu, dokładnie 19 lipca 1920 roku, we wsi Wielkie Sitno (obecnie w obwodzie witebskim na Białorusi) w rodzinie **Sergiusza** i **Jadwigi** z domu **Szystowska**. Ojciec był Rosjaninem, pracował w marynarce carskiej. Matka, Polka, pochodziła z rodziny ziemiańskiej, posiadającej w okolicach Połocka ponad 1600 hektarów ziemi. I to ona ochrzciła syna w kościele, ale zaraz potem ojciec zawiózł go do cerkwi. Małżeństwo Pirożnikowów rozpadło się, gdy Włodzimierz miał cztery lata. O swym ojcu, który w 1937 roku został rozstrzelany przez NKWD, syn zachował bardzo dobre wspomnienie.

Marzeniem Włodzimierza było zostać pilotem. Zgłosił się nawet na wstępne badania medyczne, ale matka szybko mu to wyperswadowała. Jako wielka miłośniczka przyrody widziała syna w roli leśnika. Nie było wyjścia, w 1937 roku Włodzimierz rozpoczął naukę na Wydziale Leśnym Państwowej Średniej Szkoły Rolniczo-Leśnej w Żyrowicach. W następnym roku po raz pierwszy odwiedził ze szkolną wycieczką Białowieżę. Jego edukację przerwał wybuch drugiej wojny światowej. Tytuł technika leśnego uzyskał dopiero w 1948 roku, po kursie uzupełniającym w Liceum Leśnym w Brynku, zorganizowanym dla wychowanków szkół w Żyrowicach i Białokrynicy.

Gdy we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna, zgłosił się z kolegami na ochotnika do wojska. Nie zostali przyjęci, ale znaleziono im inne zajęcie. Z polecenia władz miejskich Nowogródka spisywali mieszkańców ulic według wieku, płci, wyznania religijnego i stosunku do służby wojskowej. W nocy patrolowali ulice. 17 września zobaczyli w mieście żołnierzy radzieckich.

Włodzimierz próbował dotrzeć do organizującej się Armii Polskiej we Francji. W listopadzie 1939 roku został jednak ujęty na granicy polsko-węgierskiej. Trafił do więzienia w Dniepropawłowsku. NKWD przesłuchiwało go trzynaście razy. Został skazany na pięć lat łagrów w rejonie peczorskim. W końcu września 1941 roku został amnestionowany, a 30 października tegoż roku dostał się do 6 dywizji piechoty Armii Polskiej w ZSRR, organizowanej w Tockoje koło Buzułuku przez gen. **Władysława Andersa**. Po rozmowach gen. **Władysława Sikorskiego** z władzami rosyjskimi, żołnierzy przeniesiono w okolice Samarkandy.

Gdy w Krasnodarsku nad Jenisejem wchodził po trapie na statek mający ich przerzucić do Iranu, został wraz z innymi żołnierzami sfilmowany. Już mieszkając w Białowieży kilka razy oglądał siebie na tych dokumentalnych zdjęciach w telewizji. Jego marszruta wiodła przez Teheran, Bagdad, Liban. W obozie został zakwalifikowany do szkolenia w charakterze pilota myśliwca. Jednak najpierw trzeba było dostać się do Glasgow. By uniknąć spotkania z łodziami podwodnymi, płynęli na Wyspy Brytyjskie okrężną drogą, przez Rio de Janeiro.

Do szkoły pilotażu w Hucknall w Anglii Włodzimierz wstąpił w czerwcu 1943 roku. Wtedy dała znać o sobie malaria, której nabawił się na statku. Gorączka przekraczała 41 stopni, ale jakoś wyzdrowiał.

Po długiej przerwie nastąpiły ćwiczebne loty na brytyjskich samolotach szkolnych de Havilland Tiger Moth. Na wojnę już nie zdążył. Od lipca 1945 roku do grudnia 1946 roku służył w 317 dywizjonie, tzw. wileńskim, wchodzącym w skład 131 Skrzydła RAF-u w Alhorn koło

Hamburga, w brytyjskiej strefie okupacyjnej. W kwietniu 1946 roku został zdemobilizowany w stopniu podporucznika. W kieszeni miał już wszystkie papiery na wyjazd do Kanady. W tym czasie odnalazła go matka. Napisała, żeby wracał do Polski.

Do kraju przyjechał w 1947 roku. Znalazł pracę w leśnictwie. Od początku października 1947 do końca kwietnia 1958 roku pracował jako podleśniczy, a następnie leśniczy w Leśnictwie Pianki w Nadleśnictwie Giżycko (OZLP Olsztyn).

W lutym 1950 roku ożenił się z **Zofią Epimach-Szypiłło** – nauczycielką pracującą w szkole podstawowej w Sterławkach Wielkich, urodzoną w 1924 roku w majątku Mamonówka w powiecie Głębokie (obecnie na Białorusi). W następnym roku młode małżeństwo doczekało się córki **Ewy**.

W 1958 roku przeniósł się na własną prośbę do Leśnictwa Mezowo w Nadleśnictwie Kartuzy (OZLP Gdańsk), gdzie pracował na stanowisku leśniczego do końca listopada 1962 roku. Pozostawił po sobie ponad 250 hektarów udanych upraw i młodników, około 6 hektarów szkółek i 250 hektarów czyszczeń w młodych drzewostanach.

Z początkiem grudnia 1962 roku Pirożnikow rozpoczął pracę w Białowieskim Parku Narodowym na stanowisku kierownika Ośrodka Hodowli Rzadkich Zwierząt (późniejszego – Ośrodka Hodowli Żubrów BPN). Bez problemu został zaakceptowany w nowym środowisku. W okresie pracy Pirożnikowa stado żubrów na wolności powiększyło się z 56 do 235 sztuk. Przebudowano i zmodernizowano także rezerwat pokazowy żubrów. Najbardziej nie lubił eliminacji zwierząt, o które przecież cały czas się troszczył. Niestety, ten obowiązek spoczywał głównie na nim. Departament Ochrony Przyrody Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego w Warszawie każdego roku przeznaczał do odstrzału określoną ilość sztuk chorych lub agresywnych, a także wyrządzających dotkliwe szkody w uprawach rolnych. Śmierć każdego żubra wywoływała cierpienia. Przez dwa – trzy dni chodził zmartwiony i małomówny. Wspomina o tym prof. **Janusz Gill** w książce „Zarys fizjologii żubra” (Warszawa 1999).

W 1974 roku przyszło mu odstrzelić na terenie ścisłego rezerwatu przyrody żubra, który wcześniej został postrzelony w gospodarczej części Puszczy Białowieskiej. Polecenie odstrzału wydał dyrektor Parku, inż. **Edmund Watoła**. Zdarzenie to wywołało falę protestów w społeczeństwie, przedostało się też do prasy. Kosztowało ono kierownika OHŻ sporo zdrowia i nerwów, pomimo że był tylko wykonawcą polecenia swego zwierzchnika.

Pirożnikow szybko zgłębił wiedzę o swych podopiecznych – żubrach i tarpanach, a także o Puszczy Białowieskiej. Stał się specjalistą w tym zakresie. Mając gawędziarski talent i dobrą znajomość języków rosyjskiego oraz angielskiego często był przydzielany przez kolejnych dyrektorów Parku do oprowadzania po puszczy różnych osobistości z kraju i zagranicy. Wśród nich zdarzali się literaci, dziennikarze, filmowcy, aktorzy, a bywało, że i głowy koronowane. Do najważniejszych gości, dla których kierownik OHŻ przygotowywał spotkania z żubrami na wolności, należeli książę **Bernard**, mąż królowej Holandii **Juliany** (w 1974 roku), książę Edynburga **Filip**, małżonek królowej Wielkiej Brytanii **Elżbiety II** (w 1975 roku) i dr **Kurt Waldheim**, sekretarz generalny ONZ (w 1977 roku).

W 1963 roku Pirożnikow poznał **Włodzimierza Puchalskiego**, który przyjechał do Białowieży nakręcić film o żubrach. Dwa lata później gościł u siebie pisarza **Igora Newerlego** – ten z kolei uwiecznił go na stronach powieści „Zostało z uczty bogów”. Na każdym ze swoich rozmówców pan Włodzimierz wywierał niezapomniane wrażenie. Nic zatem dziwnego, że często stawał się bohaterem wielu artykułów oraz wywiadów prasowych, radiowych i telewizyjnych. Jego żubrzych opowieści można było słuchać godzinami z zapartym tchem. Włodzimierz Pirożnikow zakończył pracę 15 kwietnia 1987 roku.

Na emeryturze czasu nie tracił. Udzielał się nadal jako przewodnik turystyczny – oprowadzał przede wszystkim grupy anglojęzyczne. Zajmował się też rzeźbieniem płaskorzeźb w drewnie lipowym, głównie o tematyce sakralnej.

Wbrew pozorom nie był typem człowieka samotnika. Od ludzi nie stronił, ale w mieście mógł przebywać najwyżej parę godzin. Męczył go pośpiech, bieganina. Lubił długie spacery po lesie, w którym czuł się cząstką większej całości. Las był jego prawdziwym domem. Traktował go jak świątynię. Twierdził, że chętniej milczy niż mówi, chętniej też słucha przyrody niż ludzi.

Otrzymał szereg nagród i odznaczeń. Uhonorowany został m.in. Odznaką „Racjonalizatora Produkcji”, Srebrną Odznaką Związku Zawodowego Pracowników Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, jubileuszową odznaką „30 lat współpracy naukowo-technicznej pomiędzy PRL i ZSRR”, Srebrną Odznaką „Zasłużonego dla Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego”, Srebrną Odznaką „Zasłużony dla Białostocczyzny”, Medalem „Przyjaciel Żubra”, Krzyżem Sybiraków.

Zmarł po krótkiej chorobie w szpitalu w Białymstoku 31 grudnia 2008 roku w wieku 88 lat. Spoczął na cmentarzu w Białowieży. Napis na jego tablicy nagrobnej jest lakoniczny, ale jednocześnie wiele mówiący: „Lotnik / Leśnik / Człowiek wielkiego serca”.

Piotr Bajko
fot. z archiwum
Stefana Krukowskiego







W Muzeum Białoruskim

Odbyły się kolejne warsztaty „Etnodizajn”, czyli opowieść o tym, jak wplatać ludowe akcenty we współczesne formy i jak zaszczepić w najmłodszych zainteresowanie wzornictwem tradycyjnym.

Wracanie do korzeni i tradycji oraz przetwarzanie ich w nowoczesnych formach, czyli etnodesign, jest w ostatnich latach bardzo popularny.

Muzeum również postanowiło wzory białoruske, którymi nasi przodkowie ozdabiali koszule, ręczniki czy kapy, wykorzystać w nowoczesnej, współczesnej realizacji.

W przygotowaniu projektów szablonów pomógł **Mirosław Zdrajkowski** – artysta plastyk, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Mińsku, którego działania artystyczne pokazują przywiązanie do tradycji białoruskich, języka, kultury ludowej.

W październiku 2020 dzieci własnoręcznie za pomocą specjalnie przygotowanych szablonów wykonały na koszulkach wzory białoruskie. Przedszkolaki poradziły sobie świetnie.

A efekty – koszulki z tradycyjnymi wzorami będzie można wkrótce podziwiać na żywo – będą dumnie noszone przez autorów.

Warsztaty prowadziła **Agnieszka Tichoniuk**, muzealny historyk sztuki. Opowiedziała dzieciom o zakończonym konkursie plastycznym „Я нарадзіўся тут” i pokazała wystawę nagrodzonych prac.

Warsztaty, ze środków Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Urzędu Miasta Hajnówka, zorganizowało Muzeum i Ośrodek Kultury Białoruskiej w Hajnówce w ramach projektu „Przygraniczny alians etniczny”. Projekt przewiduje wiele działań prezentujących lokalną sztukę i tradycje. Adresowany jest do dzieci i dorosłych.

Tomasz Tichoniuk
fot. **autor**

Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny. Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego
Współfinansowany ze środków Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji
oraz Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416
Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
Redaguje zespół: Michał Bołtryk, Andrzej Charyło, Eugeniusz Czykwin (red. naczelny), Doroteusz Fionik
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji), Anna Petrovska, Anna Radziukiewicz, Dorota Wysocka
Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka
Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz
Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57
e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl

Jeśli chcą Państwo wesprzeć działalność Fundacji, wpłat można dokonywać na konto: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

z dopiskiem „Wsparcie działalności statutowej”

Prenumerata e-wydania Przeglądu Prawosławnego

Roczna prenumerata e-wydania kosztuje 48 zł – 4 zł za jedno wydanie

Roczniki Przeglądu oprawiamy

Możemy oprawić bieżące roczniki Przeglądu Prawosławnego w cenie 70 zł za tom liczący 816 stron. Zamówienia zbieramy przez cały rok – ulica Składowa 9, 15-399 Białystok, telefon 85 / 742 18 57, e-mail: redakcja@przegladprawoslawny pl. Oprawione tomy będzie można odebrać w redakcji albo zostaną wysłane pocztą. Koszt wysyłki pokrywa odbiorca.

Przegląd Prawosławny, miesięcznik
ISSN 1230-1078 Nr indeksu 371416

Wydawca
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego

Redaguje zespół w składzie
Michał Bołtryk, Andrzej Charyło, Eugeniusz Czykwin (redaktor naczelny)
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji)
Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Stale współpracują
o. Konstanty Bondaruk, Jarosław Charkiewicz, Doroteusz Fionik, Paweł Krysa
o. Marek Ławreszuk, Mira Łuksza, o. Włodzimierz Misijuk, Aleksander Naumow
Grzegorz Jacek Pelica, Anna Petrovska, Anna Rydzanicz, o. Stanisław Strach

Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka

Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz

Projekt okładki: Anna Miszczuk

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9
tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

E-mail: **redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl**

Redakcja Przeglądu Prawosławnego działa na swoją odpowiedzialność.
Nie angażując autorytetu Cerkwi, stara się jej wiernie służyć

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca, a także zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych

Nakład: 5000 egz.

PRENUMERATA

Prenumerata za pośrednictwem redakcji (koszt egzemplarza i wysyłki):
Miesięczna: Polska **11,00 zł**; Europa **20,00 zł**, Australia, USA i Kanada **20,00 zł**.
Kwartalna: Polska **33,00 zł**, Europa **60,00 zł**, Australia, USA i Kanada **60,00 zł**.
Półroczna: Polska **66,00 zł**, Europa **120,00 zł**, Australia, USA i Kanada **120,00 zł**.
Roczna: Polska **132,00 zł**, Europa **240,00 zł**, Australia, USA i Kanada **240,00 zł**.
Jest do kupienia w parafiach prawosławnych, kioskach Ruchu i sklepach spożywczych na Białostocczyźnie.

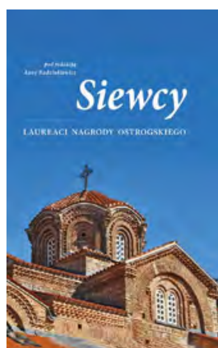
Fundacja Ostrogskiego poleca



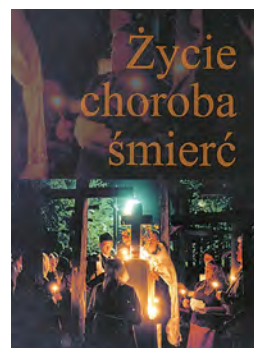
Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy 20 zł, z wysyłką pocztową zwykłą 27 zł, hurtowa (powyżej 5 egz.) – 15 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy 15 zł, z wysyłką pocztową zwykłą 19 zł, hurtowa (powyżej 5 egz.) – 10 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy 25 zł, z wysyłką pocztową zwykłą 32 zł hurtowa (powyżej 5 egz.) – 20 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy – 10 zł, z wysyłką – 14 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy – 40 zł, z wysyłką – 48 zł

ul. Składowa 9, 15-399 Białystok Konto: 98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

O innych książkach Fundacji na stronie internetowej przegladprawoslawny.pl

Odchodzimy od prenumeraty przez Pocztę Polską

Fundacja Ostrogskiego podjęła decyzję o niepodpisywaniu kolejnej umowy z Pocztą Polską, przedłużającej prenumeratę Przeglądu Prawosławnego. Warunki tej prenumeraty są dla nas niekorzystne. Czytelników, którzy Przegląd Prawosławny otrzymywali dotąd poprzez Pocztę, prosimy zatem – dołączcie do prenumeratorów bezpośrednich, czyli poprzez wydawcę PP, Fundację Ostrogskiego. Pytania w tej sprawie można kierować do Daniela Simoniuka, tel. 601 514 666. Warunki prenumeraty podajemy na stronie obok.

Aby uratować życie

Daria, Kubuś, Filip, Mikołaj. Te maluchy, jeszcze przed drugimi urodzinami, nie mogą się cieszyć beztroską dzieciństwa. Ich codzienność to pobyty w szpitalach, żmudna rehabilitacja i złowieszcza diagnoza: SMA typu 1, czyli rdzeniowy zanik mięśni. To śmiertelna choroba genetyczna, która odbiera siłę mięśniom właśnie. Jeszcze do niedawna dzieci z SMA nie przeżywały drugiego roku życia, teraz jest nadzieja. To Zolgensma, lek, a właściwie terapia genowa, nazywany najdroższym lekiem świata. Jednorazowa dawka dla dziecka kosztuje 9 i pół miliona złotych, im wcześniej jest podana, daje lepsze efekty.

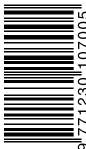
Daria Szepietowska przyjechała z Białorusi. **Kuba Suchodoła** pochodzi z Hajnówki, **Filip Łukaszuk** z Gredel pod Bielskiem Podlaskim, a **Mikołaj Karelus** mieszka w Białymstoku. Przykłady innych dzieci pokazują, że zebranie tak ogromnej kwoty, mimo wszystko jest możliwe, że liczy się każda złotówka. Rodzice proszą o wsparcie. Wszystkie maluchy są podopiecznymi Fundacji Siepomaga (ponad 3,5 miliona pomagających przekazało już blisko miliard złotych na pomoc potrzebującym).

Wpłat można dokonać na konto:
Fundacja Siepomaga
ul. Za Bramką 1, 61-842 Poznań
89 2490 0005 0000 4530 6240 7892
z tytułem „Darowizna”
i podaniem numeru zbiórki
dla danego dziecka:
Daria Szepietowska – 22076
Kuba Suchodoła – 22337
Filip Łukaszuk – 22923
Mikołaj Karelus – 23489

Cerkiew św. Grzegorza Peradze w Dojlidach Górnych. O wspólnocie w Dojlidach Górnych więcej na stronach 12-14

Fot. Piotr Łozowik

FUNDACJA OSTROGSKIEGO DZIĘKUJE ZA 1%



ISSN 1230-1078